

MOJE SPOTKANIA Z JANEM PAWŁEM II

Słowo wstępne

ks. JÓZEF KARDYNAŁ GLEMP

Zebrał i posłowiem opatrzył

ks. WIESŁAW AL. NIEWĘGŁOWSKI



PRYMAS POLSKI

Warszawa, 7 stycznia 1991 r.
N. 45/91/P.

SŁOWO WSTĘPNE

Ludzie kultury, pod przewodem księdza Wiesława Niewęglowskiego, zechcieli napisać swoje wspomnienia i przeżycia ze spotkań z Papieżem Janem Pawłem II. Chętnie i sam włączyłbym się w ten nurt wspomnień, ale moje zadanie ogranicza się do „słowa wstępnego”. Pragnę więc wyrazić zadowolenie z takiej inicjatywy. Zebranie osobistych wrażeń z zetknięcia się z Piotrem naszych czasów i ich publikacja będzie stanowić niezwykłą lekturę. Dotychczas relacje o przeżyciach ze spotkania z Ojcem Świętym mogliśmy czytać w życiorysach świętych lub sług Bożych, np. św. Franciszka, św. Teresy od Dzieciątka Jezus, błogosławionej Franciszki Siedliskiej czy sługi Bożej Celine Borzęckiej. Życiorysy opisują także wpływ, jaki to spotkanie wywarło na przyszłą działalność świętego.

Obecnie otrzymujemy do rąk książkę, w której spotkanie z Ojcem Świętym nie będzie wkomponowane w tok hagiografii, ale będzie autentycznym świadectwem przeżyć ludzi różnych formacji intelektualnych i duchowych naszego pokolenia. Właśnie ta różnorodność osób w odniesieniu do jednego podmiotu, jakim w tej książce jest Papież-Polak, ukaże nie tylko bogactwo uczuć i refleksji, ale przede wszystkim ukaże związek Polaków ze Zwierzchnikiem Kościoła katolickiego. Liczba autorów poszczególnych wspomnień, a choć jest to grono wysoce kwalifikowane, staje się reprezentacyjna dla całego społeczeństwa. W tym bogactwie wrażeń i doznań odnajdzie podobieństwo do swoich przeżyć niejedyn nauczyciel, lekarz, uczeń, rolnik, robotnik.

Od siebie chcę dodać, że każde spotkanie z Ojcem Świętym, a miałem tych spotkań wiele, jeszcze z czasów krakowskich kardynała Wojtyły, gdy często odwiedzał kardynała prymasa Wyszyńskiego, jest inne. Za każdym razem przeżywa się coś nowego. Tą nowością nie są zmienne okoliczności czasu, tą nowością jest żywa wiara, którą Papież żyje na co dzień, także w chwilach wytężonej pracy. Wiedzieć o tym związku osoba-wiara w Papieżu i odkryć go przy spotkaniu z nim – oznacza zaczerpnąć odrobinę z jego ducha wiary, by przeszczepić go sobie.

Józef kard. Glemp

JÓZEF KARDYNAŁ GLEMP
PRYMAS POLSKI

MAGDALENA BAJER, *dziennikarka*

Nie potrafię sobie uprzytomnić, czy było to w pół drogi, czy jeszcze wcześniej. Drogę powrotu przebywamy zwykle w niejednakowym tempie. Ze mną było tak jak pewnie z wieloma ludźmi mego pokolenia: w Sierpniu stanęliśmy jak wryci, dołączając z różną determinacją do tych, którzy głośno, publicznie upomnieli się o Polskę, a potem spojrzeliśmy wstecz i każdy, już osobno, sam w sobie, próbował zmierzyć, ile ma tej drogi, z jak daleka musi wracać. Wracamy...

Pierwszy raz Ojciec Święty Jan Paweł II był w Polsce przed Sierpniem. Pamiętam osobliwe zdarzenie z dni poprzedzających tuż tę pierwszą pielgrzymkę. Młody człowiek, zabrany autostopem z szosy lubelskiej, wyznał nam w samochodzie: trzydzieści pięć lat procesu laicyzacji – na marne. Dosłownie tak powiedział, a potem spytany, co robi, stwierdził, że jest nauczycielem. Uczestniczył widać czynnie, jak umiał, w tym laicyzowaniu młodych i zdał sobie nagle sprawę, iż wizyta (tak się wyraził, nie: pielgrzymka) Papieża Polaka obróci w nicość wszystkie starania jego i jemu podobnych. Nie stało się całkiem tak, choć obudziliśmy się w s z y s c y. Większość wstała z tego snu złego jeszcze w malignie albo w odrętwienu.

Tamto pierwsze spotkanie było dla mnie impulsem, który obudził przede wszystkim uczucia narodowe. Może się komuś wydać, że to bardzo mało albo że te uczucia nie były nigdy zbyt głęboko uśpione. Łatwo zapominamy. A przecież wmawiano długo i wcale skutecznie, że muszą one zawsze ustępować przed ideą nadrzędną, jaką jest wspólnota ludzkości sublimowana jakoby w internacjonalizmie.

Pierwsze na polskiej ziemi orędzie Ojca Świętego ośmieliło mój nacjonalizm, czego oczywiście (a i dzisiaj trzeba dobrze oczyszczać to słowo) wtedy tak nie nazwałabym, tj. utwierdziło w prawie do miłowania ojczyzny ponad inne rzeczy godne miłości. Byłam wtedy jeszcze bardzo daleko.

Jak powiadam, rytm kroków, które się stawia wracając, nie musi być

miarowy. Zaczęłam wracać, czy raczej zapragnęłam powrócić, chyba jeszcze przed 13 grudnia. Było to niejasne, mgliste przeświadczenie, że trzeba naprawić jakąś wielką stratę duchową i że to muszę zrobić sama, a jednocześnie, że sama tego zrobić nie zdołam.

Następne spotkanie nastąpiło podczas mojego pierwszego w życiu pobytu – kilkudniowego – w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, który to pobyt ukazał mi prawdziwy uniwersytet i obudził żalną tęsknotę, że kiedyś tam nie skierowałam swych kroków, żeby studiować. Byłam słuchaczką wykładów i opowieści-wspomnień podczas sesji poświęconej trzydziestoleciu pracy naukowej Karola Wojtyły na KUL-u. Uczniowie mówili o lubelskiej szkole filozoficznej, o antropologii chrześcijańskiej, którą wykladał ks. doc. Wojtyła, o tym, co wniósł w naukę o człowieku. Często sobie przypominam słowa ks. profesora Stycznia, że jest coś, co człowiek, jedyne stworzenie powołane przez Stwórcę dla niego samego, może dać Wszechmocnemu, a czego Wszechmocny bez woli człowieka mieć nie może: radość z udanego stworzenia. Radość ta, jak nauczał bp Karol Wojtyła w swoich lubelskich wykładach, płynie z czynów miłości, których staramy się dokonywać, czyli z naszej dążności do doskonalenia i przekraczania ułomnej, skażonej grzechem natury człowieczej. Ciągłe zdaje mi się to niezwykle trafnym ujęciem sensu istnienia człowieka na Ziemi, niezależnie od tego, czy uda nam się, czy nie uda dokonać choćby jednego czynu miłości przez całe życie. To spotkanie było już w innym miejscu, już bliżej głównej drogi, bliżej wyjścia z manowca.

W czerwcu 1987 roku słuchałam papieskich homilii i przemówień inaczej niż podczas dwu poprzednich pielgrzymek – nie łowiąc aluzji politycznych i nie starając się głównie interpretować patriotycznie ich treści. Znowu byłam na KUL-u jako wysłannik „Tygodnika Powszechnego”, gdzie dano mi pracę nie pytając, jak jestem zaawansowana w powracaniu, nie pytając w ogóle, czy muszę wracać, czy błędziłam kiedykolwiek. Ludzie zaprzyjaźnieni z Ojcem Świętym wcielają w życie Jego naukę nie dając znać głośno, iż właśnie to czynią.

13 czerwca duszpasterz twórców ks. Niewęgłowski wyróżnił mnie ponad miarę ówczesnej mojej dojrzałości duchowej: wręczałam Ojcu Świętemu kwiaty w kościele Św. Krzyża podczas spotkania z ludźmi kultury. Jan Paweł II witał się z przedstawianymi mu wieloma osobami. Do mnie powiedział: „Często panią czytam”. Wcześniej w auli KUL-u stwierdził, że czyta w wywiadach z uczonymi o tym, jaka jest postawa

tego środowiska wobec wielu problemów współczesności. Wiedziałam, że mówił także o moich wywiadach w „Tygodniku”, i myślałam ze wstydem, że pewnie nie wie, jak jestem jeszcze daleko. Były to pierwsze z szeregu zdarzeń, które uprzytomniły mi dojmująco, że ostateczny powrót do Pana nie może się odwlekać, że muszę przyśpieszyć kroku. Słuchając słów skierowanych do nas wtedy o tym, że trzeba „żyć Eucharystią”, czułam, jak odnoszą się do mnie wprost, jak są do mnie skierowanym nakazem.

Później, jesienią tego samego 1987 roku, przyszło mi analizować tekst przemówienia z kościoła Św. Krzyża wobec uczestników pielgrzymki środowisk twórczych na Jasną Górę. W auli im. Jana Pawła II, na tle pięknej tkaniny z Jego portretem. I znów nie byłam gotowa. Znów nie zdążyłam dokończyć swojego wychodzenia z manowca. Doskwierał mi niejasny fałsz tej sytuacji, chociaż byłam już wewnętrznie przygotowana. Trzeba było tylko pokonać lęk, który zresztą okazał się bezpotrzebny – tak to chyba najlepiej nazwać.

Jeszcze parę razy znalazłam się w takiej właśnie sytuacji – nie całkiem prawomocnego wypowiedzenia opinii o sprawach najważniejszych. Podczas Tygodni Kultury Chrześcijańskiej przed własną prelekcją przychodziłam na Mszę św., ale modliłam się jeszcze opodal stołu Pańskiego.

Kiedy Jan Paweł II ogłosił Rok Maryjny, postanowiłam, że przed jego upływem pójdę do spowiedzi – po wielu latach, dlatego że w ogóle mój powrót zaczął się modlitwami do Maryi. W tym roku szczególnym zbiegiem okoliczności może nie należy nadużywać słowa: cud, a może takie są właśnie cuda! Otóż w marcu 1988 roku przyszedł ktoś z sąsiadów i spytał, czy zechcę gościć Obraz, który wędruje moją ulicą. Był w moim domu, starałam się skupić i modlić, traktując najpoważniej Jej obecność. W kilka dni później chodziłam na rekolekcje wielkopostne, które wydały się zupełnie inne od zapamiętanych z dzieciństwa i od tych, jakich niestarannie i urywkami słuchałam później. Poszłam do spowiedzi. Wyszłam na Drogę. Wróciłam, choć ciągle jestem daleko i raz po raz ustaję.

Spotkanie z Ojcem Świętym podczas czwartej pielgrzymki będzie dla mnie najdonioślejsze z dotychczasowych. Będzie inne. Muszę się dobrze przygotować.

Ks. biskup **BOHDAN BEJZE**

Księdza Karola Wojtyłę poznałem w czasie swych studiów na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie prowadził wykłady, dojeżdżając w tym celu do Lublina z Krakowa. Pamiętam Jego udział w filozoficznych dyskusjach, w których obok samodzielnych pracowników nauki uczestniczyli również promowani niedawno doktorzy i doktoranci. Pozostało mi wyraźne wspomnienie rekolekcji i dni skupienia, jakie przeprowadził w tamtejszym kościele akademickim. Ogromnie serdecznie przyjęto wiadomość o Jego nominacji na biskupa pomocniczego w archidiecezji krakowskiej, co nastąpiło w roku 1958.

Od chwili gdy we wrześniu 1963 roku zostałem biskupem pomocniczym w diecezji łódzkiej, spotykałem się systematycznie z biskupem, a następnie arcybiskupem i wreszcie kardynałem Karolem Wojtyłą na plenarnych konferencjach Episkopatu Polski. Do spotkań regularnych należało również uczestnictwo w zebraniach Komisji Episkopatu do Spraw Nauki Katolickiej, które Ks. Kardynał, jako przewodniczący owej Komisji, urządził dwa razy w roku w swej rezydencji w Krakowie. Częste spotkania następowały podczas licznych ogólnopolskich uroczystości kościelnych, odbywanych z udziałem Episkopatu. Sposobnością do bliskiego współdziałania z Ks. Kardynałem był Kongres Teologów Polskich, zorganizowany we wrześniu 1971 roku na KUL-u, a poprzedzony pracą zespołu przygotowawczego. Szczególnie drogie są mi wspomnienia z kontaktów, które dotyczyły spraw wydawniczych: w sumie dziesięć tekstów Metropolity krakowskiego zostało wydrukowanych w redagowanych przeze mnie pracach zbiorowych.

Poza krajem przebywałem z Ks. Arcybiskupem, a potem Kardynałem, kilkakrotnie w Rzymie: na Soborze Watykańskim Drugim, w czasie uroczystości beatyfikacji ojca Maksymiliana Kolbego (1971) i jubileuszowych obchodów Roku Świętego (1975), na II Międzynarodowym Kongresie Studiów Kościelnych (1976), wreszcie na inauguracji pontyfikatu Jana Pawła I (1978). Z pamięcią o Soborze

kojarzy mi się również wspomnienie kilkudniowej wycieczki, która w przerwie między wyteżonymi obradami sesji trzeciej odbyła się z Rzymu na Sycylię; znalazłem się szczęśliwie w pięcioosobowej grupie wycieczkowiczów, którym przewodniczył ówczesny Arcybiskup krakowski.

Osobny rozdział tych przeżyć, które obecnie sobie uprzytamniam, wiąże się z udziałem delegacji Episkopatu Polski z kardynałem Wojtyłą na czele w 41 Międzynarodowym Kongresie Eucharystycznym w Filadelfii (zorganizowanym w sierpniu 1976 roku), a następnie z duszpasterskimi odwiedzinami ośrodków polonijnych w USA i Kanadzie.

Po raz ostatni rozmawiałem z kardynałem Wojtyłą w dniu 2 września 1978 roku z okazji Mszy św. dziękczynnej, którą odprawił w kościele Św. Stanisława w Rzymie po wyborze Jana Pawła I. Wówczas to w zakrystii Kardynał krakowski podzielił się ze mną kilkoma myślami o nowo kreowanym następcy św. Piotra (który nazajutrz celebrował inaugurację swego pontyfikatu, nieoczekiwanie tak bardzo krótkiego).

W obecności Jana Pawła II znalazłem się wielokrotnie – z okazji różnych audiencji i spotkań w Rzymie oraz podczas dotychczasowych trzech apostolskich wizyt Papieża w Polsce. Ostatni raz widziałem Ojca Świętego w dniu 29 września 1990 roku w Rzymie z okazji audiencji dla uczestników IX Międzynarodowego Kongresu Tomistycznego.

Jestem pewien, że zawsze, gdy słuchałem przemówień Ojca Świętego i prowadzonych przezeń rozmów oraz gdy patrzyłem, jak zachowywał się przy ołtarzu bądź też jak odnosił się do poszczególnych osób i grup w czasie rozmaitych spotkań, rozumiałem Go dokładnie i z łatwością dzięki wcześniejszej znajomości z polskiego okresu.

Odnotowując to przeświadczenie, mam jasną świadomość tego, że liczne osoby duchowne i świeckie znają Papieża dłużej i lepiej niż ja. Niemniej to, co w tej mierze jest moją własnością, ogromnie mi pomaga, by odbierać bez trudu wypowiedzi wygłaszane przez Ojca Świętego, a także Jego sposób bycia. Ułatwienie to odnosi się również do tekstów Jana Pawła II – zarówno dawniejszych, z okresu Jego naukowej i biskupiej działalności w Polsce, jak i późniejszych, papieskich. Doświadczyłem tego między innymi wówczas, gdy jesienią 1986 roku recenzowałem rozprawę doktorską ojca Eugeniusza Wawro OP *Wolność ludzka w interpretacji współczesnych tomistów polskich* i czytałem przytoczone w niej przez autora teksty ojca Mieczysława Alberta Krąpca OP i księdza Karola Wojtyły. Takie samo doświadczenie staje się moim udziałem zawsze wówczas, gdy przygotowując odczyt lub

artykuł o doktrynie Soboru Watykańskiego Drugiego, sięgam po książkę kardynała Karola Wojtyły *U podstaw odnowy*, jak również wówczas, gdy czytam encykliki, adhortacje, listy apostołskie i wszelkie inne teksty Jana Pawła II.

W dalszym ciągu niniejszych zwierzeń przedstawię wybrane spostrzeżenia dotyczące wypowiedzi i zachowań się Jana Pawła II, które wywarły na mnie szczególne wrażenie. Sądzę, że w spostrzeżeniach tych, które we mnie powstały i zapadły w pamięć w różnych okresach mego życia i równocześnie w różnych fazach działalności obecnego Papieża, znalazły swe odbicie niektóre charakterystyczne rysy Jego osobowości.

Wobec prawdy

Na Wydziale Filozofii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego wszyscy wiedzieli, że profesorowie uczestniczący w Konwersatorium Metafilozoficznym – Jerzy Kalinowski, ks. Stanisław Kamiński, ojciec Mieczysław Albert Krąpiec OP i ks. Karol Wojtyła – to grono przyjaciół. Najlepiej w sytuacji tej byli zorientowani młodzi pracownicy naukowcy i doktoranci biorący udział w pracach Konwersatorium, które działało poza zajęciami obowiązującymi, mocą zainteresowań i entuzjazmu uczestników. Na jednym z posiedzeń nastąpiła wymiana zdań między ojcem Krąpcem i ks. Wojtyłą. W zespole uczniów pogrążonych w ciszy słuchaliśmy zdecydowanych wypowiedzi naszych mistrzów na rzecz stanowisk wyraźnie różnych. Była to wyśmienita lekcja szacunku dla prawdy przewyższającego uczucia osobistej przyjaźni.

Biskupi, którzy sięgają pamięcią do ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego, prymasa Polski, pamiętają również, jak odnosił się do niego arcybiskup metropolita krakowski Karol Wojtyła, także wtedy, gdy został kardynałem. Jego postawa wobec ówczesnego Prymasa Polski zaznaczała się wyraźnie w czasie takich uroczystości (na przykład w Częstochowie na Jasnej Górze), w których programie ks. kardynał prymas Wyszyński wygłaszał kazanie. Jeśli wówczas ks. arcybiskup kardynał Wojtyła celebrował Mszę św., to poza tekstem liturgicznym nie wypowiadał żadnych dodatkowych słów, choć mógł to uczynić przed końcowym błogosławieństwem w formie na przykład jakiegoś pozdrowienia skierowanego do zgromadzonych na uroczystości. Zdarzało się jednak w toku plenarnych posiedzeń Episkopatu Polski, że kardynał Wojtyła przedstawiał własne – niezależne od opinii Ks. Prymasa i innych uczestników posiedzenia – poglądy, oceny, propozycje. Były

one z reguły rzeczowo uzasadnione i jasne. Z tego przede wszystkim względu powinna powstać w przyszłości osobna, źródłowa publikacja o wkładzie Metropolity krakowskiego do prac Episkopatu Polski.

Wobec modlitwy

Wspominam rekolekcje wielkopostne, które w kościele akademickim przy KUL-u prowadził ks. docent Karol Wojtyła. W cyklu konferencji zamiast jednej z nich odbywała się *Droga krzyżowa*. Kościół był wypełniony. Kilku studentów z krzyżem przechodziło od stacji do stacji. Kaznodzieja stał na ambonie i wygłaszał rozważania. Gdy doszliśmy do stacji czwartej, przedstawiającej spotkanie Pana Jezusa z Jego Matką, Kaznodzieja zamiast rozważania zaczął odmawiać głośno *Zdrowaś Maryja*. Wszyscy w kościele podjęli tę od dawna znaną sobie modlitwę i w tym wspólnym, serdecznym odmawianiu w nieoczekiwanym momencie brzmiała ona w sposób zupełnie nowy. Pozdrawialiśmy Matkę bolejącą nad Synem, który cierpiał z powodu naszych win. Wrażenie było przejmujące. Powtórzyło się ono przy stacji dwunastej, dedykowanej Jezusowi umierającemu na krzyżu, gdy Kaznodzieja zamiast kolejnego rozważania zaczął *Ojcze Nasz*. Wszyscy wyczuli, że z tekstu tej znanej od dzieciństwa modlitwy trzeba na nowo wydobyć słowa: „Bądź wola Twoja”. Jak te słowa wówczas brzmiały!

W tym samym kościele akademickim odbył się pod przewodnictwem ks. docenta Wojtyły dla pracowników naukowych i starszych studentów Wydziału Filozofii adwentowy dzień skupienia – tuż przed Bożym Narodzeniem. Na ostatnie rozważanie zebraliśmy się w bocznej nawie kościoła przed ołtarzem z wizerunkiem Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Zamiast teologiczno-ascetycznej konferencji usłyszeliśmy odczytane powoli przez naszego Kaznodzieję teksty wszystkich antyfon, odmawianych w brewiarzowych nieszpórach w ciągu ostatniego tygodnia adwentu. Znane z lektury rozdzielonej – bo odczytywane zawsze po jednej dziennie – a tym razem niespodziewanie zebrane w pełnym zestawie, wyraziły kwintesencję adwentu. Dzień skupienia zakończył się w nastroju niepowtarzalnym.

Wobec tajemnicy

Jak o tym już wyżej wspomniałem, w czasie trzeciej sesji Soboru Watykańskiego Drugiego, jesienią 1964 roku, z okazji kilkudniowej przerwy w obradach, spowodowanej uroczystością Wszystkich Świę-

tych. wziąłem udział w wycieczce na Sycylię. Spośród wielu przeżyć odnotowuję tu dwa, spowodowane faktami zewnętrznie niepozornymi, a przecież skłaniającymi do myśli najpoważniejszych.

W wypożyczonym aucie siedziało nas pięciu: na przodzie obok kierowcy arcybiskup Karol Wojtyła, z tyłu ja i jeszcze dwóch uczestników tej eskapady. Po udanym noclegu wyruszyliśmy rano w dalszą drogę. Pogoda dopisywała, humory też. Przejeżdżaliśmy powoli przez jakiś mały plac, na którym bawiły się wesoło czarno-włose, miłe sycylijskie dzieci. Nagle tuż przy aucie zauważyliśmy dziecko zupełnie inne: stało w miejscu, nie reagowało nawet na bliskość pojazdu, patrzyło na nas oczyma bez wyrazu, cała jego twarz świadczyła o głębokim niedorozwoju, miało lat może sześć. Zrobiło nam się nieswojo. Zaczynał się nowy, obiecujący dzień ciekawej wycieczki, pogoda sprzyjała, wokół dzieci pokrzykiwały i skakały – a tu niespodziewane spotkanie z tak straszliwym kalectwem, nie zawinionym i pozbawionym nadziei, jakby z uosobieniem tajemnicy cierpienia, zła. Przestaliśmy rozmawiać. Co tu powiedzieć? I wówczas zauważyłem, jak arcybiskup Wojtyła podniósł rękę i w kierunku nieszczęśliwego malca nakreślił szeroki krzyż.

W Syrakuzach odwiedziliśmy miejsca i oglądaliśmy przedmioty związane z wyjątkowym wydarzeniem: w zwyczajnym mieszkaniu, na tandetnym, wiszącym na ścianie wizerunku Matki Boskiej pojawiły się – jak wykazała to fachowa ekspertyza – prawdziwe łyzy. Wizerunek stał się przedmiotem kultu. Umieszczono go w ołtarzu, w osobliwej, bo pozbawionej ścian, ale bardzo obszernej kaplicy, w której zaczęły się gromadzić i modlić rzesze ludzi. Zarówno miejscowych, jak i przybywających z daleka, także z innych krajów. (Obecnie miejscem tego kultu nie jest już prowizoryczna kaplica, lecz wspaniała świątynia.) Nasi uprzejmi informatorzy i przewodnicy pokazali nam w ówczesnym, małym, paropokojowym muzeum przy powstającym wtedy sanktuarium pewnego rodzaju relikwiarz: w pięknej, finezyjnej obudowie zawierał on fiołkę z płynem-łzami, zebranych ze wspomnianego wyżej wizerunku Matki Boskiej. Na prezentowany nam relikwiarz patrzyliśmy w skupieniu, ale zarazem – jak mi się zdawało – z jakąś niemocą decyzji: jak w tej sytuacji należy się zachować? Po kilku chwilach arcybiskup Wojtyła zrobił krok do przodu, głęboko pochylił się nad relikwiarzem – mówiąc przy tym: „Dzieją się na świecie rzeczy niezwykle” – i pocałował go. Po Nim

wszyscy po kolei uczyniliśmy to samo. Atmosfera w pokoju wyklarowała się, co bardzo nam pomogło do dalszego ciągu zwiedzania i modlitw.

Wobec ludzi

Nie spostrzegłem, by Jan Paweł II, czy to we wcześniejszym, polskim, czy też już w papieskim okresie swego życia wypowiadał się o kimś skrajnie – na plus bądź na minus. Zauważyłem jednak, że o niektórych wartościach ludzkich, postawach, rodzajach działalności mówił i mówi – chyba ze względu na to, co Go osobiście interesuje i co sobie ceni – w sposób chętny. Pod tym kątem kreślę kilka wspomnień.

Utrwaliła mi się w pamięci debata prowadzona w dużym gronie biskupów na temat inicjatyw i działań katolickiego duchowieństwa w powojennej Polsce. Kardynał Karol Wojtyła wyróżnił z osobistą aprobatą ks. Franciszka Blachnickiego, jako twórcę ruchu „Światło – Życie”, i ks. Jana Palusińskiego, salezjanina, jako organizatora „Sacrosongu”.

Zbierając materiały do serii wydawniczej *Chrześcijanie*, zapytałem kiedyś Ks. Kardynała, czy życzy sobie, jako ordynariusz krakowski, by w serii tej ukazała się jakaś praca o życiu i działalności ks. kardynała Sapięhy? Natychmiast odpowiedział twierdząco.

W czasie audiencji przekazałem Janowi Pawłowi II nowy tom serii wydawniczej *W nurcie zagadnień posoborowych* (w serii tej Papież w polskim okresie swej działalności kilkakrotnie zamieszczał swe prace, kontaktując się z tej racji z Wydawnictwem Sióstr Loretanek). Po zakończeniu spotkania Ojciec Święty, opuszczając salę audiencjonalną, wziął otrzymany tom ze sobą, podczas gdy inne wręczone Mu dary zostały na stole. Był to gest bardzo dla mnie wymowny, bez słów.

W trakcie swej wizyty w Łodzi, dnia 13 czerwca 1987 roku, Jan Paweł II wygłosił podczas obiadu w rezydencji ordynariusza łódzkiego nieoczekiwane przemówienie. Znalazły się w nim między innymi następujące zdania:

„Dziękuję raz jeszcze Biskupowi Ordynariuszowi za dzisiejsze uroczystości, za to, że mogę być w tym domu. Gościłem w nim wiele razy jeszcze za czasów biskupa Klepacza. Gdy umarł, poproszono mnie, abym wygłosił kazanie pogrzebowe. I muszę powiedzieć, że podjąłem się tego chętnie.

Pozdrawiam biskupa Bejze. Pamiętam go jeszcze z czasów studiów na KUL-u, a potem, gdy nagle taki młody «wskoczył» do grona biskupów. Tu dał się z kolei poznać jako gorący propagator idei Soboru Watykańskiego Drugiego. I nadal wprowadza je w życie. To dobrze”.

Tegoż dnia, w ramach swej apostolskiej wizyty w Łodzi, Ojciec Święty raz jeszcze mówił o biskupie Michale Klepacz, gdy w godzinach popołudniowych w miejscowej katedrze błogosławił jego epitafium. Jestem przekonany, że w życiorysach Jana Pawła II powinien znajdować się starannie opracowany temat „Karol Wojtyła, arcybiskup metropolita krakowski, i Michał Klepacz, biskup łódzki”. Chodzi o merytorycznie bardzo ważną i piękną kartę do powojennych dziejów Kościoła w Polsce.

ERNEST BRYLL, *poeta*

Właściwie nie wiem nawet, czy mam prawo pisać o tym, że spotkałem się z Papieżem. Spotkałem się z Nim, i to w sytuacji bardzo uroczystej – kiedy w czasie jednej ze swych pielgrzymek miał w kościele Św. Krzyża spotkanie z ludźmi kultury. Ba, nawet i tak się zdarzyło, że zatrzymał się i powiedział, iż czytał moje ostatnie wiersze. Co więcej – ponieważ nie umiałem ukryć, że traktuję Jego słowa jako grzecznościowe – dodał, jaki to był tomik poezji i gdzie wydany. Wybąkałem jakies – dziękuję – i tyle tego było.

Ba, nie wiem nawet, czy umiałbym z Nim rozmawiać, choć jest właściwie jedyną postacią, o której napisałem wiersze. Bo przecież, od czasu gdy został Ojcem Świętym, jest przytłoczony tysiącem problemów. A i całym ceremoniałem. I tymi kamerami telewizyjnymi, i tymi fotografującymi Go wciąż dziennikarzami...

Ja wiem... tak naprawdę, kiedy chciałem być z Nim – najlepiej czułem się stojąc na trasie Jego przejazdu razem z wiejską pielgrzymką z podwarszawskich okolic. Stałem z rodziną, podnosiłem w górę małą córeczkę, żeby zobaczyła, jak jedzie. Było ciasno, byliśmy zmęczeni, ale my, czekający, byliśmy ze sobą razem i On z nami był. Choć widzieliśmy Go z daleka. Był może bliżej mnie niż wtedy, gdy stałem tak blisko w kościele Św. Krzyża.

Może dlatego, że tam, w tłumie czekających, bardziej umieliśmy, a przynajmniej ja bardziej umiałem, się modlić. Choć... pamiętam z tego oczekiwania uroczystego artystów w kościele śmieszna scenę. Ksiądz odpowiedzialny za całe spotkanie wyraźnie bał się o to, czy zebrani luminarze kultury i sztuki potrafią śpiewać. Tak jak trzeba w kościele. I poprosił nas: zaśpiewajmy. I wtedy nagle cały kościół huknął, jak każdy kościół w Polsce, starymi pieśniami. Tak i było na nabożeństwie z Nim. Wtedy jakbyśmy zademonstrowali tym śpiewem to, co jest dla mnie najważniejsze w relacji pomiędzy tak zwaną elitą kultury (choć nie znoszę tego słowa) a tak zwanymi odbiorcami sztuki. Tę jedność. Tyle

razy zrywana, tyle razy wyśmiewana jako coś niedzisiejszego. A właśnie najważniejszą jedność tych samych pieśni, tego samego odczuwania spraw najważniejszych w najważniejszych momentach.

I, przepraszam, ale nigdy nie umiem odczuć tej jedności, kiedy oglądam w telewizji uroczystą pasterkę nadawaną od św. Piotra w Rzymie. Chcę, a nie umiem. Stąd jest ten mój pełen zaniepokojenia wiersz o Papieżu, który jakby w tej wielkiej wspaniałej świątyni otoczony murem dyplomatów i możnych szukał prawdziwego światła Narodzenia.

Napisałem jeszcze inny wiersz o Papieżu. To było na początku stanu wojennego i nikt nie myślał, że jednak nas odwiedzi. Jest to wiersz, którego się boję. Wolałbym go nie napisać. Dlaczego? Ano sam wiersz niechże się tłumaczy.

Różne rzeczy ludzie podziwiają w tym niezwykłym człowieku, zasiadającym na miejscu, gdzie stoi Opoka Piotrowa. Ja najbardziej podziwiam w Nim umiejętność modlitwy. Prawdziwego skupienia mimo wszystko. Mimo zmęczenia, mimo ceremoniału, mimo kamer, mimo szyb pancernego samochodu, w którym bywa zamykany. Nie wiem jak, ale jest dla mnie coś niewiarygodnego w Jego skupieniu. On naprawdę się modli, naprawdę rozmawia z Panem najbardziej osobiście. Tam gdzie jakby wszystko jest przeciwko tej modlitwie. W tym skupieniu jest dla mnie naprawdę wielki. Wierzę, że mówi do Boga w naszym imieniu i jest to modlitwa najbardziej osobista. Taka, kiedy Bóg mówi do nas najważniejsze słowa. Nie gromem a szeptem.

Pasterka w TV roku 86

W katedrze zimnej jak grób Apostolów

Szukano Boga co był narodzony

Ale ostrożnie

Tak jako dozwala

Frak u aniołów

I dostojna gala

U dyplomatów w szereg ustawionych

I myśmy także Boga pragnęli wypatrzeć

Choć oniemiał przy telewizorach

Bowiem nie przyszła jeszcze dla nas pora

Kiedy wół z osłem zaryczą w rozpacz

*Tak płakaliśmy
Milcząc widzieliśmy
Jak Papież ciężko padał na kolana
I szukał Betlejemu chociaż smużki siana
Ale marmury ktoś nazbyt wyczyścił*

*My znamy zapach łąki ale jak go podać
Tym Mocom za przejrzystym ekranem zebrany
Oj pastuszkom nie Królom do Betlejem droga
Szklistym śniegiem zawiana*

14 III 87

* * *

*Śniłem, że Papież w komży tak skrwawionej
Aż narodową barwę miała – stał u progu
I czekał milcząc, by mu otworzono...
Dom był bez okien. Drzwi jak wieko grobu,
Lecz nie wiadomo skąd było wiadomym,
Że w środku coś chroboce, pelga jak westchnienie;
Jak kamień niedobity...*

*Wreszcie otworenie
Nadeszło. Rozłamały się wrota z łoskotem
I Papież wszedł do środka. I wybiegł z powrotem,
I wracał, i wybiegał w sutannie dźwigając
Oblamki, które były ciałem jego kraju.
Układał je mozolnie mrużąc – O, ten kamień
Bardzo wyraźnie ma Wawelu znamię,
A to od Częstochowy kawałek ołtarza,
A to ździebełko Narwi...*

*Świat za nim powtarzał
Skrzypiące nazwy i próbował skleić,
Tak jako być powinno. Lecz nie po kolei,
Nie podług prawdy było, bo sens był złamany,
I przed narodów okiem kraj nieznanym
Odradzał się tak straszny, że każdy się wzbraniał
Dotknąć palcem i sprawdzić jego Zmartwychwstania.*

Prof. WIESŁAW CHRZANOWSKI, prawnik, polityk

Miliony ludzi wierzących, a często i wątpiących, zdążają na spotkania z Janem Pawłem w czasie Jego pielgrzymowania. Znoszą trudy, choć tak łatwo być telewizyjnym obserwatorem tych wydarzeń. Chcą jednak uczestniczyć, a nie obserwować, być w tej wspólnoty, która tworzy się wokół Osoby. Chcą przeżyć tajemnicę, by umocnić, a może odzyskać nadzieję i zaczerpnąć siły. Jestem jednym z nich. Takie są moje spotkania z Janem Pawłem II.

Po wyborze Ojca Świętego w wypowiedzi dla „Więzi” napisałem: „Stolicą Apostolską kieruje obecnie Papież wywodzący się z narodu, w którym kapłani w obrzędach religijnych obcuja z wielkimi zgromadzeniami”. Dzieje obecnego pontyfikatu to pasmo takich zgromadzeń. Wyraziłem wówczas nadzieję, że Jego słowo dotrze „i do wielu z tych, którzy dotychczas byli głusi na naukę Kościoła”. Nadzieja ta spełniła się, mimo że nie brak na świecie krytyków, nawet przeciwników – Ojca Świętego, Jego nauki i stylu działania. Ale bez porównania więcej jest tych, przeważnie prostych ludzi, młodzieży, którym pomógł odzyskać wiarę i nadzieję.

Jest w tym coś z doświadczeń naszego Kościoła i narodu. Wybór Polaka na Stolicę Piotrową sam Ojciec Święty określił w jednej ze swych pierwszych wypowiedzi jako przejaw łaski okazanej naszemu narodowi. Wybór ten wniósł jednak nowe elementy i do stylu pasterzowania – w skali uniwersalnej. Po II wojnie światowej Kościół nabrał wyraźnie globalnego oblicza, wcześniej dominowało patrzenie z perspektywy zachodnioeuropejskiej. I u nas po wojnie w pewnych kręgach intelektualnych z podziwem patrzono na model katolicyzmu francuskiego, a z politowaniem na model polski. Już wówczas słuszność tego patrzenia podawano w wątpliwość. „Cóż z tego, że katolicyzm francuski imponować może intelektualnym plonem, skoro plon ten pozostaje stale jakby na marginesie albo poza nawiasem olbrzymiej większości narodu”, tymczasem „katolicyzm polski nie stoi na jednostkach, nie rośnie

i nie upada z nimi. Jako zagadnienie społeczne jest on ruchem mas” (ks. Włodzimierz Kamiński, „Przegląd Powszechny”, 225). Doświadczenia wyływające z takiej religijności bliższe okazały się ludom pozauropejskim, a i nam pozwoliły przetrwać długotrwały napór obcej ideologii. Nie chodzi tu o jakiś polski triumfalizm, trzeba go unikać, należy zdawać sobie sprawę z licznych ułomności naszej religijności, ale i masochizm swoisty trzeba plenić. Nie da się go pogodzić z poczuciem godności człowieka i godności narodu.

Spotkania z Janem Pawłem II to także spotkania z Jego nauką zawartą w homiliach i licznych dokumentach apostolskich. Z jej bogactwa każdy wybiera przede wszystkim to, co zbliża go do odpowiedzi na nurtujące problemy czy wątpliwości. W ponurych latach ostatniej wojny światowej Jacques Maritain pisał: „Chrześcijaństwo, które nas interesuje, to nie zagadnienie wiary ani dróg zbawienia wiecznego, lecz chrześcijaństwo jako zwiastun doczesnych nadziei ludzkich... jako twórcza siła historii w jej stawaniu się”. A w poszukiwaniu wyjścia z nieludzkiej rzeczywistości zwraca się ku Ewangeli. „W posłaniu ewangelicznym znajdują się założenia polityczne i społeczne, które za wszelką cenę szukają swego wyrazu w historii... Są to: wiara w prawa człowieka, jako człowieka, jako obywatela, jako uczestnika życia społecznego i gospodarczego, jako pracującego.” Mimo zmian, jakie zaszły w świecie, zdania te nie straciły aktualności. Jan Paweł II w swoim nauczaniu z naciskiem mówi o obowiązkach wierzących wcielania wskazań Ewangelii w życie społeczne, kształtowania zgodnie z ich założeniami struktur społecznych. Zachowanie zbiorowe grup społecznych, niekiedy całych narodów, nosi znamię grzechu społecznego, grzech ten jednak zawsze jest owocem nagromadzenia grzechów osobistych „tego, kto powoduje lub popiera nieprawość albo też czerpie z niej korzyści; tego, kto mogąc coś uczynić dla uniknięcia lub usunięcia czy przynajmniej ograniczenia pewnych form zła społecznego, nie czyni tego z lenistwa, z lęku czy też w wyniku zmyślenia lub zamaskowanego udziału w zlu albo z obojętności, tego, kto zasłania się twierdzeniem o niemożności zmiany świata” (*O pojednaniu i pokucie w dzisiejszym posłannictwie Kościoła*). Słowa te, a także wiele wezwań i pouczeń o naszym obowiązku wzięcia spraw ojczyzny we własne ręce, o odpowiedzialności za jej losy – kierowanych w czasie pielgrzymek Ojca Świętego w Polsce – to dla wierzących silny impuls do przezwyciężenia nastrojów beznadziejności i rezygnacji, przełamania po-

czucia niemożności. A bierność szczególnie groźna jest dzisiaj dla naszej narodowej przyszłości.

W moich spotkaniach z Janem Pawłem ojczyzna, naród zajmują poczesne miejsce. Jego nauka wskazuje wartości, jakie dla człowieka, dla wypełniania jego zadania ma to, że należy do narodu. W Jego nauce naród istnieje przez kulturę i dla kultury, a kultura „jest szczególnym sposobem, w jaki społeczeństwo rozwija swoje relacje z naturą, stosunki międzyludzkie, stosunek do Boga, aby osiągnąć prawdziwie ludzki poziom”. Na placu Zwycięstwa w Warszawie Ojciec Święty powiedział, że mimo niewoli naród polski „pozostał duchowo niepodległy, gdyż miał swoją kulturę”. W latach zmagania o zachowanie tożsamości narodowej nie wolno o tym zapominać. Nauka Jana Pawła II o narodzie razi być może tych intelektualistów, którzy po II wojnie światowej mniemali, że epoka nurtów narodowych należy już do przeszłości. Rzeczywistość nie spełniła ich oczekiwań. Papież z Polski rozumie to szczególnie dobrze i ma odwagę dawać temu świadectwo. Naród spełnia ważną funkcję w obronie człowieka przed groźbą społecznego wykorzenienia i osamotnienia, w obronie życia społecznego przed atomizacją i dezintegracją, czemu sprzyja współczesna cywilizacja.

Nauka Jana Pawła II dotyka wszystkich sfer życia człowieka i społeczeństwa i we wszystkich sferach tego życia każe być człowiekowi wierzącemu obecnym. Odrzuca minimalizm, wycofywanie się katolików z dzieła kształtowania struktur społecznych według wskazań Ewangelii, oddawanie tego pola wyznawcom obcych światopoglądów. Krytykując zarówno kolektywizm marksistowski, jak i kapitalizm (encyklika *Sollicitudo rei socialis*), Ojciec Święty wskazuje na katolicką naukę społeczną jako podstawę dla budowy sprawiedliwego ładu społecznego. Nie przynosi ona konkretnych programów, ale kryteria oceny, ukazuje więc inną drogę.

Spotkania z Janem Pawłem II pozwalają uwierzyć w sens pokonywania życiowych przeciwności, ożywić nadzieję. Dlatego zdążają na nie miliony ludzi, a ja wśród nich.

MARIUSZ DMOCHOWSKI, *aktor, reżyser*

Biały dym

Godziny oczekiwania, ciekawości i niepewności. Kto? I wreszcie biały dym nad Kaplicą Sykstyńską. Jak przysłowiowy grom z jasnego nieba uderza wieść: *P o l a k p a p i e ż e m!* Radość nie do opisania. Zwyczajne ludzkie reakcje. Telefony do przyjaciół i od przyjaciół. Głębokie uczucie wielkiego zwycięstwa. A potem – chwila zadumy. Ja gdzieś czytałem, że kiedyś tak się stanie. I stało się. I już wiem. Juliusz Słowacki w roku 1848 napisał:

*Pośród niesnasków – Pan Bóg uderza
W ogromny dzwon,
Dla Słowiańskiego oto Papieża
Otwarty tron.*

[...]

*A trzeba mocy, byśmy ten Pański
Dźwignęli świat...
Więc oto idzie Papież Słowiański,
Ludowy brat...*

[...]

*On rozda miłość, jak dziś mocarze
Rozdają broń,
Sakramentalną moc on pokaże,
Świat wzięwszy w dłoń.*

[...]

*Wszelką z ran świata wyrzuci zgnilość,
Robactwo – gad,
Zdrowie przyniesie – rozpali miłość
I zbawi świat.
Wnętrza kościołów on powymiała,
Oczyści sień,
Boga pokaże w twórczości świata,
Jasno jak dzień.*

I stało się. Minęło 130 lat. Wieszcz okazał się wieszczem. Fakt stał się faktem. Nasz rodak kardynał Karol Wojtyła został pierwszym słowiańskim ojcem chrześcijańskiego Kościoła. Serdeczna radość w sercach Polaków. Jaśniejsze spojrzenie w przyszłość i wiara w zwycięstwo.

Drżenie serca...

13 maja 1981 roku. Rzym. Plac Św. Piotra. I tym razem wieść jak grom... Jakże straszna! Jakże bolesna! Nie można uwierzyć. A jednak stało się. To fakt. Mijają godziny, dni, tygodnie w niepokoju i niepewności, a jednak w przekonaniu, że wiara czyni cuda. Wiara nasza – wiernych – i wiara Jego, Ojca naszego, że Pani Jasnogórska, której oddał swe życie, nie opuści Go w tych ciężkich godzinach. I wreszcie ulga. Zdrowie i siły wracają. I znowu nasz Dobry Pasterz jest wśród swoich owieczek. Radość, że dobry Bóg i Pani Jasnogórska zachowali Go dla nas Polaków i wszystkich wierzących całego chrześcijańskiego świata.

I dalsze duszpasterskie pielgrzymki po świecie, który ukochał. Co za niespożyta siła, energia i wiara w posłannictwo, które na siebie przyjął. Co za miłość do człowieka, którą w sobie nosi. To wszystko wzbudza wielki szacunek i podziw. A jednocześnie nowy lęk. Czy nie znajdzie się jakiś inny szaleniec – Judasz, sprzedawczyk – który ośmieli się jeszcze raz podnieść zbrodniczą dłoń.

Ten lęk i troska wracają zawsze, kiedy nasz „Papa” opuszcza Watykan.

Ważkie słowa...

Warszawa. Kościół pod wezwaniem Św. Krzyża. Długie chwile oczekiwania i wreszcie... jest... jest wśród nas, twórców, artystów... W wielkim skupieniu, a może nawet – zrozumiałym dla nas wszystkich zmęczeniu – słucha koncertu. Potem przemawia do nas. Krótko. Konkretnie. O naszej roli wobec społeczeństwa i narodu. Mówi do nas jeden z nas. Ten najlepszy, nasz Ojciec duchowy. Słuchamy. Chłonimy każde Jego słowo tak nam potrzebne w tej ciągle jeszcze ciemnej naszej codzienności. Pragniemy słuchać długo, jak najdłużej, ale nadchodzi nieunikniona chwila pożegnania. Błogosławi nas; przechodzi utworzonym przez nas szpalerem. Wita się i żegna z poszczególnymi osobami, Zna nas, wie o nas wszystko. Widać w Jego oczach troskę i żywe zainteresowanie. Nie jesteśmy Mu obcy. Zna nasz dorobek twórczy.

Kiedy Ks. Prymas przedstawia mnie: „A to jest nasz król Sobieski” – pada odpowiedź: „Tak, wiem, widziałem”. Czułem się zaszczycony, że mogłem uczestniczyć w tym spotkaniu. Miałem nadzieję, że zdołam powiedzieć Papieżowi choć kilka słów. Ale potrafiłem tylko wykrztusić: „Niech Bóg ma w opiece naszego Papieża”. Patrzyłem w Jego mądre, zamysłone oczy. W uszach i umyśle ciągle brzmiały mi przed chwilą skierowane do nas słowa:

– To wasze trwanie we wspólnocie Kościoła, ludzie kultury, przedstawiciele środowisk twórczych, artyści, posiada znaczenie szczególne. Myślę o was, tutaj zgromadzonych – ale myślę także o wszystkich, którzy do tej samej wspólnoty należą zarówno na ziemi polskiej, jak i poza jej granicami: wielka wspólnota ludzi, którzy trwając przy wielorakim warsztacie twórczości, służą trwaniu i przetrwaniu narodu.

– Tak. Trzeba, abyście trwali w tej wspólnocie. Aby jeszcze wyostrzało się wasze poczucie odpowiedzialności za „piękno”, które jest kształtem „miłości”. Abyście pomagali trwać innym w tej samej wspólnocie Kościoła i narodu.

– Życzę wam, aby wasze dzieła służyły ludziom. Służyły społeczeństwu. Aby znajdowały odbiór. Aby budziły autentyczne głody ducha ludzkiego, zaspokajając je. Abyście znajdowali poszanowanie i wdzięczność ze strony tych, którym pragniecie służyć.

Te trzy tylko zdarzenia, jakie mogą mieć znaczenie dla mnie, artyście? Rozpierająca, ale szlachetna duma, że nasz rodak, poeta, dramaturg, aktor, a jednocześnie wielki duszpasterz zasiadł na tronie Piotrowym. Tylko głęboka wiara w miłość człowieka Pana naszego Jezusa Chrystusa mogła to uczynić. Wierzmy więc głęboko w moc Pana naszego.

Ojciec Święty użył też w swej do nas wypowiedzi cytatu: „Nie samym chlebem żyje człowiek...” (Mt 4, 4).

Tylko wiara w posłannictwo człowieka, który winien świadczyć dobro drugiemu człowiekowi, może stanowić o powołaniu artysty, aby jego twórczość służyła tej idei, rozwijała wrażliwość człowieka, a także uczucie prawdziwej przyjaźni i wskazywała drogę życia w miłości bliźniego.

I wreszcie – służba wobec swego społeczeństwa (narodu). – Trzeba, abyście trwali w tej wspólnotcie.

Rozumiem to jako część katechizmu dla artysty-chrześcijanina.

Czekamy z utęsknieniem na kolejną wizytę Jana Pawła II w naszej ojczyźnie. Wierzimy, że natchnie nasze serca i umysły nową siłą i wiarą w słuszność drogi, jaką obraliśmy, na której to drodze spodziewamy się zasłużonego zwycięstwa.

ANDRZEJ DRAWICZ, *pisarz, tłumacz*

Wydaje się, jakby wszystkie możliwe do znalezienia słowa na temat Jana Pawła II zostały już użyte. Przynajmniej u nas Polaków. Pozostaje tylko zapis całkiem osobisty.

Był to rok 1977 albo 1978. Kolonia. Biskupi polscy z prymasem Wyszyńskim gościli u biskupów niemieckich. Stałem w łańcuszku gapiów przed kolońskim katedralnym gigantem, gdy biskupi szli ku niemu przez plac, nieśpiesznie, przeprowadzani oklaskami. Przodem – Ksiądz Prymas bodaj z kardynałem Höffnerem, przewodniczącym niemieckiej Konferencji Episkopatu. Potem był odstęp, stosownie do hierarchicznego układu, a dalej kroczyli inni dostojnicy, wśród nich kardynał Wojtyła, z twarzą uduchowioną od modlitwy czy rozmyślań. Uwaga widzów skupiona była jednak wyłącznie na Prymasie; jemu klaskano, jego pokazywano sobie palcami. To właśnie wywołało we mnie wówczas odruch wewnętrznego buntu, do którego muszę się uczciwie przyznać, jeśli z perspektywy wielu lat wygląda to dziś równie naiwnie i niestosownie. Ale tak było. Myślałem sobie wtedy: do licha, cóż za hierarchiczność w tym Kościele! Wszystkie zaszczyty dla Pierwszego! Zupełnie jak wśród świeckich! A kardynała Wojtyły, choć tak fajny i nasz, nikt nie zauważa! Gdzie sprawiedliwość?...

Z tymi myślami szedłem kilkanaście kroków z zewnętrznej strony szpaleru, starając się złowić spojrzenie swojego faworyta, powiedzieć Mu wzrokiem coś dobrego i dlań tylko przeznaczonego... Ale nic nie nastąpiło, Kardynał był ciągle zapatrzony w głąb siebie, potem cały niewielki pochód zniknął w katedrze i nastąpiła uroczysta Msza.

Wszyscy, którzy pamiętają tamte lata, nie zdziwią się tej szczególnej sympatii dla krakowskiego Kardynała. Odczuwaliśmy ją powszechnie w kręgach opozycyjnych, gdzie ks. Wojtyła uchodził za protektora dysydentów, doskonałego znawcę naszych spraw, człowieka – jak ośmielaliśmy się przypuszczać – o poglądach bliskich ówczesnym kręgom, umownie mówiąc, wokół KORowskim. Wiedzieliśmy, że

władza Go nie znosi i często daje to odczuć w postaci drobnych i większych szykan. Wiedzieliśmy również, że ten Książe Kościoła jest mądrze i szeroko otwarty na troski świeckich o sprawy publiczne; słyszeliśmy o Jego bezpośredniości i poczuciu humoru. Od razu dodam, że wszystko to potwierdziło się także i w czasie wizyty, o której mowa. Opowiadał mi polski wydawca z zagranicy, że odwiedził wówczas kardynała Wojtyłę w kolońskim hotelu i zaproponował swoje – w kraju naturalnie zakazane – edycje. Oferenta uderzyła rzeczowa i kompetentna reakcja. „O tym słyszałem, bardzo dziękuję, przyda się. To też. To mam. To mam. To dla moich księży. To bardzo ważne. To już dostałem.” Tak to mniej więcej wyglądało. Kiedy wydawca wyraził podziw dla znajomości rzeczy, usłyszał w odpowiedzi: „Cóż pan chce, ja też przecież jestem dysydem!” *Relata refero*, ale sądzę, że tak właśnie albo prawie tak mogło być.

Kiedy patrzyłem wówczas, zza szpaleru, na Księdza Kardynała, myślałem sobie jeszcze i to, że zasłużył na wyróżnienie i że Mu tego z całego serca życzę. Jakimiż nieoczekiwanymi zrządzieniami Opatrzności spełniają się takie życzenia, nie tylko moje przecież...

Potem była pierwsza papieska wizyta w kraju, którą śledziłem z daleka, zza morza. Potem druga, w roku 1983, w parę miesięcy po zniesieniu stanu wojennego, kiedy już wiedzieliśmy i czuliśmy dokładnie, ile te przyjazdy znaczą. Dzięki Tadeuszowi Mazowieckiemu, którego rozpoznano i przepuszczono wraz z asystą, udało mi się wepchnąć na skwerek przed krakowskim Pałacem Arcybiskupim. Tu, na jednej nodze, przestałem ze trzy godziny, nie zauważając upływu czasu, w oczekiwaniu na przyjazd Ojca Świętego z Wawelu. Była atmosfera żarliwej ufności i pewności, że wszystko musi się udać, skoro On tu jest. Wreszcie przyjechał, stanął w oknie – biała sylwetka w świetle reflektorów, w obramowaniu letniej nocy – porozmawiał, pośpiewał z tłumem, poprosił, żeby Mu pozwolono pójść spać. Długo jeszcze nie pozwalano. Potem była wizyta trzecia i spotkanie w kościele Św. Krzyża, kiedy Ojciec Święty szedł wzdłuż szeregów, zatrzymując się przy każdym z nas i dowodząc, że o każdym coś wie, że czyta, ogląda, pamięta. Każdy dostępował swojej satysfakcji. Mnie też zostało to wielkodusznie ofiarowane. Przez chwilę rozmawialiśmy o Wschodzie. „Nasi rosyjscy, ukraińscy i białoruscy bracia nie tracą nadziei na wizytę Waszej Świątobliwości” – powiedziałem. „Jeśli Bóg poprowadzi” – odpowiedział Papież.

A potem było coś jeszcze. Kiedy bardzo piękny i bogaty rytuał spotkania dobiegł końca, Ojciec Święty ruszył ku wyjściu, co trwało długo, bo znowu zatrzymywał się co krok dla rozmowy. Tłum ruszył za Nim. Byłem o kilka kroków z tyłu i patrzyłem na twarze ludzi wpatrzonych w Papieża. Nigdy jeszcze takich polskich twarzy nie widziałem. Były oświetlone wewnętrznym blaskiem. Wszyscy przyszliśmy do tego kościoła po takich sobie, jakimi na co dzień być nie potrafimy.

Teraz, kiedy bywa ciężko i mimo woli chce się czasem myśleć o ludziach źle – przypominam sobie te twarze. Na dowód, że jednak...

Od tamtej pory bardzo dużo się stało. Przeżyliśmy czasy wzlotów i porę goryczy. Rytm zmian jest przyspieszony, stajemy wobec sytuacji jeszcze wczoraj niewyobrażalnej. Można stracić głowę.

Dlatego szczególnie dobrze jest wiedzieć, że On jest. Z daleka współuczestniczy. Stwarza elementy pewności, constans. Jest – i myśli, ustawicznie obecny. I niezmienny.

W takich jak nasze czasach stanowi to wielkie pokrzepienie. Często o Nim myślę. Spotkało Go o wiele więcej, niż mogłem Mu życzyć wówczas, w Kolonii. Ale i ciężar jest znacznie większy. Umie jednak podolać wszystkiemu. Świeci nam z daleka.

W tym wszystkim, co powiedział, jest jedno zdanie z końca pierwszej pielgrzymki, którego nie mogę czytać bez skurczu w gardle, bo nasuwa myśl o ludzkim dramacie, przysłoniętym przez wspaniałość arcybiskupiego wywyższenia:

„Na odchodnym całuję tę ziemię, z którą nigdy nie może się rozstać moje serce”.

Dobrze jest myśleć, że niedługo znów tutaj będzie i na parę dni staniemy się przy Nim lepsi.

JAN ENGLERT, *aktor*

W początku lat sześćdziesiątych dr Sołtysik, mój teść, dyrektor szpitala w Wadowicach i lekarz wielu okolicznych zakonów i klasztorów, człowiek głęboko wierzący, powiedział o ówczesnym biskupie Karolu Wojtyłe, którego był osobistym lekarzem przez wiele lat: „On będzie papieżem”.

Oczywiście ani ja, ani nikt w to głębokie przeświadczenie dra Sołtysika nie wierzył.

Dr Sołtysik nie dożył pamiętnego konklawe w roku 1978. Ale wiadomość o wyborze Polaka na głowę Kościoła katolickiego poprzez tę profetyczną wiarę mojego teścia, która znalazła potwierdzenie w rzeczywistości, wstrząsnęła mną podwójnie. Jakby w tej gonitwie lat siedemdziesiątych prowadzących do beznadziei, otepiających moralnie, nagle odsoniła prostą prawdę, że „wiarą czyni cuda”.

Sądzę, że ten dzień i ta chwila dla większości Polaków stały się, świadomie lub podświadomie, objawieniem prawdy.

Potem pierwsza wizyta Ojca Świętego w kraju. Msza św. na placu Zwycięstwa, bezgraniczne tłumy wierzących i niewierzących, entuzjastów i sceptyków – wszystkich ogarniętych czymś irracjonalnie czystym, czymś, dla czego każdy znajduje nazwę na swój własny użytek, a co ogólnie można by nazwać nadzieją. I ta cisza, gdy Papież ma mówić, gdy mówi, gdy bierze oddech, to oczekiwanie na Słowo. Na każde Słowo.

Stoję gdzieś w ludzkiej ciżbie, której bieganiny, codziennego chamstwa, nietolerancji i brzydoty nie lubię... i nagle czuję, że wszyscy oddychamy wspólnie, że myślimy i czujemy podobnie; jestem dumny, że ci ludzie wokół mnie są tak piękni, czyści, tolerancyjni i szlachetni, że jestem jednym z nich.

To uczucie wspólnoty będzie mi towarzyszyło także przy następnych wizytach Ojca Świętego w Polsce. Wówczas będę już bliżej Niego. I w kościele kapucynów, gdzie metr ode mnie Papież przytuli panią Sadowską, matkę zamordowanego Grzegorza Przemyka, a ona w ciągu

tych kilkunastu lub kilkadziesiąt sekund na moich oczach odnajdzie spokój, a cały kościół, wszyscy, ulegną tej chwili i będą płakali nie wstydzając się łez. I na Stadionie Dziesięciolecia, gdzie wiele z tysięcy ludzi przyszło nie po to, by się modlić, gdzie Msza św. tak łatwo mogła się przemienić w wiec, gdzie *entourage* sprzyjał sportowej aurze igrzysk żadnego krwi tłumu i gdzie Ojciec Święty zachwyił mnie swą mądrością polityczną, swą umiejętnością panowania nie tylko nad sercami, ale i nad głowami rozgorączkowanego narodu.

I wreszcie trzecia wizyta – kościół Św. Krzyża, spotkanie z ludźmi kultury i nauki. Kilka wymienionych słów, spojrzenie, które zdaje się zniewalać, bezpośrednia fizyczna bliskość poddana zawodowej próbie analizy fenomenu tego Człowieka i Jego charyzmy.

I wszystkie homilie, każda podporządkowana dobru ziemskiego życia człowieka – pracy i wolności poprzez tę pracę. Kolejny raz słyszę i czuję to, co chcę usłyszeć i poczuć. Kolejny raz otrzymuję zastrzyk optymizmu, siły i wiary. Wiary w sens działania, wiary w sens życia naszego tu, na ziemi. „Na t e j ziemi” – jak zakończył swą pierwszą warszawską homilię Papież w 1979 roku.

Czy potrzeba tej właśnie wiary jest równie odczuwalna i poza ojczystym krajem Ojca Świętego? Sądzę, że tak. Bliskość i siła Jana Pawła II tkwi w tym, że jest On papieżem ludzi, że nad ludźmi się pochyla, że ich dotyka i pozwala sobie dotykać. Nie poucza, nie gromi, nie schlebia – On podsuwa ludziom najwłaściwsze rozwiązanie ich problemów. W sposób mądry, taktowny, niekolokwialny uczy, jak żyć. Uczy jednostki, narody, państwa, ludzkość. Uczy, jak żyć. W oparciu o chrześcijańską Wiarę, Nadzieję i Miłość daje siły, by żyć na ziemi. Na t e j ziemi.

*Prof. ALEKSANDER GIEYSZTOR, historyk,
prezes PAN*

Do wielkiej drogi rozstrzygających zdarzeń i najczynniejszych pośród nich ludzi, do drogi, która z daleka niesie dzień dzisiejszy ku przyszłości, dochodzą pomniejsze ścieżki. Doprowadzają one swych przechodniów niekiedy szczęśliwym dla nich trafem do spotkań na szlaku przemierzonym przez osobowości największego wymiaru.

Takim to przypadkiem już w dobie krakowskich rządów diecezją Karola Wojtyły parokrotnie zdarzyło mi się stanąć przed Jego oczyma. Najwcześniejszą sposobnością było dziewięćsetlecie opactwa tynieckiego, gdy wypadło mi mówić w kościele opackim o początkach benedyktynów w Polsce i Tyńcu, dokąd przybyli z Nadrenii, i usłyszeć z ust Metropolity dowód uważnego słuchania i refleksję nad europejską skalą tego polskiego zjawiska.

Przyszło z kolei spotkanie w domu metropolitalnym w Krakowie w przeddzień innego dziewięćsetlecia, gdy zaproszona grupa uczonych poddała aktualizacji badawczej factum św. Stanisława. Gospodarz miejsca, wysłuchawszy przy swoim stoliku ze skupioną, choć znakomicie podzielną uwagą debaty historyków, wysunął z niej szerokim i trafnym słowem konsekwencje historyczne tego narodowego kultu i jego idei ludzkiego prawa oporu przed tym, co niesprawiedliwe w ciężającej nad społeczeństwem władzy.

Jeszcze jedna sposobność krakowska to odwiedziny Metropolity wraz z grupą historyków Kościoła z wielu krajów. Niektórzy z nich pamiętali o rozprawie Karola Wojtyły z 1959 roku o penitencji w Dekrecie Gracjana, zabytku prawa kanonicznego z XII w. Kardynał Metropolita z uśmiechem zadziwił się nad przetrwaniem w nauce tego produktu swego wczesnego warsztatu naukowego i podjął rozmowę jako jeden z kolegów po fachu historycznym.

Potem nadszedł pontyfikat u Św. Piotra i potoczyły się kolejne zbliżenia. Każde ujrzenie tego Papieża, także z tłumu, jest zawsze zbliżeniem dzięki Jego darowi bezpośredniego i intensywnego sięgania

do każdego słuchacza zarówno w cizbie, jak w najmniejszej grupie, czy w rozmowie osobnej.

W czasie zagrożonej już naszej nadziei, w Rzymie, w początkach listopada 1981 roku – staraniem Uniwersytetu Laterańskiego i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego — nawiązując do papieskiej homilii z Gniezna na Zielone Świąta 1979 roku, przeprowadzono międzynarodowe dwuosobowe kolokwium o wspólnych chrześcijańskich korzeniach narodów Europy. Rok później wydane dwa tomy zawierały odczyty z sesji plenarnych i komunikaty z dwunastu sekcji kolokwium. Jan Paweł II przyjął uczestników w Sali Klementyńskiej pałacu watykańskiego. Przypomniwał europejskie skutki cyrylo-metodiańskiej misji wśród Słowian jako działania komplementarnego wobec kultury łacińskiego Zachodu, z którym wschód Europy łączy się w jedność wyższego rzędu. Jednak „nie dość pozostawać w płaszczyźnie akademickiej, trzeba szukać podwalin duchowych Europy i każdego narodu, aby znaleźć podstawę, na której mogłyby się znaleźć różne napięcia i różne nurty myślowe, aby uniknąć dalszych tragedii, a nade wszystko, aby wskazać człowiekowi, jednostce, która różnymi ścieżkami zmierza do Domu Ojca, sens i kierunek jego egzystencji”. Dwa wieczory wcześniej dziesiątek polskich uczestników kolokwium dostąpił zaszczytu wieczery w dzień św. Karola Boromeusza w apartamencie papieskim. Niepokój i determinacja, nadzieja, sprzeczne przewidywania i przeczucia z jednej strony, a z drugiej mądre zatroskanie o Polskę otwierającą z trudem nową kartę swych najnowszych dziejów, troska o najbliższe jutro i ufność w niedalekie pojutrze.

To samo zaufanie w siły moralne swego narodu usłyszeliśmy, gdy znowu w niewielkim gronie siedzieliśmy wokół papieskiego stołu na kolacji w Castel Gandolfo latem 1983 roku w czasie spotkania intelektualistów europejskich skupionych w wiedeńskim Instytucie Wiedzy o Człowieku. Jak wiadomo, Ojciec Święty swoje niedługie wakacje letnie przeplata co roku szczupłym kolokwium, jednego roku z humanistami, innego z przedstawicielami nauk „twardych”. Tym razem kilkanaście osób z Europy i spoza niej przedstawiło w swych zagajeniach dyskusji człowieka w świetle nauki współczesnej. Odpowiednia publikacja przekazała w paru językach wygłoszone tam teksty. I tu tę samą niesłabnącą spostrzegawczość słuchacza wystąpien połączył Papież z ośmielającą otwartością rozmów w czasie przerw na tarasie nad Jeziorem Albańskim. I to grono nie oparło się emocji aż do

łży w oku płynącej z przeżycia kilku dni, czasem zaczynających się od Mszy św. o 7 rano w kaplicy papieskiej, a wypełnionych prawdziwie radiacyjną osobowością i umysłowością inicjatora spotkania.

„W trudnych dniach 1983 roku”, jak sam je określił Papież w czasie swej drugiej pielgrzymki do kraju, do Zamku Królewskiego w Warszawie nie wstąpił; jego wnętrza przyjęły dary w postaci dzieł sztuki składane przezeń i w 1979, i w 1983 roku. Natomiast trzecia podróż w 1987 roku miała w swym programie dłuższy, a nawet przez Papieża przedłużony pobyt w salach zamkowych. Zaczął go od spotkania z władzami państwowymi w Sali Senatorskiej, gdzie uczcił odbudowę Zamku z ruin i jego miejsce w tradycji państwowości, a główne swe przesłanie zawarł w słowach o osobowej wartości człowieka: „człowiek jest zawsze pierwszy”. Tam też padło przypomnienie tekstu z Soboru Watykańskiego Drugiego: „Przyszły los ludzkości leży w ręku tych, którzy potrafią podać następnym pokoleniom motywy życia i nadziei”. Tu też nastąpiło przekazanie daru w postaci portretu kardynała Stanisława Hozjusza. Papież odbył długą, ponad wyznaczone ramy rozmowę z przewodniczącym Rady Państwa, nawiedził Kaplicę Królewską stawiając na ołtarzu kielich włoski z XVIII wieku. Uważnie patrzył w przejściu przez sale na dzieło rekonstrukcji pytając krótko i celnie. Zszedł do przyziemia, gdzie obejrzał wystawę poświęconą Polsce Jagiellonów, zaskakując obecnych swoją pamięcią obrazów wypożyczonych z Jego dawnej diecezji („a to stamtąd, gdzie ksiądz Stanisław proboszczem”). W parę lat później załoga zamkowa złożyła Janowi Pawłowi II w darze odlew Orła Białego z Sali Balowej.

I jeszcze raz Castel Gandolfo, tym razem w sierpniu 1989 roku, i na temat zagadnień społeczeństwa obywatelskiego wczoraj, dziś i jutro. I znów garść Polaków osobno na posiłku wieczornym wokół Papieża i spraw Polaków, i nasycone treścią debaty niewielkiego międzynarodowego plenum z całym zestawem odniesień do aktualności europejskiej. Znowu kilkakrotnie w ciągu każdego dnia kontakty bezpośrednie uczestników i zamknięcie przez Papieża obrad konkluzją o godności człowieka, niezbywalności jego praw i obowiązków społecznych, o przestrzeni duchowej jego wolności. I tym razem wychodząc z bramy pałacowej na zewnątrz, na świat i Polskę, odczuliśmy nagłą nostalgię za tym, co przeżyliśmy, i za następnym spotkaniem, nawet z dala i wśród rzeszy ludzkiej, łaknącej tego właśnie żywego słowa.

Ks. biskup TADEUSZ GOCŁOWSKI

Był to pewnie rok 1950. Jako młody kleryk w Zgromadzeniu Księży Misjonarzy mieszkałem w domu Zgromadzenia w Krakowie przy ulicy Św. Filipa. W pobliżu znajdował się kościół parafii Św. Floriana. My klerycy chodziliśmy tam usługiwać do Mszy św. w większe uroczystości. Mnie przypadła asysta w czasie Mszy św. wielkanocnej tego roku. Rozpoczynałem dopiero studia i trudno było mówić o mojej pogłębionej znajomości teologii. Kazanie w czasie tej Mszy św. wygłosił młody wikariusz tej parafii, ks. Karol Wojtyła. Nie pamiętam dziś, jaka była konstrukcja tamtego kazania, ale bardzo mi ono przypadło do gustu. Zapamiętałem nazwisko młodego kapłana. Wspominam o tym, bo to było moje pierwsze spotkanie z tym Człowiekiem. Potem nastąpiło wiele innych, ale to już było sześć lat później, gdy po święceniach kapłańskich odbywałem studia na KUL-u, gdzie docentem był ks. Karol Wojtyła. Nie słuchałem Jego wykładów, bo studiowałem prawo kanoniczne, ale nas studentów kapłanów urzekła autentyczna pobożność tego kapłana, np. odprawiał bardzo regularnie *Drogę krzyżową* w kaplicy Konwiktu Księży. I wreszcie bliższe moje kontakty już z Księdzem Kardynałem miały miejsce w latach 1973–1978. Byłem w tym czasie wizytatorem (prowincjałem) Polskiej Prowincji Zgromadzenia Księży Misjonarzy w Krakowie. Te spotkania miały zupełnie inny charakter. Była to już znajomość osobista. Ale przecież nie o takich spotkaniach mam mówić, lecz o spotkaniach z Janem Pawłem II.

Gdańsk był mi zawsze bliski ze względu na jego kulturę, historię. Ale stał mi się jeszcze bliższy, gdy podjąłem tu pracę w roku 1960 jako wykładowca prawa kanonicznego w Seminarium Gdańskim. Tu przeżyłem dramatyczny Grudzień roku 1970. Tu wróciłem po dziewięciu latach pracy w Krakowie w lipcu 1982 roku. Trwał stan wojenny. Wielu mych przyjaciół było jeszcze w obozach dla internowanych. Podjąłem znowu pracę w Seminarium, tym razem na stanowisku rektora. Na tym stanowisku zastała mnie nominacja papieska powołująca mnie na

biskupa pomocniczego w diecezji gdańskiej. Był to już marzec roku 1983. Kilka miesięcy wcześniej poznałem p. Lecha Wałęsę, który właśnie wrócił z internowania. Rozpoczęły się spotkania p. Lecha Wałęsy z różnymi ludźmi, którzy przybywali do Gdańska. Spotkania te odbywały się na plebanii kościoła Mariackiego. Arcybiskup Bronisław Dąbrowski, gwarantując bezpieczeństwo Lechowi Wałęsie, prosił, bym uczestniczył w tych spotkaniach. Te spotkania zbliżyły mnie do p. Lecha Wałęsy, a następnie przyczyniły się do wspólnych naszych spotkań z Ojcem Świętym Janem Pawłem II.

Pierwsze z nich miało miejsce w Dolinie Chochołowskiej w czerwcu 1983 roku. Komuniści byli zdecydowanie przeciwni temu spotkaniu i dlatego odrzucali różne propozycje dotyczące jego miejsca. Pomijam szczegóły. Pragnę natomiast powiedzieć, że wystartowaliśmy z lotniska wojskowego w Pruszczu Gdańskim helikopterem z zamiarem dotarcia do Krakowa, gdzie w Domu Metropolity miało się odbyć spotkanie. Tymczasem w trakcie lotu otrzymałem informację, że lecimy do Zakopanego. Ostatecznie spotkanie odbyło się w cudownej scenerii Tatr w zaciszu domu wczasowego w Dolinie Chochołowskiej. Trwało pewnie 40 minut. Rozmowa dotyczyła oczywiście sytuacji w kraju, atmosfery wśród ludzi pracy, perspektyw działalności NSZZ „Solidarność”. Co mnie w tej rozmowie Jana Pawła II z Lechem Wałęsą uderzyło, to pewność zwycięstwa idei, która tak powszechnie ogarnęła Polskę. Rozmówcy byli w pełni zgodni, że choć jest trudno, to jednak fakty są nieodwracalne. Było to w dwa lata po zamachu na życie Papieża, więc p. Lech Wałęsa spytał o zdrowie Ojca Świętego. Ten odpowiedział: „Nie odczuwam żadnych konsekwencji tamtego zamachu”. A po chwili dodał: „Oczywiście! Jestem dwa lata starszy od tamtego czasu”. Wracaliśmy tym samym helikopterem do Gdańska.

Następne spotkanie Ojca Świętego z Lechem Wałęsą, w którym uczestniczyłem, miało miejsce w roku 1987 i odbyło się w oliwskiej rezydencji biskupów gdańskich. I to spotkanie napotykało duże trudności. Ojciec Święty przybył do Oliwy o godzinie 22.35. W domu biskupim czekała Go tym razem cała rodzina pp. Wałęsów. Rozmowa trwała do godziny 23.15. Była ona właściwie kontynuacją tamtej z Doliny Chochołowskiej. Nie tylko potwierdzała się teza o odchodzeniu systemu totalitarnego do historii, ale można już było dokładniej określić symptomy tego procesu. Główną myślą, która wracała w czasie rozmowy, było pytanie: jak najbardziej oszczędzić naród, uchronić

państwo przed postępującą destrukcją. Ojciec Święty podjął temat chrześcijańskiego etosu w łonie „Solidarności”, czemu dał potem szerszy wyraz we wspaniałej homilii wygłoszonej na Zaspie w czasie Mszy św. dla ludzi pracy.

Czas między drugim a trzecim spotkaniem był niezwykle trudny. Rok następny bowiem, 1988, to czas strajków studenckich i robotniczych, ale mimo wszystko coraz bardziej dostrzegało się zbliżający się koniec systemu totalitarnego. Mądra polityka „Solidarności” doprowadziła do rejestracji Związku w maju 1989 roku. Lech Wałęsa zawsze powtarzał, że po ponownej rejestracji „Solidarności” natychmiast uda się do Watykanu, by podziękować Ojcu Świętemu za stałą opiekę nad Związkiem w trudnym czasie jego nielegalnej działalności. Tak się stało! Następnego dnia po przywróceniu praw Związkowi udaliśmy się do Rzymu. Przewodniczącemu towarzyszyły osoby, które stale wspierały go w minionym okresie, a więc pp. T. Mazowiecki, B. Geremek i W. Trzeciakowski, a także p. Danuta i biskup gdański. W następnym dniu w godzinach południowych doszło, tym razem w Watykanie, do spotkania Ojca Świętego i p. Wałęsy, w którym to spotkaniu również uczestniczyłem. Najpierw Ojciec Święty udzielił prywatnej audiencji Przewodniczącemu, a potem w czasie półtorej godziny trwającego obiadu, w którym uczestniczyła cała delegacja, mogliśmy przedstawić Janowi Pawłowi II aktualną sytuację w Polsce. Czas był nadal bardzo trudny. Zbliżały się wybory parlamentarne, które miały być częściowo wolne. Wysoka kompetencja osób towarzyszących Przewodniczącemu pozwoliła na ukazanie Ojcu Świętemu pełnego politycznego obrazu ówczesnej Polski.

I wreszcie moje ostatnie wspólne spotkanie z Ojcem Świętym i p. Wałęsą. Miało to miejsce tym razem w Castel Gandolfo w dniu 27 sierpnia 1990 roku. Dzień wcześniej udaliśmy się wspólnie z p. Wałęsą specjalnym samolotem, przysłanym przez włoskich przyjaciół z Comunione e Liberazione do Rimini, by tam uczestniczyć w Meetingu 90. Spotkanie z Ojcem Świętym w Castel Gandolfo nazajutrz po uroczystości Matki Boskiej Częstochowskiej było nowym darem Papieża dla Polski. Najpierw uczestniczyliśmy we Mszy św. sprawowanej przez Ojca Świętego w koncelebrze z biskupem gdańskim. Uczestniczył w niej również ambasador RP przy Watykanie. Po Mszy św. Ojciec Święty podjął nas u siebie. W czasie półtoragodzinnej rozmowy przy śniadaniu, które spożywaliśmy tylko w trójkę w małej papieskiej jadalni w letniej

rezydencji papieży, można było poruszyć wszystkie tematy, które dotyczyły życia Polski przed wolnymi wyborami prezydenckimi, Ojciec Święty mówił o zagrożonej tożsamości chrześcijańskiej Europy, o niebezpieczeństwie fascynacji Polaków zlaicyzowaną Europą, o konieczności obrony zasad chrześcijańskich w życiu społeczeństwa polskiego. Przewodniczący przedstawił Ojcu Świętemu swoje obserwacje dotyczące ojczyzny w aktualnym momencie jej dziejów na tle innych państw Europy Wschodniej. Tak oto kończyło się moje czwarte spotkanie z Janem Pawłem II, który w rozmowie z aktualnym prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej zastanawiał się nad losem naszej wspólnej ojczyzny, zrzucającej z siebie jarzmo totalitarnego systemu komunistycznego przy pomocy idei, z którą utożsamiał się naród, a która nawiązywała do mocnych korzeni chrześcijańskich wartości.

Jako biskup gdański miałem jeszcze wiele innych spotkań z Janem Pawłem II, ale nosiły one inny charakter niż te, które w ogromnym skrócie przedstawiłem. Dla tego Papieża wszystkie sprawy dotyczące człowieka bardzo się ze sobą zazębiają i dlatego są Mu bliskie tak sprawy czysto religijne, jak i cała rzeczywistość ziemską, w której obraca się człowiek, a która jest mu dana jako droga do samorealizacji, mająca go prowadzić do Boga. Widać to w pełni w całym nauczaniu Papieża, ale zwłaszcza w Jego przesłaniu do własnego narodu. Czekamy na Jego słowa, które wypowie do wolnej już Polski w czasie czwartej pielgrzymki do ojczyzny.

Prof. **ZBIGNIEW RYSZARD GRABOWSKI**, *chemik*

Spotkania moje z papieżem Janem Pawłem II były nieliczne, ale wywarły na mnie – przekonany racjonalistą, wychowanym na lekturach Voltaire’a i France’a – wpływ nie do zatarcia. W spotkaniach tych braliśmy zawsze udział wspólnie z Anną, mą żoną, wnoszącą do naszego małżeństwa element wiary.

Pierwsze z tych spotkań odbyły się jeszcze w Krakowie, w mieszkaniu wspólnych wówczas przyjaciół, profesorostwa J. Raz było to przy znakomitej, jak to zwykle u pani prof. J., kolacji – w niewielkim gronie pięciu osób: kardynał Wojtyła, państwo J. i my. Był to rok 1976 lub 1977. W społeczeństwie, zaskoczonym „ścieżkami zdrowia”, jawnymi niesprawiedliwościami sądowymi, dławionym cenzurą – wzbierało napięcie. Nawet księży z otoczenia Kardynała napadani byli przez „nieznanych sprawców”. Kardynał Wojtyła, w rodzinie państwa J. zwany „Wujkiem”, słuchał wszystkiego uważnie, pytał, ale sam opowiadał wstrzemięźliwie. Czulem, jak waży wypowiedziane słowa, pamiętając o odpowiedzialności męża stanu Kościoła. Przy tym Jego ufność i nadzieja podtrzymywały nas na duchu wśród gęstniejącej atmosfery tego okresu.

Kardynał Metropolita krakowski lubił spotykać się czasem na dyskusjach z ludźmi nauki, najczęściej z dziedziny nauk ścisłych. Seminaria te odbywały się również w mieszkaniu państwa J., w gronie ludzi reprezentujących najróżniejsze kierunki wykształcenia. Przyszło mi kiedyś na takim seminarium wprowadzać w dyskusję na temat etyki badacza Przyrody. Podstawowym zagadnieniem była nadrzędna rola prawdy w skali wartości badacza. Dość burzliwe i rozbieżne wypowiedzi Kardynał podsumowywał zwięźle a wnikliwie. Wówczas to prof. J., znany fizyk, poruszył w dyskusji problem Galileusza, który właśnie prawdy bronił, a został za to potępiony przez Kościół i był zmuszony do wyrzeczenia się jej. Kardynał Wojtyła odpowiadał, że Galileusz był wprawdzie wielkim uczonym i odkrywcą, ale to, co dziś może się wydawać oczywistym błędem Kościoła, mogło nie być nim wówczas,

przy ówczesnym stanie wiedzy, umysłów i dowodów. Wreszcie rzekł coś w rodzaju: „No tak, ale gdybym miał na to jakiś wpływ w Kościele, to chciałbym powrócić do sprawy Galileusza!”

Tym większe wrażenie wywarł na mnie fakt, że wkrótce po wyborze kardynała Wojtyły na tron papieski wszczęto w Watykanie rewizję procesu Galileusza. Co więcej, nie było chyba przypadkiem, że Jan Paweł II odbywał pierwsze podróże-pielgrzymki swego pontyfikatu postawionym do Jego dyspozycji przez „Alitalię” białym samolotem o nazwie „Galileo Galilei”...

Jesienią 1978 roku miało się odbyć kolejne seminarium u państwa J. z udziałem Kardynała – ale do tego już nie doszło.

Był to okres ponury. Pogłębiająca się depresja gospodarcza, represyjność i naoczna niereformowalność systemu, wreszcie i pozorna bezskuteczność działań opozycyjnych – wszystko to u ludzi, z którymi się stykałem, wywoływało uczucie zniechęcenia i beznadziejności. Nie chcąc się temu poddawać, mawiałem – przewyciężając swój światopogląd – że nadziei tracić nie wolno, że wbrew argumentom rozumu może się przecież zdarzyć coś zupełnie niespodziewanego, jakiś cud. I nadszedł dzień, gdy ogłoszono niespodziewany wynik pamiętnego konklawe!

W kilka miesięcy później witaliśmy papieża Jana Pawła II w Warszawie, wśród niebywałego entuzjazmu. Ruchem ulicznym kierowali księża w sutannach, porządek wśród niezliczonych tłumów utrzymywała młodzieżowa „milicja” parafialna, a wysoko nad miastem wznosił się krzyż; czyż rok temu mógłby ktoś to przewidzieć? Każdy mógł dostrzec i radość, i troskę na twarzy Ojca Świętego, gdy odwiedzał swój trudny kraj, i mógł posłyszeć Jego głos, niosący słowa ufności i mądrego pouczenia, nie słyszane publicznie od bardzo wielu lat. Ziścił się cud; ożyły serca i umysły. Stał się możliwy sierpień 1980 i następnych szesnaście miesięcy.

Począwszy od roku 1980, kontynuacją krakowskich spotkań – seminariów stały się seminaria „Nauka – Religia – Dzieje”, odbywające się co dwa lata w Castel Gandolfo z udziałem (i na zaproszenie) Papieża. Dwukrotnie (w latach 1982 i 1984), mimo zaproszenia, nie zdołaliśmy przyjechać – z powodu odmowy paszportu. Moje referaty, pierwszy – o powstaniu Życia, drugi – o perspektywach dalszego życia Człowieka na Ziemi, ukazały się później w książkowych wydaniach seminariów; jeden był nawet odtworzony w Castel Gandolfo z taśmy, ale nam wyjazdu do Ojca Świętego wzbroniono.

Dopiero w roku 1986, zaraz po zdjęciu ze mnie tajemniczego „embarga”, uniemożliwiającego mi od chwili wprowadzenia stanu wojennego wszelkie wyjazdy na Zachód – przyjechaliliśmy na IV seminarium do Castel Gandolfo.

W ciągu tych kilku niezapomnianych dni miałem sposobność przebywać blisko Papieża, słuchać Jego wypowiedzi, rozmawiać z Nim w przerwach, siedzieć przy Nim przy stole w czasie posiłków, uczestniczyć wreszcie w odprawianych przezeń Mszach św.

Na seminarium ubrani byliśmy wszyscy raczej uroczyście. Nie mogąc w tym stroju znieść panującego wówczas upału, zwróciłem się do Papieża: „Ojciec Święty jest tu wprawdzie na wakacjach, ale mimo to, jeśli nie uzyskam zgody na zdjęcie marynarki i krawata – przybędzie Ojcu Świętemu kłopot z moim pogrzebem...” Niektórzy uczestnicy seminarium wzięli mi to za złe, ale Papież uśmiechnął się: „Ależ oczywiście, niech pan to zrzuci; szkoda tylko, że ja nie mogę postąpić podobnie!”

Z rozmów tych i wrażeń chciałbym wspomnieć choćby trzy. (I) Pomimo tylu zajęć i trosk o problemy wszystkich kultur i kontynentów, Ojciec Święty jest głęboko zaangażowany w sprawy polskie. Miał niestrudzoną ciekawość istotnych spraw krajowych i wciąż o nie pytał. Kiedyś, przy kolacji, odczytał nam ważny artykuł Edmunda Osmańczyka, ogłoszony w „Tygodniku Powszechnym”. Artykuł ten stawiał kilka ważnych pytań, związanych z aktualną i przyszłą sytuacją Polski; Ojciec Święty kazał nam próbować odpowiadać na te pytania. Kiedy indziej polecił mi zgadnąć, jaką ma teraz lekturę „do poduszki”. Okazało się, ku mojemu zdumieniu, że czyta Maurycego Mochnackiego historię powstania listopadowego!

(II) Przedmiotem najważniejszej chyba dyskusji na tym seminarium stał się problem przepaści, jaka w ostatnich 200–300 latach rozwarła się między naukami empirycznymi a nauką Kościoła. Było to przedmiotem referatu ks. prof. Michała Hellera, a po części i referatu ks. prof. Józefa Życińskiego. Jedną z głównych tez było tu ukazanie, że winne są temu nie tyle rzeczywiste konflikty między Objawieniem a poznaniem empirycznym, ile z jednej strony zadufanie nauki, z drugiej – nienadążanie Kościoła za postępem nauk. Uczeni dziś stali się skromniejsi, ale trwa niezrozumienie współczesnej nauki przez ludzi Kościoła.

Po ożywionej dyskusji długa i głęboko zaangażowana wypowiedź Ojca Świętego stała się kluczowym momentem seminarium – i pozwoliła

nam później rozjechać się w przekonaniu, że uczestniczyliśmy w czymś bardzo doniosłym, co zaowocuje zapewne nowym stosunkiem Nauki i Wiary.

(III) Największe wrażenie wywarła na mnie jednak sama osobowość Papieża. Oddziałuje On wokoło swym uduchowieniem. Odczuwałem to za każdym razem, w każdej rozmowie. Przejmowało to jakimś dobrym i głębokim uczuciem, ilekroć mogłem spojrzeć Mu w oczy.

Szczególnie wstrząsające wrażenie wywierały na mnie modlitwy Papieża. Gdy w czasie odprawianych przezeń Mszy św. zwracał się twarzą do nas – miał promienne oblicze. Gdy potem klękał do cichej modlitwy – pogrążał się w niej, twarz Jego zmieniała się nie do poznania; wyglądał jak inny człowiek, ciężko cierpiący. Czuło się, że jest On duchem niezmiernie od nas daleko. Chwile te przedłużały się czasem niepokojąco. I nagle otwierał oczy, spoglądał w obraz Matki Boskiej, wyraz i kolor twarzy zmieniały Mu się w zdumiewająco krótkiej chwili – a zwracając się ku nam miał już twarz odmłodniałą, pełną siły i radości. Jak słyszałem od ludzi z Jego otoczenia, niezwykle głębokie pogrążenie się Papieża w modlitwie jest zawsze dla Niego źródłem nowych sił.

Spotkania z papieżem Janem Pawłem II były dla mnie nie tylko głębokimi przeżyciami, jakoś wpływały na mnie. Pod Jego wpływem i mój racjonalistyczno-scjencyjny światopogląd uległ erozji i utracił wiele ze swej pierwotnej spójności.

JULIA HARTWIG, poetka

André Frossard, katolicki pisarz francuski, swoje rozmowy z Ojcem Świętym zatytułował *Nie lękajcie się*.

Czy słowa te, „nie lękajcie się”, wypowiedziane przez Papieża, nie oddają najlepiej sensu posłania, jakie niesie On ludziom swojego wieku, który określaniany bywa niejednokrotnie jako „wiek niepokoju”?

Niepokój stał się jednym z żywiołów współczesności. Nadzieja uległa raz jeszcze zaćmieniu po II wojnie światowej. Człowiek przeraził się samego siebie. Stracił ufność w dzieło, które zostało mu powierzone, aby na sprawiedliwości, prawdzie i tolerancji oprzeć współzycie międzyludzkie. Opanował go na domiar strach przed nową wojną, przed zagrożeniem atomowym. Szukając pokrzepienia i pociechy nie natrafił na nikogo, komu mógłby zawierzyć. Potrzeba autorytetu moralnego jest w tych warunkach najbardziej naturalną potrzebą i autorytet ten znalazł dzisiejszy świat w osobie Jana Pawła II.

Wychodząc od prawd Ewangelii staje Papież po stronie uciskanych, słabych i krzywdzonych. Po stronie demokracji przeciw totalitaryzmowi i uciskowi władzy. Po stronie wolności, której daje sens pogłębiony, postulując wolność wewnętrzną, pojętą jako odpowiedzialne samostanowienie i otwarcie na transcendencję.

Wolność to pierwsze prawo przynależne każdej osobie ludzkiej, a pojęcie osoby związane jest nierozłącznie z chrystianizmem i naukami Papieża. Nic też dziwnego, że często nazywa się Jana Pawła II „Papieżem praw człowieka”.

W oparciu o Ewangelię wzywa też Papież do tolerancji, szerzy dzieło ekumenizmu, zapoczątkowane przez Sobór Watykański Drugi. Stosunek Papieża do judaizmu wydaje się tu szczególnie godny odnotowania, zważywszy na zadawnione niechęci świata chrześcijańskiego do Żydów i powracające objawy antysemityzmu, mimo straszliwej hekatombi Żydów w okresie II wojny światowej. Jednym z najbardziej wzruszających wydarzeń w ciągu dziesięciolecia pontyfikatu były niewątpliwie

odwiedziny Jana Pawła II w synagodze rzymskiej, a także pielgrzymka do obozu zagłady.

Myśląc o znaczeniu dla Polski wyboru Karola Wojtyły na Stolicę Piotrową trudno nie uznać tego faktu za rodzaj daru z nieba. I choć nie ma powodu, by chęcić się polskością Papieża, którego wielkość nie jest w żadnym stopniu naszą zasługą, a tylko Jego samego i zapewne jeszcze Ducha Świętego – to jednak doświadczenie historyczne i ludzkie, jakie wyniósł z naszego kraju, doświadczenie bolesne, ale nie pozbawiające otuchy, przyniosło nam wszystkim tutaj, na tej ziemi, błogosławione owoce.

Polacy potrzebują tego samego pokrzepienia ewangelicznego co inne narody świata. Może nawet w większym stopniu niż narody bogatsze i szczęśliwsze od nas, zważywszy na materialne i duchowe spustoszenia, jakich dokonała okupacja hitlerowska, a następnie stalinizm. Pomiatana osoba ludzka domaga się w pełni swoich praw, tak długo jej odmawianych. Na gruncie doznanych krzywd i upokorzeń rozpleniła się zrozumiała skądinąd nienawiść i chęć odwetu. „Zło dobrem zwyciężaj” – poucza mimo wszystko Papież, nie mniej przecież świadom dramatu polskiego niż my sami. „Nie pozwólcie, aby nienawiść była siłą wiodącą.”

Jedną z największych zasług „Solidarności” było wyciągnięcie wniosku z tych papieskich nauk i uznanie za swoją zasadę niestosowania przemocy.

Okres pontyfikatu Jana Pawła II okazał się w Polsce okresem odnowy religijnej. Nie zawsze pogłębionej, to prawda, przeżywającej momenty osłabienia, obniżenia temperatury religijnej, ale przecież ów fakt powrotu do Kościoła zauważyć się dał we wszystkich środowiskach społecznych, zwłaszcza w okresie stanu wojennego, kiedy ofiary ponoszone przez społeczeństwo spotkały się z powszechnym zrozumieniem w polskim Kościele. Niósł on wtedy pomoc potrzebującym, ubogim, internowanym, uwięzionym.

W roku 1991 Papież przybędzie do kraju odmienionego, wolnego i suwerennego, zmierzającego do demokracji.

I oto, rzecz paradoksalna, w tym kraju, wolnym wreszcie, potrzeba wsparcia duchowego wydaje mi się większa niż kiedykolwiek, poczucie niepewności i świadomość popełnianych błędów – bardziej doskwierające. Jak zagospodarować tę zdobytą tak niedawno, kuszącą i pełną niebezpieczeństw wolność? Jak ustalić godziwy i słuszny system warto-

ści w naszym życiu społecznym? Jak odrodzić życzliwość i poczucie wspólnoty? Jedność zachwianą przez odmienne opcje polityczne?

To zaledwie część pytań, jakie w sobie nosimy, to zaledwie część pytań, jakie odczyta w naszym sercu Papież.

Jako pracownik kultury, jako pisarz, stanę przed Nim jeszcze i z tym oczekiwaniem, że umocni nas w przekonaniu o miejscu należnym kulturze w życiu człowieka, że utwierdzi nas w naszym trudzie, którego owoce tak bardzo bywają kruche i tak nierzadko – lekceważone.

GUSTAW HOLOUBEK, *aktor*

Pierwsze moje spotkanie z Papieżem odbyło się w nierzeczywistości i dotąd nie jestem pewien, czy w ogóle miało miejsce. Wczesną jesienią 1979 roku odebrałem telefon, że jakaś bliżej nie znana mi instytucja, związana z Watykanem, zaprasza mnie do nagrania na płyty utworów poetyckich Karola Wojtyły. Rzec ma się odbyć w Rzymie i przyjazd mój jest pilny. W oznaczonej godzinie wyjazdu wszystko złożyło się niepomysłnie. Spóźniłem się na samolot. Musiałem zawiadomić telefonicznie znajomych mających mnie oczekiwać, że wyjadę następnego dnia pociągiem. Blisko trzy dni podróży, półsny – półkoszmary, jakie mnie w niej nawiedzały, kilkugodzinne samotne błędzenie po Rzymie, spowodowane nieporozumieniem w umówieniu się co do godziny przyjazdu, sprawiły, że samo nagranie tekstów Papieża w małym, niedoskonałym technicznie studio było fatalne. Zachrypnięty, głosem bez dźwięku, zdany wyłącznie na własne wzruszenie, utopiłem sens słów, szczególną dyscyplinę intelektualną tych słów, w lękach, łzach, widocznym wysiłku emocjonalnym.

Na przeszkodzie mojej ucieczce z Rzymu stanęła wiadomość, która upewniła mnie, że wszystko to odbywa się naprawdę. Następnego dnia po południu miałem zostać przyjęty przez Papieża na audiencji prywatnej.

Niewiele pamiętam z kolejności wydarzeń. Jakiś samochód wiozący mnie coraz węższymi uliczkami, mur watykański, w nim brama metalowa, ciężka, błędzenie przez podwórza okolone wysokimi, zimnymi budynkami, pojedyncze postaci duchownych przemykające w pośpiechu wąskimi chodnikami, wreszcie wjazd pod budynek nie różniący się od innych niczym szczególnym, dyskretny strażnik, wskazujący drzwi do windy, równie skromnej jak przedsionek do niej prowadzący, i pierwszy krok po opuszczeniu jej na którymś z pięter. Cisza, która towarzyszyła mi przez cały ciąg tej wędrówki, teraz stała się dotkliwie bolesna. Nie wiem, w jaki sposób dotarłem do drzwi pokoju wskazanego przez ks. Stanisława Dziwisza, nie bardzo też pamiętam, jak ten pokój wyglądał. Wiem tylko, że otoczyła mnie biel, biel, która wydała mi się wszechobecna w meblach, ścianach, w oknie.

Wszedł niepozornie, tak strasznie nieoczekiwanie, za wcześniej, i w tej jednej sekundzie runęło wszystko, co sobie wyobraziłem w ostatniej półgodzinie, całe moje kunsztowne przygotowanie na przyjęcie tego najwyższego szczytu. Stał tuż przede mną, z wyciągniętą ręką, a ja, całkowicie pozbawiony sił, uklękłem. Pomógł mi wstać, wskazał miejsce przy stole bardzo blisko siebie i spojrzał mi w oczy.

Od tej chwili rozumiałem, że dane mi jest spotkać człowieka, któremu Bóg w miłosierdziu swoim pozwolił stać się człowiekiem. Patrzył na mnie z niezmierną uwagą, a Jego milczenie nie było oczekiwaniem, ale prośbą o przyzwolenie poznania mojej twarzy, przywołania jej z niepamięci. Zupełnie tak, jakby spotkanie nasze miało być kontynuacją, a nie początkiem. Czystość tej intencji, zainteresowanie, z jakim to czynił, sprawiły, że zamknął się świat poza Nim i mną, że wszystko przestało istnieć poza jednym pragnieniem – aby oddać się całkowicie Jego ufności. I zamiast zwierzać się ze wszystkiego, skorzystałem z tej jednej jedynej możliwości spowiedzi, zacząłem coś mówić bez składu i ładu o piękności Jego poezji, o trudności, jaką niesie jej mówienie, o jej głębi, a zarazem prostocie. Powiedział: „Wie pan, gdybym nie był papieżem, nikt by tego nie czytał”. Potem już tylko słuchałem. Mówił o szacunku, jaki ma dla zawodu artysty, o wzniosłości teatru i jego posłannictwie. Że teraz z konieczności oddany literaturze i filozofii, musiał się od teatru oddalić. Prosił o przekazanie swojego błogosławieństwa rodzinie, wszystkim aktorom polskim. A kiedy do pokoju wszedł ksiądz Dziwisz dając do zrozumienia, że czas wizyty się skończył, powiedział: „Widzi pan, jak mnie pilnują”.

Ksiądz, który towarzyszył mi przy wyjściu, przekazał mi papieskie przyzwolenie na zwiedzenie ogrodów watykańskich i dachów Bazyliki Św. Piotra. Kiedy stanąłem na jej szczycie, zbliżał się zachód słońca.

Nigdy nie dam wiary tym, którzy twierdzą, że rozwodzenie się na temat piękności tego zjawiska jest niegodne znawcy prawdziwego piękna. Jeśli się patrzy na Rzym z tak wysoka, przy dniu pogodnym, gdy tysiące budowli wzniesionych przez człowieka w ciągu dwu i pół tysiący lat odbija się różowością i złotem od pięknego nieba – nie można nie zastanowić się nad tym, kim się jest w tej nieskończoności, w tym mrowiu istot, które nic nie wiedzą o moim istnieniu. I oto tego dnia właśnie, na dachu dachów wszystkich kościołów, doznałem olśniewającej pewności, że Ktoś ze mną jest. Ktoś, kto spośród miliardów ludzi wybrał mnie, aby w tej przedwieczornej chwili przyjrzeć mi się z bliska.

Drugie spotkanie miało miejsce prawie dziesięć lat później. Naszej grupie wiedzonej przez księdza Wiesława Niewęglowskiego, grupie aktorów uczestniczących w pielgrzymce, wyznaczono spotkanie z Ojcem Świętym w Castel Gandolfo, w czasie porannej Mszy św. Na dziedzińcu rezydencji zgromadziły się setki ludzi. Pielgrzymi ze wszystkich stron świata śpiewali równocześnie, a ta kakofonia słów i melodii tylko pozornie świadczyła o odrębności zgromadzonych. Naprawdę stanowiła o wspólnocie ludzi spotykających się tutaj w jednym celu i w imię jednego: aby powiedzieć, że w obliczu Chrystusa jesteśmy połączeni wiarą i wolą miłości. Mówiły o tym wszystkie twarze promieniujące wzajemną życzliwością i pogodą. Msza św. odprawiana przez Papieża była cicha i pełna skupienia. Emanacja Jego osoby udzieliła się wszystkim zgromadzonym. Trwała nieprzerwana modlitwa w słowach i w milczeniu.

Skąd wzięła się w Nim ta siła? Co czyni, że tysiące ludzi różnych ras, różnych kultur i mentalności wybrały Go sobie, utożsały się z Nim, powierzyły Mu swoje nadzieje? Myślę, że nie czyni nic. Bo gdyby tak było, odsłoniłby swoją tajemnicę, wydał ją na pastwę rozumu i tym samym zniweczył cel swego posłannictwa. Myślę, że nie czyni nic, aby być tym, kim jest. Po prostu Nim jest, a wziął siłę stąd, gdyż uwierzył, uwierzył głęboko, że sens Jego egzystencji będzie usprawiedliwiony tylko wtedy, gdy swoje bytowanie połączy z obecnością Boga. Czy można nazwać cudem, czy zwykłością, jeśli Bóg odpłaca tym samym, czyniąc nas obecnymi w Sobie – oto tajemnica.

Jan Paweł II został obdarowany przez Boga i fakt ten napełnił Go pokorą, wdzięcznością i poczuciem szczególnego obowiązku wobec ludzi. Polega on na wewnętrznym nakazie, że aby zasłużyć na ich ufność, trzeba rozdać to, co się otrzymało. Być dawcą chleba i wina nie tylko w kościele. Wszędzie, w każdym zakątku ziemi i w każdych okolicznościach.

Jeśli wówczas, w czasie pielgrzymki, nie wiedzieliśmy o tym, to na pewno czuliśmy tak. Dlatego nasz występ artystyczny, występ małej grupy artystów sceny, który zaprezentowaliśmy Papieżowi tuż po ceremonii Mszy św., był formą podziękowania za łaski, jakimi nas obdarza. Ale także wyrazem nadziei, że tych kilka dźwięków muzyki polskiej, tych kilka słów najpiękniejszej naszej poezji – pozwoli Mu odpocząć i powrócić na chwilę do swojego rodzinnego domu, który tak pokochał, a który został Mu odebrany.

MACIEJ IŁOWIECKI, *dziennikarz, prezes SDP*

Uczestniczyłem w różnych zbiorowych spotkaniach z Janem Pawłem II. Wiele zaś razy spotkałem się z Jego myślą czy nauczaniem. Z tych spotkań wybieram dwa.

Jedno, to po prostu – razem z innymi ludźmi – witanie Papieża w Warszawie w pamiętnym czerwcu 1979 roku, w czasie pierwszej wizyty w Polsce. Stałem wtedy w Alejach Ujazdowskich w krzyczącym tłumie i patrzyłem na dziwny pojazd z białą postacią, która nas błogosławiła. Sam przejazd papieskiej kolumny nie trwał długo, w późniejszych latach mogłem dotrzeć do Ojca Świętego bliżej, bezpośrednio i w mniejszym gronie – ale właśnie owo pierwsze, przelotne spotkanie, tak przecież tłumne i zarazem jednostronne, miało w moim życiu duże znaczenie, którego sens pojąłem później.

Większość Polaków była wtedy od lat w stanie swoistego uśpienia; żyliśmy niepełnym życiem w fałszywej rzeczywistości, w systemie pozorów, z których wszechogarniającej obecności niewielu zdawało sobie sprawę. Gorzej, że wielu z nas akceptowało ten straszliwy fałsz, ponieważ dawno straciło nadzieję, że możliwe są jakieś zmiany. Jeśli nawet niektórzy usiłowali protestować i działać przeciw – był to sprzeciw mało skuteczny i mieliśmy poczucie tej nieskuteczności.

Nie chodziło tu o brak odwagi, niektórzy Polacy byli, jak zawsze, odważni nad miarę. Ale jako naród byliśmy zniewoleni – i zdawało się, że nic nas z tej wielowymiarowej niewoli nie wyrwie.

Myślę, że wybór Karola Wojtyły na tron Piotrowy i potem Jego przyjazd do Polski spełnił historyczną rolę otwarcia jakiejś zamkniętej na zawsze kraty. W każdym razie ja to tak odczułem. Na pewno był już w nas – we mnie – podatny grunt, tkwiły zalążki, ziarna przemiany. Ale właśnie wtedy, po zobaczeniu Jana Pawła II, po usłyszeniu Jego słów otuchy: „nie lękajcie się!” – poczuliśmy się silni wewnątrz, wróciła nadzieja. Trudno to opisać, zwłaszcza, że takie opisy brzmią nieprzekonująco i, niestety, banalnie. Jednak tak właśnie było. Wtedy

uświadomiłem sobie ostatecznie, że tak dalej w naszym kraju i w naszym życiu być nie może i że musimy przestać na to się godzić. Właśnie: przestać wreszcie godzić się na zło. Myślę, że w czasie owych chwil radości z powrotu nadziei zdałem sobie sprawę, że ważna jest również moja niezgoda na zło, że już dosyć wszelkich racjonalizacji, „rozsądnej postawy” i liczenia się z tzw. rzeczywistością. Chyba wtedy, wśród ludzi witających Papieża na warszawskiej ulicy, odnalazłem wewnętrzną wolność, którą mamy w sobie wszyscy, ale rzadko o tym chcemy pamiętać.

Jeszcze jedno: niesłuchanie ważną rolę w tym wszystkim odegrało odkrycie, że słowa, zwykłe słowa, mogą wreszcie znaczyć to, co po prostu znaczą. System odebrał słowom i pojęciom ich właściwe treści, normalny język stał się „nowomową”. Jan Paweł II przywrócił słowom ich prawdziwe znaczenie i wielu ludzi przekroczyło wtedy jakąś niewidzialną granicę – przestali akceptować oszczerstwo.

Drugie spotkanie, o którym chciałbym wspomnieć, to zetknięcie się z myślą Jana Pawła II na temat etosu dziennikarza. Zrozumiałe, że było to dla mnie ważne: jest to mój zawód i wielokrotnie zastanawiałem się nad tą sprawą. Dziennikarstwo było w Polsce deprawowane szczególnie, ponieważ manipulowanie informacją – po prostu kłamstwo – jest podstawą systemów totalitarnych. Z drugiej strony dziennikarstwo jest zawodem szczególnym w każdym systemie, również w normalnej demokracji – bo zawsze istnieją różnorakie ograniczenia wolności słowa i posługiwanie się informacją wymaga wielkiej odpowiedzialności. Jakież są zatem wymogi tej odpowiedzialności – za słowo, za informację, za opinię?

Istnieje wiele takich wymogów. Niektóre z nich są wzajem sprzeczne, tak że bardzo trudno je godzić. Zasięg współczesnych środków przekazu, możliwość doboru informacji i wiele innych warunków zwiększyły naszą odpowiedzialność. Musimy stale szukać tego, co jest istotą etyki dziennikarskiej, co jest naszym najważniejszym obowiązkiem wobec czytelników, słuchaczy czy widzów.

Otóż właśnie, co? Można na ten temat mówić bardzo wiele, bo wiele jest ważnych warunków, które powinien spełniać rzetelny dziennikarz. Na przykład, wiemy, że powinniśmy pisać tylko prawdę i całą prawdę, ale wiemy też, dlaczego to jest niemożliwe w takim wymiarze. Jan Paweł II uświadomił mi, że przede wszystkim jednak chodzi o to, byśmy nie kłamali!

Ale to nie wystarczy. Istotę naszego etosu, jego kryterium podstawowe, Jan Paweł II ujął tak: „Starać się będziecie w waszych tekstach zawsze nazywać dobro – dobrem, a zło – złem”. Tylko tyle i aż tyle. Zrozumiałem, że właśnie w naszych czasach głównym problemem ludzi jest zwątpienie i trudność rozpoznania, co jest dobrem, a co złem. Jest to chyba szczególna cecha tej epoki: zamazywanie granic pomiędzy dobrem i złem, prawdą i kłamstwem, egoizmem i działaniem dla innych, wartością i pozorem.

Tak więc Jan Paweł II pomógł mi zrozumieć, że wiarygodność dziennikarza zależy nie tylko od jego obiektywizmu, nie tylko od niekłamania, ale także od tego, czy ma on odwagę odróżnić dobro od zła i nazywać dobro i zło po imieniu.

Prof. JERZY A. JANIK, fizyk

Te spotkania były różne. Czasem dominował w nich aspekt przyjaźni. Czasem aspekt wspólnego oczarowania wędrówką w górach i wspólnie doznawanej przyjemności fizycznego zmęczenia marszem i pokonywaniem trudności. Czasem te spotkania miały charakter razem przeżywanych radości, jak podczas kolędowania w gronie dzieci i starszych. A czasem, ostatnio coraz częściej, są to dla mnie spotkania z Chrystusem. Podobno Chrystusa możemy czasem zobaczyć przy spotkaniach z drugą osobą. Ale chyba jest coś specjalnego w spotkaniach Chrystusa poprzez spotkanie z Jego Zastępcą. Wręcz formalnie obecny tu aspekt *alter ego* przemawia do wyobraźni wyjątkowo silnie.

Teraz chciałbym napisać o spotkaniach z Karolem Wojtyłą, a potem Janem Pawłem II jako z intelektualistą. Nie jest to ograniczenie. Intelektualna głębia tego wyjątkowego człowieka nie likwiduje, ale właśnie wzmacnia obecność w Nim i przyjaciela, i mistrza, a przede wszystkim Chrystusa.

Przed wielu laty młody, trzydziestokilkuletni wówczas Karol Wojtyła ujawnił przede mną głębię metody, która bada rzeczy z punktu widzenia ich *i s t n i e n i a* – *sub ratione entitatis*. Szliśmy na nartach, dyskutując, przez wyjątkowo w owym roku zaśnieżone Gorce. Minęliśmy ruiny spalonego podczas wojny schroniska na Turbaczu. Z wolna, już o zmierzchu, posuwaliśmy się w zupełnym pustkowiu w kierunku przełęczy Borek. A ja, słuchając, powoli i nie bez oporów pojmowałem, że intelektualne spotkanie z Bogiem może nastąpić dlatego, że jest On Bytem.

Piszę, że pojmowałem nie bez oporów, bo przecież było we mnie całe zadufanie w sobie fizyka. Walczyły dwie myśli. Jedna przyjmowała z uznaniem akt abstrakcji metafizycznej przejawiającej się w ujmowaniu rzeczy *sub ratione entitatis*. My fizycy z szacunkiem przyjmujemy teorie, które powstają w oparciu o właściwie przeprowadzoną abstrakcję. Ale druga myśl przypominała, że choć mówimy o obiektach fizycznych, nie

zawsze wiemy, co to znaczy, że one i s t n i e j ą, a także nie zawsze wiemy, co to znaczy, że one m a j ą jakąś własność.

Ta antynomia – silna afirmacja istnienia bytów, charakterystyczna dla metafizyki, *contra sui generis* agnostycyzmowi w sprawie „bycia” i „mienia” fizyki współczesnej – wraca do naszych dyskusji i dzisiaj. Jest zachód słońca i włoskie niebo jest mniej upalne niż za dnia. Siedzimy z Nim razem na tarasie pałacu w Castel Gandolfo. Przed nami wielki owal jeziora Albano. Po przeciwnej stronie białe ściany miasteczka Rocca di Papa. Naszą dyskusję czasem zagłusza dzwon z pobliskiego kościoła.

Wtedy przed laty w Gorcach młody ksiądz Karol Wojtyła ujawnił przede mną wagę jeszcze innej sprawy, a mianowicie rolę a n a l o g i i przy używaniu języka dla opisu rzeczywistości. Zjechaliśmy na nartach z Kudłonia i zbliżaliśmy się do zagubionej wówczas w głębi Gorców wioski Rzeki – teraz przechodzi tędy szosa. A ja powoli uświadamiałem sobie, że nawet najzwyczajniejszy pospolity język musi być w jakimś stopniu metaforyczny i nie tylko nic na to nie można poradzić, ale dzięki temu właśnie możemy mówić c o ś o Bogu, mimo że użyte słowa są tak mało adekwatne i mimo że tak często pojawia się pokusa ich odrzucenia jako antropomorfizujących, fałszujących lub wręcz pustych.

Tu tkwiący we mnie fizyk nie był tak krytyczny, a i dziś, gdy dźwięk dzwonu na *Anioł Pański* przerwał na chwilę dyskusję na tarasie pałacu w Castel Gandolfo, a dzień wyraźnie się już nachylił, myślę, że przecież nie ma nic dziwnego w tym, że tak trudno naszym językiem opartym na spostrzeżeniach i wyobrażeniach opisywać rzeczywistość transcendentną, niepostrzegalną i niewyobrażalną. Podobnie trudno opisać naszym językiem świat mikrofizyki i to z tych samych powodów. Trudno – nie znaczy jednak niemożliwe, jeżeli zasada analogii jest przestrzegana i jeżeli tej analogii jesteśmy stale świadomi.

Wtedy przed laty, gdy byliśmy młodzi, patrzyliśmy na panoramę Beskidów, instynktownie pojmując, że zachwycamy się czymś, co jest odbiciem piękna jakiejś transcendentnej c a ł o ś c i i j e d n o ś c i. Z Nim, obecnym wśród nas, mówiliśmy o zadziwiającym o r g a n i z m i e, jaki tworzymy wraz z Chrystusem będąc członkami Jego Mistycznego Ciała.

Dziś, również wraz z Nim, patrząc na Lago Albano i otaczające je wzgórze, i odbłask słońca w szybach domów miasteczek położonych na przeciwnym brzegu jeziora, myślę, że współczesna fizyka znacznie przybliżyła nas do rozumienia różnych aspektów takich obiektów, które

jawią nam się jako systemy złożone. Może więc nie jest to specjalnie dziwne, że na pewnym etapie mówienia o systemach trzeba, myśląc o ich częściach, przestać używać słowa „elementy”, a nawet słowa „członkowie”, a zacząć używać słowa „członki”...

Oby Bóg dał, żeby te nasze dyskusje przydały się na coś i Ojcu Świętemu, a nie były jednostronnym czerpaniem piszącego te słowa z intelektualnej i duchowej głębi Jana Pawła II.

Gen. WOJCIECH JARUZELSKI, polityk

„Wracam często myślą do naszych spotkań i rozmów, zachowując w pamięci moralne przesłanie i patriotyczną troskę głowy Kościoła o pomyślność Polski, o demokratyczny, humanistyczny kierunek przeobrażeń.

W Ojczyźnie, w Europie, w wielu krajach na wszystkich kontynentach Wielki Syn naszego narodu zaskarbił sobie szacunek, uznanie i szczerą sympatię milionów ludzi. Szczególnie cenny jest intelektualny i moralny wkład Waszej Świątobliwości we współczesną filozofię pokoju, w idee sprawiedliwości społecznej i braterstwa, tak bardzo dziś potrzebne światu.”

Rozpocząłem swoją wypowiedź właściwie od końca, od zacytowania fragmentu listu, który skierowałem 15 maja 1990 roku do Jana Pawła II, w siedemdziesiątą rocznicę Jego urodzin.

A co było przedtem?

Nazwisko Karola Wojtyły zaczęło pojawiać się coraz częściej w pierwszych latach siedemdziesiątych. W moim środowisku politycznym mówiono wówczas, że jest to wyjątkowo utalentowany – ale jednocześnie trudny jako partner władz – hierarcha Kościoła.

Wynik konklawe był wielkim zaskoczeniem. Wiadomość o wyborze Papieża-Polaka dotarła do mnie w czasie posiedzenia Biura Politycznego KC PZPR. Jego uczestnicy przyjęli tę informację z całą powagą. Z jednej strony było poczucie satysfakcji, rzekłbym nawet, dumy, z drugiej zaś – zatroskanie, jak wybór ten wpłynie na skomplikowane przecież w owym czasie stosunki między państwem i Kościołem w naszym kraju. W sumie jednak byliśmy zgodni, że mamy do czynienia z wydarzeniem o wielkiej doniosłości, czemu należy dać stosowny, godny wyraz. I tak też się stało.

Później z rosnącą uwagą obserwowałem działalność Jana Pawła II. Przebieg pierwszej papieskiej wizyty w Polsce w 1979 roku śledziłem – tak jak miliony Polaków – w środkach masowego przekazu. Podczas

drugiej wizyty byłem już w innej sytuacji. Był to czas trudny – trwał jeszcze stan wojenny, co prawda już zawieszony, ale formalnie nie zakończony. Wiem, jak głęboko Jan Paweł II przeżywał nasze polskie dramaty. Wymieniliśmy na ten temat kilka listów.

Pierwsze nasze spotkanie odbyło się 16 czerwca 1983 roku w Belwederze. Byłem silnie przejęty wyjątkowością tej chwili. Po powitalnych przemówieniach odbyła się dłuższa rozmowa. Papieżowi towarzyszył prymas Polski arcybiskup Józef Glemp. Ze strony władz uczestniczył przewodniczący Rady Państwa prof. Henryk Jabłoński i ja. Przedstawiłem naszą ocenę sytuacji, płynące z niej wnioski i zamierzenia. Papież słuchał z uwagą. Przekonałem się w czasie naszych wszystkich spotkań, że umie słuchać, że chce dobrze zrozumieć, wniknąć w głąb intencji swego rozmówcy. To bardzo ujmujące. Czy też, że – wypowiadając się jasno, zajmując konsekwentne stanowisko – nie uczyni tego w sposób apodyktyczny, lecz spokojnie, perswazyjnie, gotów życzliwie wysłuchać racji rozmówcy, a niekiedy nawet wprowadzić szczyptę subtelnego humoru.

Może zwrócę uwagę na drobiazg, ale miało to dla mnie znaczenie. Otóż Papież, zwracając się do mnie, nie używał tytułów urzędowych, politycznych, lecz mówił po prostu „panie generale”. Jako żołnierz, wielce to sobie ceniłem i cenię.

Jak Jan Paweł II potrafi przemawiać, wiedzą dziś już nie miliony, ale chyba miliardy ludzi. Jak potrafi rozmawiać, wiedzą znacznie mniej liczni. Cieszę się, że dane mi jest do nich należeć. Odbyliśmy pięć dłuższych rozmów: wspomniana wyżej w Belwederze i następna na Wawelu pod koniec wizyty; kolejna w styczniu 1987 roku w Watykanie; wreszcie w czasie trzeciej papieskiej pielgrzymki w Polsce na Zamku Królewskim w Warszawie oraz w kilka dni później przed odlotem, w pawilonie na lotnisku Okęcie.

Trudno w tej krótkiej wypowiedzi – co więcej, nie mając upoważnienia Papieża – przedstawić szeroko przebieg i treść tych rozmów. Jednak ich klimat, istota i przesłanie zostały mi głęboko w pamięci.

Gdy wracam myślą do rozmów z Janem Pawłem II, nieodmiennie mam poczucie ich wielkiej wagi. Każda była jakby krokiem naprzód, kolejnym etapem wzajemnego poznania i zrozumienia. Oczywiście były różnice, a zwłaszcza inaczej rozkładane akcenty. Trudno się temu dziwić – inny był punkt wyjścia, na wiele spraw spoglądaliśmy z odmiennej perspektywy. Dziś przyznaję, że Papież umiał patrzeć dalej, głębiej.

Co jednak pozwalało znajdować wspólny mianownik? Uważam, że przede wszystkim wspólna nam polska gleba, myślenie w kategoriach nadrzędnego dobra Polski.

Karol Wojtyła jest niezwykle mocno związany z ojczyzną. Wrażliwy na wszystko, co się w kraju dzieje, żywo reagujący na bieg polskich spraw, głęboko odczuwający całą ich złożoność, historyczne i współczesne powikłania. W naszych rozmowach Jan Paweł II niejednokrotnie wracał z bólem do epoki rozbiorów, do czasów okupacji. Odwołując się do minionych doświadczeń, wskazywał na zło, na błędy, które przyczyniły się do nieszczęść Polski. Jednocześnie odwoływał się żarliwie do tych wielkich kart naszej historii, z których powinniśmy czerpać naukę, aby we współczesnym, skomplikowanym świecie stanąć jako naród i jako władza na wysokości zadania.

Pierwsze lata osiemdziesiąte były i w międzynarodowym, i w polskim wymiarze trudne. Rozkręcała się spirala zbrojeń, zaostrzyły się stosunki między Wschodem i Zachodem. Odbijało się to wielce niekorzystnie na naszej polskiej sytuacji. Mówiliśmy o tym z troską. Ale właśnie na tym tle widziałem coraz pełniej szczególne, osobiste zaangażowanie Papieża w sprawę pokoju i zbliżenia między narodami.

Jan Paweł II w żadnej rozmowie nie pomijał problematyki człowieka. Akcentował podmiotowość osoby ludzkiej, konieczność poszanowania jej godności i praw. Na tym właśnie humanistycznym, personalistycznym fundamencie sytuował rolę państwa. Wskazywał, że powinno być ono silne poparciem społecznym. Zachęcał do szerokiego dialogu władzy z pluralistycznym społeczeństwem.

Z uwagą wsłuchiwałem się w te opinie, w swej intencji bowiem i istocie były mi bliskie. Chodziło przecież o porozumienie narodowe, o współpracę wszystkich Polaków – „niezależnie od tego, skąd kto przychodzi”. Doceniam w pełni to, co Papież, co Kościół uczynili w Polsce, aby zwyciężyła woła dialogu, aby przeciwdziałać zacierzeniu, nienawiści, rozdarciu. Sądzę, że na tej drodze – mimo odmiennych czasami ocen i wniosków – zmierzaliśmy w podobnym kierunku.

Pragnę w tym kontekście przytoczyć fragment listu, który Jan Paweł II skierował do mnie 22 listopada 1989 roku: „Panie Prezydencie. Niejednokrotnie wracam myślą do treści naszych rozmów. Widzę, że dobro Rzeczypospolitej i jej obywateli stało się dobrem nadrzędnym. Nie przestaję modlić się i życzyć władzom oraz całemu narodowi, by wokół tego dobra skupił swoje siły i całą dobrą wolę”.

Mam głęboką nadzieję, że w słowach tych można odnaleźć echo tego, co dla mnie stanowiło o szczególnej wartości naszych spotkań i rozmów.

Papież niejednokrotnie dawał dowody, że rozumie dylematy władzy, jej obiektywne ograniczenia. Potrafił dostrzec i docenić każdy przejaw dobrej woli, krok ku lepszym rozwiązaniom. Stanowiło to cenne wsparcie dla pomyślnego rozwoju stosunków państwo – Kościół oraz państwo polskie – Stolica Apostolska.

We wszystkich rozmowach z Janem Pawłem II wyczuwałem Jego głębokie identyfikowanie się z losami Polski. Ujmowało mnie to, że stojąc na czele Kościoła powszechnego, spełniając swą uniwersalną misję, znajdował zawsze właściwe miejsce, czas i formę, aby zmanifestować swoją polskość. Dziś widać, jakże wyraziście, iż pontyfikat Papieża-Polaka przybliżył Polskę światu, niósł jej dobre imię na wszystkie kontynenty.

Mówił: „Myślą i sercem nie przestałem być z narodem, z którego wyszedłem i do którego należę”. I zawsze o tym zaświadczał, jak choćby wówczas, gdy – świadom dotkliwych skutków, jakie naszemu społeczeństwu przynoszą restrykcje ekonomiczne – zapewniał mnie, że daje temu stosowny wyraz w kontaktach z mężami stanu państw zachodnich.

Wykazywał nieustanną troskę o to, aby Polska zajmowała godne miejsce wśród narodów Europy i świata. Ze szczególną uwagą śledził to, co działo się w bezpośrednim otoczeniu naszego kraju. Żywo i zycliwie interesował się przebiegiem „pieriestrojki”, jej szansami i zagrożeniami, nawiązywał do wspólnej słowiańskiej genealogii narodów tej części Europy. Świadomość geopolitycznych uwarunkowań naszego kraju wyrażała się również w zainteresowaniu problematyką niemiecką. Watykański punkt widzenia był ze zrozumiałych względów bardziej uniwersalny, ale Papież okazywał daleko idące zrozumienie dla ocen, które dyktuje polska racja stanu.

Jan Paweł II zna współczesny świat. Nie tylko ten bogaty, ale i biedny. Potrafi wznieść się ponad poziom tych, którzy na rzeczywistość polityczną czy gospodarczą patrzą w sposób biegunowy, posługując się do jej opisu tylko białym lub czarnym kolorem. Dostrzega wady i zalety różnych systemów społeczno-politycznych i ekonomicznych. Jest niechętny wszelkim postaciom monocentryzmu politycznego oraz kolektywizmu materialistycznego. Ale jest także wysoce krytyczny wobec organizacji społeczeństwa opartej na zasadach skrajnego indywidualiz-

mu i konsumpcjonizmu, w którym gubi się sens ludzkiej wspólnoty. Z dużą też wrażliwością reaguje na plagi społeczne, na niesprawiedliwość, bezrobocie, nędzę i niedostatek. To niezwykle ważne składniki papieskiej refleksji nad współczesnym światem.

Dla Jana Pawła II oceną, miarą wartości człowieka jest przede wszystkim to, ile wnosi on do dobra ogólnego, ile czyni dla dobra innych – bez względu na motywacje, którymi się kieruje. To bardzo bliska mi myśl. Powinna być ona dla wszystkich Polaków cenną inspiracją do działań rzeczywiście służących przyszłości.

Ks. biskup **RYSZARD KARPIŃSKI**

Ojca Świętego poznałem jeszcze w Lublinie jako kapelana, potem biskupa pomocniczego w Krakowie – profesora Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Widywałem Go czasem na jakiejś uroczystości czy imprezie ogólnouniwersyteckiej, jak np. Tydzień Filozoficzny czy inauguracja roku akademickiego. Wiem, że cieszył się dużą sympatią u studentów, pamiętam oklaski na Jego powitanie. Bliżej jednak zetknąłem się z Ks. Biskupem, później Arcybiskupem Metropolita krakowskim i Kardynałem w Rzymie, najpierw w czasie moich studiów (1963–1969), a potem w czasie pracy w Papieskiej Komisji ds. Duszpasterstwa Migracji i Turystyki (1971–1985). Nim został kardynałem, zatrzymywał się w Rzymie w Papieskim Instytucie Polskim, przy via P. Cavallini 38. Tam też, na mocy decyzji Ks. Prymasa, od którego miałem stypendium na studia rzymskie, wypadło i mnie mieszkać. Gdy przyjechałem do Rzymu po raz pierwszy (23 listopada 1963 roku), miała się już ku końcowi II Sesja Soboru Watykańskiego Drugiego. Sufragan, później Metropolita krakowski, brał w niej czynny udział. Dzielił się z nami, studentami, swoimi przeżyciami z burzliwych dyskusji w grupie roboczej przygotowującej dokument o Kościele w świecie współczesnym. Po soborze przyjeżdżał do Rzymu zwykle po kilka razy w roku. W ramach internacjonalizacji Kurii Rzymskiej brał udział w obradach jako konsultor, czyli członek Kongregacji ds. Duchowieństwa i Papieskiej Rady dla Osób Świeckich. Przez kilka kadencji był członkiem stałej Rady Synodu Biskupów. W 1976 roku głosił w Watykanie rekolekcje wielkopostne dla Ojca Świętego i pracowników Kurii Rzymskiej. Po otrzymaniu kapelusza kardynalskiego 26 czerwca 1967 roku zatrzymywał się zwykle w Papieskim Kolegium Polskim, przy Piazza Remuria 2a. Stamtąd też udał się na konklawe w październiku 1978 roku. Tak w Instytucie, jak i w Kolegium, o ile pozwalały Mu na to obowiązki, brał udział w życiu wspólnotowym księży: w kaplicy i w refektarzu. Warto zaznaczyć, że bywał także na spotkaniach koleżeńskich, urządzanych

np. z okazji imienin czy promocji doktorskiej. Z tego powodu księża w Kolegium nadali mu nawet tytuł „Honorowego Kolegiasty”. Chętnie służył radą studentom w sprawach naukowych, czasem swoim autorytetem pomagał załatwić jakieś stypendium, np. językowe, w innym kraju.

Może warto w tym miejscu przytoczyć refleksje moich przełożonych. O. Giulio Tassarolo, CS sekretarz naszej Komisji, wypowiadając się na temat rekolekcji prowadzonych przez ks. kardynała Karola Wojtyłę w Watykanie, powiedział do mnie, że choć od wielu lat jest kapelanem i zakonnikiem, rozważań rekolekcyjnych o tak głębokiej treści teologicznej jeszcze nie słyszał. Inny przełożony, ks. arcybiskup Emanuele Clarizio, spotkał się z ks. kardynałem Wojtyłą we wrześniu 1978 roku. Wracając z Kolegium Polskiego, gdzie spotkanie miało miejsce, powiedział mi: „Ten byłby dobrym papieżem”.

Po poradę i wsparcie zgłaszali się do Niego nierzadko rodacy z Polonii rzymskiej, także z całych Włoch, a nawet z innych krajów. Specjalną troską otaczał kapłanów ze swojej archidiecezji studiujących w Rzymie lub przebywających w innych celach w Wiecznym Mieście czy w Europie. Troszczył się o to, aby jak najwięcej Polaków mogło wejść do różnych urzędów Stolicy Apostolskiej. Za Jego to pośrednictwem także i piszący te słowa został zatrudniony w Papieskiej Komisji ds. Duszpasterstwa Migracji i Turystyki, której organizator i pierwszy przełożony, ks. arcybiskup Emanuele Clarizio, poznał w 1969 roku ks. kardynała Wojtyłę w Kanadzie, gdy ten odwiedzał tam wspólnoty polskie, a tamten pełnił funkcję pronuncjusza apostolskiego. Rok później Paweł VI mianował arcybiskupa Clarizio proprezydentem ww. nowej Komisji. Przy jakiejś okazji ponownego spotkania w Rzymie z Metropolitą krakowskim zwrócił się do Niego o pomoc w uzyskaniu jednego pracownika do tego nowego organizmu Stolicy Apostolskiej. Trudno było mi dochodzić szczegółów całej tej sprawy, w każdym razie los w jakiś sposób padł na mnie. I tak znalazłem się ponownie w Wiecznym Mieście 14 października 1971 roku na kilka dni przed beatyfikacją ojca Maksymiliana Kolbego. Ponieważ polubiłem moją nową pracę, marzyłem o tym, żeby kiedyś zaprosić do siebie ks. kardynała Wojtyłę i podziękować Mu za pośrednictwo, ale nie miałem śmiałości. Choć wiedziałem, że przyjmuje zaproszenia, jest niemal rozchwytywany, nie chciałem do tyłu zająć dodawać Mu jeszcze jednego. Z pomocą jednak przyszedł mi ks. biskup szczecińsko-kamieński Jerzy Stroba, uczestnik

Synodu Biskupów na temat katechezy, w roku 1977. W rezultacie w dniu 7 października tegoż roku mogłem gościć u siebie wszystkich trzech delegatów Episkopatu Polski na Synod: ks. kardynała Karola Wojtyłę, ks. biskupa Jerzego Strobę i ks. biskupa pomocniczego z Kielc, Edwarda Materskiego. Głównym punktem jadłospisu były... placki ziemniaczane, które podobno nawet nieźle smakowały najdos-
tojniejszym gościom. W mojej „Księdze gości” Ks. Kardynał wpisał słowa: „Drogiemu księdzu Ryszardowi bardzo dziękujemy za za-
proszenie – i życzymy, aby Mu się dobrze wiodło w Rzymie, a nam przy Nim”.

Rok później spotkaliśmy się 4 października na obiedzie w Papieskim Instytucie Polskim z okazji imienin ks. infułata Franciszka Mączyńskiego. Był to równocześnie dzień pogrzebu papieża Jana Pawła I. Na głównych miejscach przy stole siedzieli ks. kardynał Wojtyła i ks. arcybiskup-metropolita poznański Stroba. Ten ostatni pytał mnie, kiedy znowu zaproszę go z Ks. Kardynałem na te placki. Odpowiedziałem, że dostosuję się do wolnego czasu dostojnych gości. Po krótkiej wymianie zdań stanęło na tym, że ewentualne spotkanie może odbyć się dopiero pod koniec miesiąca, ponieważ Ks. Arcybiskup w najbliższy piątek, 6 października, wyjeżdżał już do Polski, ale miał ponownie przyjechać do Rzymu właśnie przy końcu października na posiedzenie Rady Konferencji Episkopatów Europejskich, także i Ks. Kardynał miał teraz wiele zajęć, a przecież po konklawe zatrzyma się przez kilka dni w Rzymie. Odpowiedziałem mojemu rozmówcy żartobliwie, że wobec powyższego będę czekał na gości przy końcu października bez względu na to, z jaką piuską, czerwoną czy białą. Ks. kardynał Wojtyła nie brał bezpośredniego udziału w tej rozmowie, ale w tym momencie pogroził mi palcem i, jak się później okazało, zapamiętał sobie dobrze ów żart, który stał się prorocstwem!

Gdy biała piuska stała się rzeczywistością, sądziłem, że trzeba będzie o tej swojego rodzaju „umowie” zapomnieć. Zapytałem nawet, jak to będzie z tym naszym zaplanowanym spotkaniem ks. arcybiskupa Stroby 19 października na lotnisku Fiumicino, gdy przyleciał na uroczystą inaugurację pontyfikatu Jana Pawła II, ale odpowiedział mi tylko uśmiechem. Gdy pierwszy raz miałem szczęście zobaczyć Papieża-Polaka i ucałować Jego pierścień Rybaka podczas audiencji dla Polaków w dniu 23 października 1978 roku, w czasie której On właściwie uklęknął przed ks. prymasem Stefanem Wyszyńskim, nie było

mowy o ewentualności naszego spotkania. Zbyt uroczysta była to chwila i za dużo uczestników audiencji. Kilka tygodni później, 6 grudnia, nadarzyła się inna sposobność spotkania z Papieżem: audiencja dla księży studentów z Papieskiego Kolegium Polskiego i z Papieskiego Instytutu. Do nich dołączyło się kilku dawniejszych wychowanków, wśród których i ja się znalazłem. Ojciec Święty zechciał się osobiście przywitać ze wszystkimi obecnymi (ok. 60 osób). Pozostał na stopniu przed tronem, a my podchodziliśmy pojedynczo. Księża rektorzy przedstawiali Papieżowi księży studentów informując o przynależności do diecezji i kierunku studiów. Gdy kolej przyszła na mnie, usłyszałem głos Ojca Świętego: „Z tym człowiekiem jest problem, ponieważ mu się coś obiecało”. Odpowiedziałem szybko, że oczywiście wiem, o jaką obietnicę chodzi, i przekazałem nawet zdjęcia z naszego spotkania u mnie. Papież oddał je swojemu sekretarzowi osobistemu i zapytał, jak wywiązać się z tego zobowiązania w obecnej sytuacji. Odpowiedziałem, że rozumiem, iż Ojciec Święty nie może przyjść do mnie, ale ja właściwie nie mam żadnych trudności, aby przyjść do Ojca Świętego. Jeżeli natomiast siostry pracujące w kuchni (ze Zgromadzenia Sióstr Służebnic N. S. Pana Jezusa, zwane sercankami) miałyby jakieś trudności z przygotowaniem tego dania, jestem gotowy im pomóc albo może lepiej byłoby dać im pół dnia wolnego, to ja sam pokręciłbym się w papieskiej kuchni! Odpowiedź Papieża była krótka: „Trzeba będzie o tym pomyśleć”.

Upłynęło sporo wody w Tybrze, aż otrzymałem telefon w tej sprawie. Była to niedziela, 11 lutego 1979 roku, rocznica Układów Laterańskich, na mocy których powstało niezależne Państwo Watykańskie. Równocześnie w liturgii Kościoła jest to dzień poświęcony Matce Bożej z Lourdes. Ponieważ w okresie zimowym nie ma w zasadzie pielgrzymek do tego sanktuarium, chorzy z Włoch pielgrzymują do Bazyliki Św. Piotra w Rzymie. Ojciec Święty przewodniczył w godzinach popołudniowych Mszy św. koncelebrowanej w Bazylice, a sprawowanej właśnie dla chorych i osób im towarzyszących. Ale wróćmy do tego telefonu. Otóż osobisty sekretarz papieski, ks. Stanisław Dziwisz, powiadomił mnie, że wieczorem byłby dobry czas na moje placki. Ponieważ słyszałem, że ten i ów spośród polskich „kurialistów” był już zaproszony na jakiś posiłek do Papieża, sądziłem, że przyszła kolej i na mnie. Chętnie stawilem się w oznaczonym miejscu, może nieco spóźniony, w przekonaniu, że gdyby nawet chodziło o to polskie danie, to

przecież siostry sercanki je przygotowują. Po przekroczeniu jednak progów mieszkania papieskiego zostałem poproszony do kuchni, aby wziąć się do roboty, ponieważ siostry myślały, że może mam jakiś specjalny przepis na ten raczej wiejski smakołyk. W rezultacie Ojciec Święty musiał trochę poczekać, a może i miał chwilę wytchnienia po pracowitym dniu. Gdy wszystko było już gotowe, usiedliśmy spokojnie do stołu, choć serce tego wieczoru biło mi szybciej niż zwykle, gdyż danie przygotowane w pośpiechu i w takich okolicznościach – na oczach doświadczonych kucharek – nie wyszło może tak jak w warunkach domowych.

Wiele razy opowiadałem to wyjątkowe spotkanie z Papieżem – które miało swój początek w moim mieszkaniu rzymskim, a finał w prywatnym apartamencie papieskim – różnym osobom lub grupom, zwłaszcza pielgrzymom przybywającym do Wiecznego Miasta, aby ukazać pewien charakterystyczny rys osobowości Ojca Świętego Jana Pawła II: można być postawionym na tak wysokim urzędzie, mieć tyle obowiązków, że przekracza to niemal ludzkie możliwości, a równocześnie pamiętać o jakimś zobowiązaniu czy drobnej obietnicy, sprawić dotrzymaniem słowa komuś wielką radość, dojrzeć drugiego człowieka. Takim był właśnie zapamiętany przeze mnie ks. biskup, potem arcybiskup i kardynał Karol Wojtyła, i takim pozostał jako Papież. Może jeszcze warto tylko dodać, że kilkakrotnie Ojciec Święty przy okazji różnych spotkań wracał do tego tematu w żartobliwy sposób, nawet podczas trzeciej pielgrzymki do naszego kraju, kiedy to miałem szczęście witać Go w naszej lubelskiej katedrze.

KRZYSZTOF KAKOLEWSKI, *pisarz, reportażysta*

Gdybym w 1947 roku spotkał młodego księdza Karola Wojtyłę, który nie był jeszcze nawet wikarym, moje życie potoczyłoby się inaczej. Oszczędziłbym sobie dwudziestu straconych lat, błędzenia, a i czynów, które może wybaczyli mi inni, ale ja sobie nie wybaczyłem. Ks. Karol nie szczędziłby dla mnie czasu, jaki ma teraz dla świata, potrzebny wszystkim ludziom na ziemi. A może dalej jest mi potrzebny? Czy Jego obecność nie towarzyszy mi w myślach? Nie ma bowiem dnia, abym o Nim nie pomyślał, a są dni, że myślę o Nim wiele razy.

Poza moją Matką najczęściej śni mi się Jan Paweł II. Sny mają podobny przebieg: przypadam do Niego z nadzieją i ufnością, a On przygarnia mnie. Budzi mnie radość, uczucie ulgi, które długo nie ustępują. Teraz, gdy większość moich najbliższych i przyjaciół nie żyje, co w kraju, gdzie ludzie umierają wcześniej, jest zwykle w moim wieku (58 lat), On ich zastąpił. Jedyna osoba nie znana mi osobiście, która zyskała moją miłość, jaką darzy się najbliższych. Chce tego czy nie, należy do mojego życia. Jak kiedyś Matka, jest moim punktem odniesienia w świecie: co by na taki mój czyn powiedział? Czy zaaprobowałby go? Ja, który nie kochałem się w aktorkach z ekranu, nie byłem fanem śpiewaków i sportowców, nie tęskniłem za poznaniem wielkich a nieznanym mi osób, mam teraz swojego idola.

Od lat śledzę, czasem dzień po dniu, Jego czynności, wczytuję się w pisma, wsłuchuję w słowa – i pozostaje dla mnie tajemnicą. On zaś, wydaje się, zna nas wszystkich. Gdy jedzie wśród witających Go tłumów, widzi każdą osobę oddzielnie, każdemu ułamek sekundy patrzy w oczy. Od kiedy mam świadomość Jego obecności, jest mi lżej. Może być daleko – gdziekolwiek jest, ale mnie wystarczy, że jest.

Ojcowski, ale nie tylko w sensie świętym, ale i ziemskim, a jest w Nim i coś macierzyńskiego (zgodnie z Jego definicją kapłaństwa), coś braterskiego, coś dziecięcego w Jego ufności w nas, w dziecięcej wierze w Boga. Było decyzją Boga zabrać Mu wszystko w najwcześniejszej

młodości, osamotnić Go, uczynić bliskim los Hioba. Gdy „stracił ojca, ostatniego członka najbliższej rodziny, matkę już w dzieciństwie, a jedynego brata w parę lat po matce”, ujrzał w tym znak. Łaska Boża „dała mu jasno poznać Jego powołanie”. Bliscy, zniknąwszy, przemienili się w Kościół, który stał się Jego rodziną, wszystkim: ojcem, matką, bratem, dzieckiem. Najpierw była to parafia, potem biskupstwo, potem metropolia, aż – wreszcie – świat. Cudowne rozmnożenie rodziny. Z tych trojga osób, za które jeszcze przed prymicją odprawił trzy pierwsze Msze św. w życiu, uczynił cały świat, otworzył drogę każdemu z nas, byśmy zajęli ich miejsce.

Pojawienie się Jana Pawła II i jego działania to odblask istnienia Boga w tym wielkim Pośredniku. Jaki jest Bóg Jana Pawła II? Co on o Nim wie? Wie więcej niż my, a zarazem zdaje się czerpać wiedzę z poczucia tajemnicy, z prawie całkowitego zasłonięcia się Boga przed człowiekiem. „Modlitwa to reakcja na tajemnicę, jaką świat w sobie nosi.” „Narodziny z Boga są tajemnicą” – uczy Papież. Narodziliśmy się i znikniemy nie wiedząc, gdzie byliśmy. Okaże się to tam, a tu mamy Chrystusa, dziecko przybyłe z Wszechświata.

Niedookreślenie Boga otwiera nam poznanie Go czynem. Dlatego w domach niewierzących są fotografie Jana Pawła II, jest Papieżem wątpiących. Najnowocześniejszy człowiek na ziemi – choć określenie nowoczesny przy nim jest staromodne – jest nawrócicielem w skali globalnej, supermisjonarzem ery elektronicznej. Obala totalitarne bożki, cielece konsumizmu, wkracza na teren neopogańskiego *sacrum* nowej dzikości. Apostoł powtórnych nawróceń chrześcijan. Jedna z rekonwersji zaczęła się od zobaczenia Jana Pawła II w telewizji PRL. Jak prorok ukazał się, w białej szacie na tle marionetek, jątrzącej nieprawdy, sączącej się obmowy. Było to jak cud: człowiek, który pewien czas był kapłanem ateizmu, uczynił z niego drugi zawód, przejrzał, zerwał się z fotela – dosłownie – i z Mszy papieskiej na Mszę – poszedł za Janem Pawłem II.

Już sam Jego wybór na Papieża to zdarzenie nieprzewidziane, nieprawdopodobne, niemożliwe. Tak nie miało być, a jest. Dziwność, do której trudno się przyzwyczaić, tak jakby pani Emilii z Kaczorowskich Wojtyłowej z Wadowic powiedziano w czasie, gdy fotografowano ją z malcem o ogromnej czaszce i kochanych, przedwcześnie dobrych oczach, że trzyma na rękach Papieża. Dobroć oczątek i pojemność czaszki są oczywiste, a potem kto próbuje formułować, na czym polega

niezwykłość Karola, cofa się, mówi o nieuchwytności, trudności określenia, najwyżej ucieka się do słów: „drugiego takiego nie było”. Wczesne znaki, mnożące się zapowiedzi, prorocтва, znamiona, jakich nie znają inne byty. Co ujrzał w uczniu liceum Księżę Kościoła, że pomyślał o Nim jako o przyszłym kapłanie? Co kierowało laborantem z Solwayu, że w czasach wojny, pożarów i nieszczęść przechował napisany na sączku list niewykwalifikowanego robotnika w nic nie znaczącej sprawie? Czemu osiemnastoletniemu studentowi polonistyki koledzy wypisali wizytówkę: „Początkujący Święty”? Przecież zapowiadało się co innego: w Papieżu utraciliśmy największego poetę, dramaturga i prozaika, który byłby potęgą na miarę Kochanowskiego, Norwida i Słowackiego. A On tylko okazał się zaskakującym spełnieniem wieszczenia Słowackiego. Co kierowało odpowiadającymi w sondażu we Francji, że Jana Pawła II uznali za najszcześniejszego człowieka na ziemi i liczbą głosów przeszło dwukrotnie pobił znaną gwiazdę piosenki, a trzy- i półkrotnie Ronalda Reagana? Czemu ojciec Pio w 1947 roku powiedział młodemu księżykowi z nieznanego i zagubionego na wschodzie kraju: „Ty będziesz papieżem”?

Superman nie znający strachu? Wystawiający siebie na strzały zazdroszczących mu Boga – bo tak można streścić motyw inspiratorów zamachu bojących się biorącej się stąd przenikliwości. Wyrosły z najosobliwszego z Kościołów świata, Kościoła polskiego, Kościoła chłopów, robotników i intelektualistów, otrzymał wraz z nim okrutną naukę, która trwała w Jego życiu od roku 1939 do 1978. Wielki Kardynał krakowski, o którym chodziły wieści po Polsce, był traktowany bezwzględnie. Za samą wizytę przyszłego Papieża jeden z klasztorów miał poważne przykrości. Zainspirowano brutalny, pełen zakłamania list z Solwayu przeciw przyszłemu Ojcu Świętemu. Z Jego rąk bojówka porwała kopię obrazu Matki Bożej i zabrała ze szlaku nawiedzenia. Odbierano budynki seminariom i klasztorom. Ale też On zdobył się, by wejść do budynku KW PZPR i walczyć o te budynki. Kraków stał się więc polem ćwiczebnym dla świata.

Była w tym też zapowiedź męczeństwa. Ci, którzy chcieli odebrać Mu życie, ustalili, że Papież ma nadmierną wiedzę. Nie chodziło tu tylko o wątek polski czy unicki, ale i o Amerykę Południową i Środkową. Na Zachodzie pojawił się potężny przywódca znający Wschód. Tak Jan Paweł II, żywy, znalazł się w wielkiej triadzie współczesnych męczenników Kościoła polskiego. On już jest męczennikiem. Przelał całą krew.

Gdyby zdarzyło się to w dawniejszych czasach, nie żyłby. Przed nim był św. Maksymilian, po nim ks. Jerzy. Ojciec Święty jest czcicielem św. Maksymiliana, ks. Jerzy żył pod wrażeniem męczeństwa św. Maksymiliana – a ostatnie lata także pod wrażeniem męczeństwa Jana Pawła II na rzymskim placu.

Jakby na potwierdzenie lęku przed Janem Pawłem II najcelniejsza doktryna polityczna XX wieku wychodzi od najwyższego kapłana, który wykrył związek między pokojem a prawami człowieka: „...należy zabezpieczyć fundamenty pokoju przez poszanowanie praw człowieka” (9 I 1988). Masowe pogwałcenie praw człowieka Jan Paweł II uznaje za straszliwą bombę, której wybuch będzie tym potężniejszy, im bardziej opóźniony. Dopiero pół roku potem rozwija tę tezę największy politolog współczesny, Zbigniew Brzeziński. Skąd pochodzi natchnienie do tej myśli? W dawniejszych przemyśleniach Karola Wojtyły możemy śledzić drogę rodzenia się tego sformułowania, aż do źródeł: „Dziełem sprawiedliwości niech będzie pokój. A owocem prawa – wieczyste bezpieczeństwo” (Iz 32, 17).

Czyż najbardziej nie niepokoi Papieża fakt, że broń nuklearną mają też państwa, w których nie ma żadnej kontroli społeczeństwa nad rządem? Pierwsza wojna jądrowa rozegrała się już w Europie, w czasie Czernobyla. A słowo „niezbywalny” zasiane w świecie? Wschodzi także w ustach marksistów-leninistów, użyte ostatnio nawet przez Albanę. Rozumiane jako zakaz wobec tych, którzy chcieliby niezbywalne zawłaszczyć – jest też przypomnieniem dla tych, którzy w przerażeniu, udręczeniu i zmęczeniu chcieliby się wyzbyć niezbywalnego, że transakcja jest nieważna i że ten, komu wydaje się, że się swoich praw wyrzekł – zachował je i może się o nie, i powinien się o nie upomnieć.

Wcześniej objawia się u Niego wola poznania języków, początkowo bez żadnego związku z Jego sytuacją, jak pod wpływem jakiegoś znaku, który czyni Go człowiekiem Ducha Świętego także w niezwyklej mocy porozumiewania się. Pierwszy na świecie ksiądz robotnik, który modlił się wśród maszyn – jak kapłan zen łączy skrajności nie czyniąc ich sprzecznymi. Jest wszystkim naraz, bo nie czynił nigdy wyboru, cały będąc wyborem. Obala antynomię między umysłem a sercem, kontempłacją a działaniem, modlitwą a heroizmem. Przeniknięty najwyższą powagą, robi sobie żarciki, omal nie psoci. Na każdym zdjęciu inny, zawsze poznawany, ma coś frasobliwego i zwycięskiego, coś chłopskiego i profesorskiego, coś z proboszcza – bo jest proboszczem świata,

plebanem globalnym. Emanuje z siebie rycerskość dawnych rycerzy krzyża, dziecięcość wiecznego zachwytu życiem i Bogiem, siłę starego mędrca, jakby miał dwa i pół tysiąca lat. W każde kazanie wplata genialną myśl i ukrywa ją, by niepostrzeżenie weszła do umysłów słuchaczy, by nie przerażała ich tym, jaki Bóg jest trudny. Sportsman, nigdy nie występował, rywalizując. Jego sporty nie wymagają zespołu, pozwalają na samotność. Jestem pewien, że długo pływając czy jadąc na nartach modli się.

Każda z wielkich spraw epoki schyłku XX wieku znajduje odpowiedź w nauce tego Papieża. Nakazując nam „uważać bliźniego... za drugiego siebie” pobudza myśl: czy kochając bliźniego jak siebie samego – umiemy kochać siebie?

Kiedy zakończyła się II wojna światowa, strach ustąpił przed lękiem: boimy się czegoś nieokreślonego i to wyolbrzymia naszą obawę. Lęk to strach przed strachem. Łatwiej przełamać strach niż lęk. Lęk sięga głębiej niż strach. Strach skłoni do czynu, lęk omota i zdławi. Inny lęk znają kraje wolne, inny zniewolone. Dzięki lękowi rozszerza się bierność wobec zniewolenia. Dlatego pierwszymi słowami, które wypowie jako Jan Paweł II, będą: „Nie lękajcie się”. I to słowo „wysiało się”, wyrosło i zaowocowało okrzykiem Zofii Bartkiewicz w Świdniku dnia 8 lipca 1980 roku, od którego wszystko się zaczęło: „Nie dajcie się zastraszyć. Zachowajcie twarz. Nie bójcie się”.

Pracę, w której „człowiek urzeczywistnia siebie jako człowiek” – umieszcza na granicy modlitwy. Ojciec Święty rewolucjonizuje rewolucję. Nosząc na trzecie imię Józef, podobnie jak Józef, poznał pracę w jej samej istocie najniższej funkcji, dziś przejmowanej przez maszyny. Nie w mechaniczności czynności jednak, ale w traktowaniu pracy jako sposobu zniewolenia, pracy jako pohańbienia, kary – stającej się czasem karą śmierci – ujrzał Papież grozę totalitaryzmów. Hasła: „Praca uczyni cię wolnym”, „kto nie pracuje, ten nie je” – będące synonimem przewrotności epoki, Jan Paweł II jeszcze raz przewrócił na nice, przywracając idei pracy dawną jej moc. Na jej szczycie umieścił kulturę. Jest to „nie tyle ludzkie wytwarzanie, ile przede wszystkim – tworzenie siebie”. Gnoseolog, uczący, że „prawdę się odkrywa, a nie kreuje”, pozostawia kulturze rolę kontynuacji aktu stworzenia, towarzyszenia Bogu. Sam Jan Paweł II prowadzi dla nas nieustanną lekcję tworzenia.

Patrzenie na Papieża z dalekiego obserwatorium, jakby czynił to domorosły astronom obserwujący kometę zmieniającą trajektorię

gwiazd i planet – losów ludzkich, daje widzenie, jak życie Jana Pawła II jest rozdane do ostatniej sekundy. Biskupstwo, czasy kardynalskie dla tego największego człowieka, jaki żyje na ziemi, było terminowaniem w wypełnianiu czasu służbą Bożą, w usunięciu wszystkiego innego poza nawias i zmienieniu swojego bytu w nieustanną kontemplację, jak wszystko u Niego osobliwą: w kontemplację czynną. Kiedyś się o nas będzie mówiło: żyli w czasach Jana Pawła II, i będzie się nam – może z tego jednego powodu – zazdrościło. Moja samozwańcza janopawłologia nie byłaby pełna, gdybym nie zbierał o Nim anegdot. Na krótko przed ogłoszeniem stanu wojennego odwiedził mnie kolega z lat wojny, późniejszy komunista i oficer sztabowy LWP, by ostrzec mnie przed konsekwencjami nieposłuszeństwa wobec władzy, a także przeprowadzić agitację przeciw moim dwu ukochanym postaciom: Piłsudskiemu i Wojtyłe.

– Dowiedz się, czego dopuścił się twój Papież, gdy był młody. W lesie udzielił Komunii tym, którzy nie oddali broni po 1945 roku.

– To pozwól, że ci opowiem anegdotkę: w połowie października 1978 roku kardynał Wojtyła wyjechał znów do Rzymu i przy okazji podejmowania decyzji o wydaniu mu paszportu najwyższe władze województwa krakowskiego postanowiły zorganizować naradę w najściślejszym gronie na temat: co zrobić z Wojtyłą. Parę dni potem zbrali się. Na stole konferencyjnym piętrzyły się teczki z materiałami o Kardynale, a oni naradzali się godzinę, dwie, trzy. Przeważała opinia, że najlepszym sposobem pozbycia się uciążliwego obywatela Krakowa będzie spowodowanie zakulisowymi naciskami, by Wojtyłę wzięto do Watykanu. Narada się przeciągała i przeciągała. Nagle zapukano do drzwi. Była to sprzątaczką od wielu godzin czekająca na możliwość sprzątnięcia gabinetu: „Panowie! – wykrzyknęła. – Wy radzicie i radzicie, a jest ważna wiadomość. Kardynał Wojtyła wybrany papieżem!”

Pod czarnym od ciężkich chmur niebem Polski od 1939 roku były cztery dobre wiadomości: koniec wojny, Październik 1956, który zniósł nieludzki okres, rejestracja „Solidarności”, ale one nie dopełniły się, jak oczekiwaliśmy. Tylko wybór Jana Pawła II był pewnym, nieskażonym pocieszeniem, wyzwoleniem. Wzięto Go ze zdradzonego, porzuconego przez historię, najbardziej zapomnianego narodu. Z koroną Piotrową otrzymał od nas i drugą: króla Polski.

W czasie pobytu Papieża w Polsce w 1987 roku przeżyłem spełnienie mojego ciągle powtarzającego się snu. Jak według scenariusza z marze-

nia sennego wszystko powtórzyło się na jawie: wykorzystałem chwilę, by przypaść do Niego gestem zapożyczonym z mojego snu, przytulić się do Jego dłoni, odczuć siłę bijącą z Jego osoby i zawierzyć kilka słów, ale treść tej rozmowy niech będzie moją własnością i to jedyne z Nim spotkanie pozostanie nie opisane. Pierwszy raz poczułem potęgę czyjejs obecności fizycznej, zwykle dotknięcie dłoni dawało jakąś moc, spowodowało całkowite skupienie mojej uwagi i wszystkich moich sił, tak że nie słyszałem przemówień, nawet przemówienia samego Papieża, i potem czytałem je jako całkowicie sobie nie znane.

Prof. WŁODZIMIERZ KOŁOS, chemik

W 1978 roku przebywałem z żoną we Włoszech i 15 października przyjechaliśmy do Pizy. Następnego dnia wieczorem miałem na uniwersytecie wykład. Gdy po wykładzie wychodziłem z sali, zatrzymał mnie woźny, by powiedzieć, że właśnie został wybrany nowy papież. Z jego oczu poznałem, że stało się coś niezwykłego. Istotnie: e un Polacco. Pobiegłem do hotelu, by jak najprędzej podzielić się z żoną tą wiadomością. Gdy tylko otworzyłem drzwi, ujrzałem jej twarz radosną i zapłakaną. Słyszała wszystko przez radio. Za chwilę dzwoni telefon. Mój kolega, który zapraszał nas na dwudziestą, prosi, abyśmy nie czekali, lecz przyszli natychmiast, gdyż za chwilę będziemy mogli w telewizji zobaczyć, jak Papież Polak udziela pierwszego błogosławieństwa. Po kilku minutach byliśmy u niego. On Włoch, toteż zdumienie nasze wywołuje wiszący na ścianie obraz Pani Jasnogórskiej. Okazuje się, że żona jest Amerykanką polskiego pochodzenia. Słowa po polsku nie rozumie, lecz tę pamiątkę rodzinną przechowuje pieczołowicie. Spragnieni byli wiadomości o nowym biskupie Rzymu. Kto to taki? Dlaczego kardynałowie złamali wielowiekową tradycję?

Wybór Jana Pawła II był dla wszystkich wstrząsem i ja nie byłem wyjątkiem. Nie spodziewałem się jednak, że w ciągu niewielu miesięcy wyprostuje On sposób myślenia tak wielu Polaków. Nie spodziewałem się również, że do mojego życia wniesie istotne zmiany. Zagadnieniami filozofii przyrody, relacji między nauką a religią interesowałem się od dawna. Zainteresowania te nabrały jednak innego wymiaru, gdy w czwartym roku pontyfikatu Jana Pawła II zostałem zaproszony do udziału w przygotowywanym przez Jerzego Janika trzecim już seminarium „Nauka – Religia – Dzieje”, które miało się odbyć w Castel Gandolfo w 1984 roku. Seminaria te są kontynuacją mających starą tradycję spotkań dyskusyjnych, które od wczesnych lat pięćdziesiątych do roku 1978 odbywały się w Krakowie. Dają one możliwość uczestnikom (i ich rodzinom) przez kilka dni przebywać w towarzystwie Ojca

Świętego zarówno w czasie samych obrad, jak i podczas przerw oraz posiłków. Od tamtej pory trzy razy było mi dane wziąć udział w tych seminariach, a ponadto kilka razy, przy innych okazjach, spotkać się z Ojcem Świętym w Watykanie.

Każdy, kto choć przelotnie zetknął się z Janem Pawłem II, wie, jak głębokie jest to przeżycie. A czym jest wobec tego wielogodzinne z Nim obcowanie, możliwość prywatnej rozmowy? Jest rzeczą zdumiewającą, jakie zainteresowanie okazuje Ojciec Święty każdemu swemu rozmówcy, jak uważnie słucha wszystkiego, co się do Niego mówi.

W 1986 roku przyjechaliśmy do Castel Gandolfo w sobotę, a ponieważ była to pierwsza sobota miesiąca, więc część z nas wybrała się wieczorem na dziedziniec pałacu papieskiego, by wspólnie z Ojcem Świętym odmówić różaniec. Na dziedzińcu spotkaliśmy znajome, jak zawsze uśmiechnięte, siostry sercanki – gospodynie domu papieskiego, a także znajomych gwardzistów. W czasie odmawiania trzeciej dziesiątki różańca doszła do nas wiadomość, że Ojciec Święty wie o naszej obecności, a gdy w litanii loretańskiej prosiliśmy, aby Auxilium Christianorum modliła się za nami, serca nasze bić mocniej zaczęły, bo ktoś szepnął, że być może po różańcu Ojciec Święty spotka się z nami. Istotnie, gdy wszyscy zaczęli się rozchodzić, gwardziści poprosili nas na tył pałacu i za chwilę na wysokich zewnętrznych schodach ukazała się biała sylwetka Jana Pawła II schodzącego ku nam. Witamy się, całujemy. „Dobrze, żeście przyjechali” – mówi Gospodarz. Rozmawiamy. Następnie krótki spacer po ogrodzie. W oddali luna świateł Wiecznego Miasta. Nie trwa to jednak długo, gdyż jest późny wieczór, a ks. Stanisław Dziwisz przypomina Ojcu Świętemu o czekającej Go jeszcze pracy. „Co robicie jutro?” – pyta na pożegnanie Ojciec Święty. Nic specjalnego. „To przyjdźcie do mnie na Mszę św.” Z radością przyszedliśmy do tej wzruszającej dla każdego Polaka kaplicy, urządzonej przez Piusa XI, z Madonną Jasnogóorską w ołtarzu oraz freskami na bocznych ścianach przedstawiającymi obronę Jasnej Góry w 1655 roku i Warszawy w 1920 roku. Po Mszy św. – śniadanie przy jednym stole z Ojcem Świętym. Opowiadamy, co robiliśmy od poprzedniego spotkania, o naszych doświadczeniach z kraju i z wyjazdów zagranicznych. Jak później dowiedzieliśmy się, siostry sercanki były w kłopotcie, gdyż nie spodziewały się tylu gości na śniadanie i nie zaopatrzyły spiżarni w dostateczną liczbę bułek. W domu papieskim nie może jednak zaistnieć sytuacja prawdziwie kłopotliwa. Bułek starczyło i nawet zostały ułomki.

Nieraz zastanawiałem się, dlaczego Ojciec Święty wyraża zgodę na organizowanie tych seminariów i w swoim, jakże szczerze wypełnionym rozkładzie zajęć przeznaczają aż tyle czasu na dyskusje różnych problemów nauk przyrodniczych, ich związku z filozofią, relacji między nauką a religią itp. Jest w tym niewątpliwie kontynuacja starej tradycji spotkań krakowskich. Jednakże ta tradycja mogła powstać chyba tylko dlatego, że ksiądz, później biskup i kardynał metropolita Karol Wojtyła doceniał rolę nauk ścisłych, w szczególności fizyki, w poznawaniu otaczającego nas świata oraz praw nim rządzących i wytyczających rozwój współczesnej cywilizacji. Sama tradycja nie wyjaśnia jednak w pełni powodów kontynuacji. Istotną rolę odgrywa chyba również inny czynnik, a jest nim przyjaźń, o której bardzo pięknie mówił raz Ojciec Święty na pożegnalnym śniadaniu w Castel Gandolfo.

Początkowo, wyjeżdżając do Ojca Świętego, układałem z żoną plany w taki sposób, żeby po seminarium zwiedzić jeszcze trochę Rzym, Włochy. Zrezygnowaliśmy jednak z tego. Przeżycia w Castel Gandolfo są tak głębokie, że na pewien czas skutecznie tłumią zainteresowania wszelkimi zabytkami.

MAJA KOMOROWSKA, *aktorka*

Kiedy dowiedziałam się, że ks. Wiesław Niewęglowski, duszpasterz środowisk twórczych, przygotowuje książkę o spotkaniach z Janem Pawłem II i że mam napisać coś na ten temat – a było to dawno – zaczęłam przymierzać się do tego bardzo dla mnie trudnego zadania. Nigdy nic nie pisałam – jak to zrobić, przecież to trzeba umieć. Zaczęłam pisać w głowie. Często zdarza mi się takie „pisanie” o ważnych dla mnie osobach, zdarzeniach, sprawach, by zatrzymać je w pamięci. Wydaje mi się wtedy, że kiedy będę miała więcej czasu, to wezmę kartkę, pióro i po prostu to zapiszę.

I dziś przyszedł taki dzień. Ostatni moment, kiedy można jeszcze dołączyć moje pisanie do powstającej książki. Zostawiłam swoje sprawy, żeby pojechać do zaprzyjaźnionego domu pod Warszawę – może tu uda mi się skoncentrować i nie bać się tego trudnego zadania. Tym razem pisanie w głowie nie wystarczy, trzeba myśli przenieść na papier. Pewnie dlatego nawet myślenie sprawia mi teraz taką trudność. Śmiałam się sama z siebie, kiedy rano zażądałam w sklepie ładnego bloku i garści długopisów – nie mam już żadnego usprawiedliwienia.

Pisanie o tym jest trudne, bo trzeba dotknąć czegoś bardzo intymnego w sobie samym, a człowiek zawsze się przed tym broni. Z drugiej strony – mam poczucie, że spotkanie z Ojcem Świętym jest wielkim darem, na który trzeba odpowiedzieć najlepiej, jak się umie. Spróbować na ten temat napisać – nawet jeżeli będzie to nieporadne i wysilone. Dać świadectwo, by w ten sposób Mu podziękować.

*

Ojcze!

Kiedy usiłowałam swoje myślenie formować w zdania, napotykałam taki graficzny skrót: moje spotkanie to jakby prosta linia, na której są trzy odcinki: Oczekiwanie – Spotkanie-Święto i (nazwijmy to umownie) – Brak.

Oczekiwanie... Nie pamiętam dokładnie scenerii, w której odbywały się te spotkania. Żałuję zresztą tego, zwłaszcza jeśli chodzi o spotkania w Rzymie. Kiedy czekam na Ojca Świętego, to cała zamieniam się w to czekanie, nie zdążam zrobić niczego innego, nawet patrzeć.

To oczekiwanie kojarzy mi się z czymś jasnym – z dzieciństwem. Tak czekałam na Mamę, na Ojca (dziś już nie żyją), na święta – zwłaszcza na Boże Narodzenie. Z jednej strony – nie można się doczekać, ale z drugiej – cieszymy się, że czekamy i mamy na kogo czekać.

*

Spotkanie – dlaczego każde jest tak wielkim wzruszeniem, świętem?

Ojciec naprawdę pochyła się nad każdym człowiekiem z wielką uwagą i czujnością. Nie spieszy się, choćby czasu było bardzo mało – a zawsze jest za mało. Nigdy nie jest zdawkowy. Z każdą osobą spotyka się inaczej. Żaden reżyser nie wymyśliłby tylu wariantów kontaktu. Może z racji mojego zawodu chciałabym zrozumieć dramaturgię tych spotkań. Wiadomo przecież, jak trudno jest znaleźć formę dla myśli i uczuć.

Często słyszy się zdanie, że Ojciec tak dobrze mówi, tak odprawia Mszę, bo był kiedyś aktorem. Widzę to inaczej – On był i jest artystą. Dlatego mógł pracować kiedyś w teatrze, mógł być poetą i dlatego – jest wielkim kapłanem. Nie wierzę, by zastanawiał się nad gestem czy nad zaskakującymi rytmami swoich wypowiedzi, nad pauzami, po których uwaga nasza jeszcze bardziej wzrasta.

Intensywność spotkań z Ojcem Świętym wynika z obcowania z harmonią, czyli z prawdą, mądrością i miłością. Możemy uwierzyć, że jest naprawdę następcą Piotrowym. Myślę, że to, co wiemy o wierze, tu się w jakiś sposób wypełnia, unaocznia.

*

Pamiętam, staliśmy wszyscy jak dzieci i wpatrywaliśmy się w niebo – to było na lotnisku. Pierwszy raz miałam zobaczyć Ojca Świętego. Oczywiście lotnisko kojarzyło mi się z czekaniem i powitaniem. Ale takiego powitania nigdy nie widziałam. Ojciec pocałował ziemię – przywitał się z nami wszystkimi – z Polską. A my, jakby ogarnięci tym powitaniem, zjednoczyliśmy się.

Wtedy pierwszy raz zobaczyłam, jak Ojciec swoją obecnością potrafi jednoczyć ludzi. I że w tym zjednoczeniu nie straciliśmy swojej

osobności. Wręcz przeciwnie – On ją nam jeszcze bardziej uświadomił.

Staliśmy się lepsi, uśmiechaliśmy się do siebie, trochę jeszcze zdziwieni potrzebą okazania serca. Nagle stało się jasne, że dużo umiemy. Umiemy być cierpliwi, dzielić się jedzeniem, pić, odstępować stołki, skrzynki, które przynieśliśmy, żeby Ojca Świętego lepiej zobaczyć.

Ludzie poubierali się w to, co mieli najlepszego – no bo święto. Śmieszne – zauważyłam, że nie ja jedna miałam buty nie pasujące do sukienki. Trudno, najważniejsze, żeby były wygodne.

Ucieszyłam się. Przestaliśmy się spieszyć.

*

Miejsca, w których pojawiał się Ojciec Święty, wszystko jedno, czy było to lotnisko, ulica, stadion sportowy czy plac przed Pałacem Kultury, okazywały się jakby stworzone dla Niego. Jaką trzeba mieć siłę, żeby tak je sobie podporządkować, tak nimi zawładnąć?

Stadion Dziesięciolecia – niejako symbol czasów, w których Bóg nie był zaplanowany. Ale Ojciec Święty miał swój plan. Wystarczy, że wjechał, okrążył stadion i już zagarnął nas wszystkich – ten wielki tłum. Znowu byliśmy razem, znowu zjednoczyliśmy się.

– Niebezpiecznie jest się gromadzić – przestrzegano nas. – Tłum może stratować.

Byłam wtedy na stadionie.

– Idźcie w pokoju, ofiara spełniona.

Poszliśmy.

*

Dziękuję Ojcu Świętemu, że każde spotkanie z Nim jest świętem. Nawet jeśli pozbawione jest Mszy. Jak to, święto bez Mszy?

Spotkanie u ojców kapucynów widzę wyraźnie do dziś. Czekaliśmy długo. Poprzednie spotkanie przedłużało się. U kapucynów Ojciec miał spotkać się z przedstawicielami środowisk twórczych. Wielu z czekających tam już nie żyje. Myślę o Oli Śląskiej, Klemensie Szaniawskim, o Basi Sadowskiej. To spotkanie związane jest właśnie z nią.

Ktoś ze znajomych powiedział mi, że Basia jest wśród nas, gdzieś w głębi kościoła. Nie widziałam jej. Myślałam tylko, którędy Ojciec będzie przechodzić, czy uda mi się zaczepić o Niego oczy, ucieszyć się Nim na zapas. Ale jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że nikt tego

spotkania nie może bardziej potrzebować niż Basia – matka Grzegorza Przemyka. To przede wszystkim powinno być jej spotkanie.

Czy uda mi się Ojca na chwilę zatrzymać? Jak najkrócej powiedzieć o Basi i jej synu? W pośpiechu próbowałam ułożyć jakieś zdanie, ale miałam wciąż pustkę w głowie. Uczepiłam się myśli, że to spotkanie da jej siłę do życia. Uwierzyłam w to i uspokoiłam się – to się musi udać.

Najpierw była droga Ojca od wejścia do ołtarza. Daleko od nas. Powitanie. Potem droga do wyjścia – to pamiętam lepiej. Posuwał się wolno od jednych rąk do drugich. Miałam wrażenie, że podajemy Go sobie z rąk do rąk, jak najcenniejszy dar. Dzielimy się Nim – ale wcale nie tak chętnie. Każdy chciałby zatrzymać Go przy sobie jak najdłużej.

Był już blisko. Koncentrowałam się jak do skoku. Nagle usłyszałam swój głos: „Ojczy, Ojczy. To jest Basia...” Jakiś człowiek przeszkodził mi. Wysoki, z ochrony. On miał swoje zadanie – pilnować porządku. Przestraszyłam się, że nie powiem już nic więcej, ale mówiłam dalej. „Ojczy, to jest Basia Sadowska, której zamordowali syna.”

Zrobiła się wielka cisza. Czas się zatrzymał.

„Ojczy, Basia nie chce żyć.”

I zobaczyłam Basię w Jego ramionach, jak zmęczone dziecko. Była jeszcze mniejsza, bardziej krucha i potrzebująca pomocy. Pomoc przyszła. Dużo później powiedziała mi, że teraz musi żyć, tak żyć, żeby spotkać się ze swoim synem.

*

Gdyby mi ktoś powiedział, że będę jeść kolację przy jednym stole z Ojcem Świętym – nie uwierzyłabym. A jednak...

Po ciężkim dniu, po długiej Mszy w kościele Wszystkich Świętych – jeszcze jeden obowiązek – spotkanie z nami, Radą Prymasowską, w rezydencji Prymasa.

Prawie nie mogłam się cieszyć, tak się bałam, że zobaczę Jego zmęczenie – w sylwetce, ruchach, w twarzy... I znowu staje się inaczej. Wchodzi – nie widać zmęczenia, jest uśmiechnięty, wita się z każdym. A tu jeszcze fotografie! Oczywiście wszyscy je chcemy mieć. Jak On to robi, że wygląda, jakby cały dzień odpoczywał?

Nie wiem, jakie były przemówienia (a musiały być) ani rozmowy. Pamiętam, że usiedliśmy do stołu. Stół był długi. Siedziałam prawie naprzeciwko. Jedzenie na pewno było dobre, ale nóż i widelec wyraźnie sprawiały mi kłopot. Kroiłam chyba mięso, ale chciałam patrzeć,

napatrzeć się, bo kiedy jeszcze zdarzy mi się coś takiego! Ojciec Święty zauważył, kiedy grzebałam widelcem w talerzu. Poczułam się jak złapana na gorącym uczynku. „Trudno mi pogodzić jedzenie z patrzaniem” – próbowałam się wytłumaczyć. Przyjrzał mi się bacznie: „Trzeba spróbować pogodzić – tak jak ja to robię”. Próbowałam.

*

Urodziny Ojca Świętego – to moje przedostatnie z Nim spotkanie. Moje i dzieci – tak nazywałam studentów Szkoły Teatralnej, z którymi pracowałam przez cztery lata.

Skończyli studia i na progu ich dorosłego życia, ich pracy, przyjechali ze swoimi nauczycielami po błogosławieństwo Ojca! Tak to teraz widzę, kiedy myślę o tamtym dniu. Opatrzność sama to wyreżyserowała.

Jechaliśmy do Kalabrii na zaproszenie tamtejszej szkoły teatralnej, razem z Janem Englertem, Aleksandrą Górską, Barbarą Lasocką, Tadeuszem Faberem. Oczywiście przez Rzym. Spóźniliśmy się na audiencję generalną, o którą tak zabiegaliśmy. Zawinił samolot. Nie zobaczymy Ojca – ciężko w to uwierzyć.

W Rzymie mieszkamy w Domu Pielgrzyma. W południe – konferencja prasowa, pierwsza w życiu moich studentów. Wieczorem przedstawienie (dyplomowe). Dużo ludzi, jest ksiądz Boniecki. Gorące przyjęcie i uroczysta kolacja z profesorami z Kalabrii. Do domu wracamy późno w nocy. Niezrównany ojciec Hejmo czekał z wiadomością: rano Msza z Papieżem w Jego prywatnej kaplicy. I wielka radość! Jest jedno żelazko, które pożyczamy sobie nawzajem. Dobrze, że Janek Englert miał więcej niż jedną marynarkę, wszyscy chłopcy mogli wyglądać odświętnie.

Zamawiamy taksówki, żeby się nie spóźnić. Ojciec Hejmo już czekał. Nie wiedział jeszcze, że w tym holu, wśród gwardzistów papieskich, przyjdzie mu spowiadać moje dzieci. Nawet schody do kaplicy zamieniły się w konfesjonał.

Czekamy. Drzwi się otwierają. Ojciec już jest, klęczy przed ołtarzem. Jesteśmy bardzo blisko, siadamy najciszej, jak umiemy. Wszystko oddala się. Znowu zatrzymany czas.

Klękamy. Próbuje jakby uzgodnić naszą modlitwę z Jego. Tak trudno nauczyć się modlić.

W tej kaplicy wszystko było Mszą.

*

Staliśmy potem w wielkiej sali. A Ojciec miał dla nas czas! Przedstawiałam dzieci po kolei. Musiałam, bo nikt nie potrafił nic powiedzieć – tak wielkie było wzruszenie.

Spotkanie moich dzieci. Ich Spotkanie. Cieszyłam się.

*

Kiedy kończy się Spotkanie, kiedy kończy się Święto, to robi się – pusto. Tak jakby powietrze się rozrzedziło. Oddycha się jakoś lżej. Nie jesteśmy już zmęczeni. A brak nam... Brak – czego? Przecież Spotkanie dopiero się skończyło, a człowiek znów zaczyna czekać.

Gdyby się powtórzyła sytuacja z Ewangelii i gdybyśmy usłyszeli: „Pójdź za Mną”, to poszlibyśmy. Ale Ojciec Święty to mówi i pokazuje nam, gdzie mamy iść. Po to się z nami spotyka.

Musimy spełnić to oczekiwanie.

Obdarował nas miłością – a my musimy ją oddać.

Ojcze – dziękuję Ci!

ZOFIA KUCÓWNA, *aktorka*

Na niebie pojawił się wreszcie ciemny punkt. Powiększał się powoli, aż przybrał kształt lądującego z hukiem samolotu. Podniosły się okrzyki. Wrzeszczeli wszyscy z całych sił, jak opętani. Wydawało mi się, że głośniej i radośniej być już nie może.

Ale kiedy w otwartym luku samolotu pojawiła się Jego biała postać, a tłumem zebranych wstrząsnął okrzyk jak nie przymierzając armatni grzmot, zrozumiałam, że możliwości ludzkich przepon w sytuacjach nadzwyczajnych bywają nieobliczalne i niewyobrażalne. Od podmuchu tego grzmotu na płycie lotniska wszystko zawirowało.

Choraągwie żółte i biało-czerwone załopotwały radośniej, krwiste piuski biskupie poderwały się jak stado wróbli, dystyngowane czarne niezdiscyplinowane garnitury dyplomatów stanęły grzecznie pod sznurkiem, różne kolorowe, niekoniecznie staranne ubiory fotoreporterów biegły wefte i wefte, zielona kolumna kompanii honorowej trzasnęła z fasonem w obcasy i buchnęło polskie nieśmiertelne „Sto lat”.

Przez cały ten rejwach jak kula bilardowa przeleciał uśmiechnięty, poczerwieniały z emocji ksiądz Wiesław, za którym jego nie nadążająca za nim czarna sutanna układała się w furgający wokół nóg wachlarz, budzący niepokój, czy aby nie spowoduje katastrofy. Nie spowodował. Nasz duszpasterz dobiegł do celu i stanął tam, gdzie miał stanąć. Zdążył jeszcze po drodze wysłać ku nam gest pozdrawiający.

Podróżny w białej sutannie całował już swoją ojczystą ziemię. Klęczący i zgięty w pałak korzył się przed nią i tulił się do niej. Witał ją jak Matkę, jak Siostrę i jak przecież Córkę.

Mała zgarbiona garstka białej materii przylgnęła na moment do rozpalonej upałem betonowej płyty lotniska.

Co myśli? Co czuje? Czy modli się? Czy mówi słowa powitania? Czy

akt strzelisty szczęścia Go przenika? Zaspokojonej tęsknoty? A może rozpaczy, bólu, cierpienia? Ukojenia może?

Kim jesteś? Jakim podlegasz i poddajesz się uczuciom, emocjom? Czy pozwalasz sobie na luksus przeżywania zwyczajnych, banalnych namiętności? Gniewu, irytacji, furii? Sentymentalnych duchowych hipochondrii? Czy nigdy nie pragniesz zwyczajnej ludzkiej czułości, tkliwości, serdeczności? Czy marzysz? Dziecinnie i naiwnie? O ludzkiej przyjaźni bezwarunkowej i niezmiennej? Czy tęsknisz? Za dmuchawcem na tej jednej jedynej łące? O dwunastej w południe za hejnałem z Wieży Mariackiej? Za waniliowymi lodami wyciekającymi spomiędzy dwóch płatków wafła?

Jaki jesteś? Żyjący wyłącznie w rygorze swego powołania i rezygnacji z siebie dla innych? Na czym polega Twoja wierność sobie i jednocześnie Chrystusowi? Jesteś świętym? Czy tylko bywasz nim? Wytresowanym przez siebie modlitwami gigantem? Czy czasem mimo wszystko biednym, bezradnym, słabym, ludzkim okruczem?

Zaczął się protokół powitania. Przemówienia i ściskania rąk. Dziesiątek rąk.

I wreszcie naszych rąk. Szedł wzdłuż żelaznych opłotków, za którymi staliśmy my, gawiedź warszawska. Witał się, podawał rękę, dotykał ludzkich twarzy, całował małe dzieci trzymane przez rodziców na rękach. Błogosławił je i głaskał ich głowy. Szedł oczami po tłumie. Spojrzał i na mnie.

Wyciągnęłam ku niemu prawą rękę, przyjął ją i uściśnął. Chciałam się przedrzeć przez gwar z jakimiś słowami, jak ten gogolowski Dobczyński lub Bobczyński zwrócić na siebie Jego uwagę, ale umiałam tylko zawołać:

– Jesteśmy szczęśliwi!!!

Uśmiechnął się i szedł dalej, ale ja Jego ręki nie puszczałam. Trzymałam mocno i zawzięcie. Minął już mnie, a ja ciągle tę rękę trzymałam i w myślach powtarzałam prośbę:

– Pomóż mi, pomóż mi, pomóż mi.

Odwrócił się, jakby szukał tej swojej zabranej Mu dłoni, mrugnął prosząco oczami i łagodnie, lecz stanowczo zaczął ją uwalniać. Jego ręka powoli wysuwała się z mojej. Ścisakałam już tylko jej palce, koniuszki palców, było jej coraz mniej i mniej i wreszcie wymknęła się całkiem. Zostało tylko ciepło tej ręki i uczucie kojącej gładkości. Trzymałam w swej dłoni błogosławieństwo. Jak mała dziewczynka podniosłam je do ust i ucałowałam.

MARIA KUNCEWICZOWA, *pisarka*

Trzy razy miałam okazję dotknięcia Jego ręki i zamienienia kilku słów. Po raz pierwszy w Kolegium Polskim, kiedy jeszcze był kardynałem. Po raz drugi na audiencji publicznej na placu Św. Piotra, wreszcie w ostatnim dniu czerwca 1982 roku podczas śniadania po Mszy św. w Jego prywatnej kaplicy.

Za każdym razem na dnie oczu tego Papieża dostrzegałam iskierkę humoru, jak gdyby świadomość dysproporcji między nieskończoną liczbą spraw ludzkich a jedną jedyną sprawą Boską. Ale zanim doszło do śniadania, była Msza św. i oczu Papieża nie widziałam. Wszedł bocznym wejściem ze swojego mieszkania w reprezentacyjnym gmachu katolickiego świata i zaraz ukląkł u stóp ołtarza. Widziałam tylko plecy i schyloną nad klęcznikiem głowę, opartą na dłoniach. Z całej postaci ugiętej w geście pokory bił prąd ogromnego wysiłku przełamania jakiejś ostatecznej granicy; wyjścia poza formę. Mszę odprawił w asyście sześciu akolitów. Surowy śpiew zakonnic ustawionych z boku brzmiał jak chór w tragedii greckiej.

Do stołu zasiadło osiem osób. Przewaga – pięć osób – była po stronie polskiej i rozmowa toczyła się przeważnie w naszym języku. Uderzyła mnie czystość i dźwięczność słów Karola Wojtyły – dykcja już nawet nie aktorska i nie kaznodziejska, tylko jak gdyby zaczerpnięta u samego źródła polszczyzny. Wyobrażam sobie, że w stylu swojej epoki tak mówił na co dzień Jan Kochanowski. Kapelan, ksiądz Dziwisz, nie przybierając pozy mistrza ceremonii, kierował jednak uwagę gospodarza na poszczególnych gości. Tak został nawiązany dialog między Jerzym a jego dostojnym vis-à-vis na temat encykliki *Laborem exercens*. Obaj podnosili twórczy walor ludzkiej pracy i konieczność udziału robotników w planowaniu i zyskach.

Z kolei wypadło i mnie się odezwać. Jak zwykle niczego nie pomyślałam naprzód, nie przygotowałam siebie do sprostania sytuacji.

Cokolwiek mówię i piszę, zawsze jest improwizacją, a jeżeli jakiś podskórny nurt wiąże moje słowa i uczynki, dzieje się to bez mojej wiedzy. Ze zdziwieniem usłyszałam, że pytam głosem schrypniętym, jak gdyby nie swoim: „Czy *Ojcze nasz* nie jest trudną modlitwą?” Chwila ciszy. Wszyscy na mnie patrzą niepewni, czy dobrze zrozumieli. Czekają. I ja czekam. Na co? Na przelot muchy, na skrzypnięcie drzwi, na wejście osoby nie z tego świata z pergaminem w ręku, na którym jest napisane coś, czego nikt nie wie? Podnoszę oczy. Jan Paweł patrzy na mnie z wielkiej odległości. Nie uśmiecha się. Nie dziwi się. Mówi: „Tak, *Ojcze nasz* jest bardzo trudną modlitwą”.

Podano owoce. Polskie siostry płynnymi ruchami zmieniały talerze. Nikt się już nie odzywał. Za wysokimi oknami dał o sobie znać Rzym, samochody, upał, szeroko rozlany czas, bijąc drobnymi falami o niewidoczny brzeg. Jan Paweł wstał, prostując białą postać, wszyscy wstali. Żegnał gości jak bliskich przyjaciół. Jerzego uścisnął, mnie coś szepnął, nie dosłyszałam, huczało mi w głowie od bardzo trudnych modlitw. Pochyliłam się, ucałowałam pierścień Rybaka, wyszłam. I nie wiedziałam, dokąd teraz iść, bo wszystkie drogi wydawały się za trudne.

Wkrótce później puściłam się jednak w drogę: do Kazimierza. I pierwsza rzecz, o jaką mnie spytał kanonik naszej fary, była: „Czy rozmawiała pani z Ojcem Świętym?” „Tak, rozmawiałam”. „Powiedziała Mu pani, że nasze organy są starsze od oliwskich? Że zostały wyremontowane?” Zawstydziałam się. Oczywiście, zamiast Go nękać metafizyką, należało raczej ucieszyć Ojca Świętego nowiną o długo-wieczności organów w kazimierskiej farze.

Prof. **WŁADYSŁAW J.H. KUNICKI**
-GOLDFINGER, biolog

Spotkać się można z kimś lub spotkać można kogoś. W pierwszym przypadku obaj spotykający się wchodzą we wzajemny osobisty stosunek; w drugim – spotykający może być jako osoba nie zauważony przez spotykanego.

Z Janem Pawłem II nie spotkałem się nigdy. Studiowaliśmy na tym samym uniwersytecie, ale gdy On studia rozpoczynał, ja już je kończyłem. Wykładaliśmy obaj w tym samym mieście, On na KUL-u, ja na UMCS, ale gdy On rozpoczynał wykłady, ja przenosiłem się już do Wrocławia. Mijaliśmy się wielokrotnie i nigdy z Nim się nie spotkałem.

Ale spotykałem Go wielokrotnie. Jako agnostyk, tylko tradycją związany z Kościołem, jako przedstawiciel nauk przyrodniczych i człowiek wywodzący się z rodziny laickiej, liberalnej i socjalistycznej, tkwiłem w innym niż On środowisku. Po raz pierwszy spotkałem Go, biskupa, a potem arcybiskupa i metropolitę krakowskiego, poprzez znajomych i przyjaciół, którzy stykali się z Nim bezpośrednio. Było to spotkanie drugiego w Polsce hierarchy kościelnego, który był jednocześnie uczonym i filozofem, aktywnie uczestniczącym w życiu kulturalnym kraju, z odwagą i roztropnością występującym w obronie i mnie drogiej wartości – godności i wolności człowieka, tolerancji i dążenia do prawdy. Po raz drugi spotkałem Go jako Jana Pawła II, gdy został wybrany papieżem. Sam ten fakt, z uwagi na znaczenie dla polskiego Kościoła, a przez to dla całego narodu, był znaczącym przeżyciem. Bezpośrednie spotkanie Go w czasie uroczystej Mszy na stadionie podczas Jego drugiej pielgrzymki do kraju oraz uczestniczenie w Jego spotkaniu z ludźmi kultury w kościele Św. Krzyża w trakcie Jego trzeciej pielgrzymki przeżycie to pogłębiło.

Najważniejszymi dla mnie spotkaniami Jana Pawła II są spotkania z Jego słowami, zawartymi w encyklikach, homiliach i licznych wypowiedziach z różnych okazji. Sprawy Kościoła pomijam tu zupełnie; nie czuję się upoważniony do jakichkolwiek uwag na ten temat. Obserwuję z zewnątrz usiłowania Jana Pawła II zachowania zwartości, jedności i ciągłości Kościoła w szybko zmieniającym się świecie, ustawicznie stawiającym Kościół wobec nowych problemów etycznych, kulturowych, społecznych. Toteż moje spotkania Jana Pawła II dotyczą właśnie przebudowywanego przezeń stosunku Kościoła i wierzących do tych problemów. Nacisk na godność człowieka, na jego czynną rolę jako części społeczeństwa, na wartość pracy, która zawsze powinna być w jakimś stopniu twórczością, na pierwszeństwo człowieka przed rzeczami, wartości moralnych przed technicznymi, panowania nad sobą przed panowaniem nad zewnętrznym światem – przemawia tak do wierzących jak i do niewierzących. Problemy te są ważne także dla naszego kraju, a autorytet Jana Pawła II i Jego wpływ na moralny stan społeczeństwa nie mogą być nie doceniane. I choć, jako niewierzący nie zawsze w pełni zgadzam się ze stanowiskiem Jana Pawła II, np. w sprawie zapobiegania ciąży, chciałbym, w miarę swoich skromnych możliwości, współuczestniczyć w Jego usiłowaniach odrodzenia moralnego i kulturowego naszego, tak teraz często zagubionego i biernego społeczeństwa.

ANDRZEJ KURYLEWICZ, *kompozytor*

Od początku wszystko było nie tak. Inni już byli u Papieża, niektórzy po kilka razy, a my nic. W roku 1984 byłem stypendystą miasta Wilhelmshaven w RFN (Wschodnia Fryzja). Pojechałem tam wraz z żoną Wandą i córką Gabrielą. Pewnego dnia Wanda wykupiła w odpowiednim biurze podróży trzy miejsca w autokarowej wycieczce do Włoch. Tak więc staliśmy się Niemcami, podróżującymi do Neapolu, Rzymu i tak dalej. Od razu postanowieniem zasadniczym, jakie powzięliśmy, było odwiedzić Watykan i Ojca Świętego. Zadzwońłem zatem do Watykanu, a miła zakonnica z Sekretariatu poprosiła o telefon, jak będziemy w Rzymie. Pojechaliśmy więc. Dzwoniłem jeszcze po drodze z Terraciny, Sorrento i skąd tam jeszcze, aby się upewnić i sprawy nie zawalić. Do Rzymu spóźniliśmy się, było już po audiencji, a więc czarna rozpacz. Wanda płakała. Być w Rzymie i Papieża nie widzieć? Cóż, zdarza się. Wróciliśmy do Niemiec smutni i zniechęceni. Za jakiś czas wróciliśmy do Polski.

Nadszedł czerwiec 1987 roku i kolejna wizyta Ojca Świętego w Polsce. Pamiętne spotkanie z twórcami w upalne popołudnie w warszawskim kościele Św. Krzyża. Nastrój podniecenia, oczekiwania, wzajemnej życzliwości i lekka trema. Byliśmy z Wandą usadowieni w ławce po lewej stronie kościoła. W prezbiterium zasiadła śmietanka katolicka. Naszej córce Gabrieli wręcz odmówiono karty wstępu. Szkoda. Było mi smutno, ale myślę: „Siedź, nie bądź małoduszny, Papież nie jest temu winien, mogłeś w końcu w ogóle się tu nie znaleźć”. Czekaliśmy długo, przed nami siedziała Zosia Łapicka z Zuzią, Maciek Rayzacher z żoną i jeszcze parę przemiłych osób, do tego złączonych oczekiwaniem – wreszcie – j e s t! Tłum zafalował, wszystkie głowy zwróciły się ku wejściu. Ukazała się biała piuska w otoczeniu czerwonych i karmazynowych – i oto Papież! Biały, kruchy, nierealny, emanujący niezwykłą dobrocią, a zarazem czerstwo opalony człowiek – anioł. Tu niedaleko, w zasięgu już nie wzroku, ale ręki. Wszedł. Udał

się prawą stroną, ściskając wyciągnięte ręce – do ołtarza i zasiadł na tronie. Przedstawiano Mu ludzi z prezbiterium, składano dary, wysłuchał fragmentu *Stabat Mater* Karola Szymanowskiego w wykonaniu Narodowej. Wygłosił wspaniałą homilię, zszedł ze stopni ołtarza i zaczął iść w kierunku wyjścia, tym razem naszą stroną. Gdy doszedł do mnie i do Wandy, zatrzymał się i p o z n a ł nas! W końcu trzynaście lat spędziliśmy w Krakowie. Całowaliśmy Jego ręce, On nas przytulał do piersi, błogosławił i też całował. Kładł nam kilkakrotnie ręce na głowie, kreślił znaki krzyża i znów ściskał. Za mną stała dziewczyna, której zbierało się na płacz, nie mogła bowiem ucałować ręki Papieża. Przytrzymałem zatem rękę Papieża w swojej i przyciągnąłem ku Niemu dziewczynę, aby ją pobłogosławił. Pomyślałem sobie: „mojej Gabrysi nie ma, więc niech ona otrzyma błogosławieństwo papieskie”. Jednym słowem zrobiło się lekkie zamieszanie, Papież za długo zabawił przy nas i tu nie na żarty zaniepokoiła się obstawa: półgębkiem wydano rozkazy, oczy rozbiegały się, odstające pod pachami marynarki zafalowały. Wkrótce jednak uśmiech rozjaśnił wszystkie twarze, powiedziałem do Ojca Świętego: „Wanda Warska i Andrzej Kurylewicz kochają Cię, Ojcze Święty”. Wówczas Papież błysnął ku mnie krótkim spojrzeniem. Było w tym błysku spojrzenie Boga i kumpla, świętego i urwipolcia, kolegi ze szkoły, i starego przyjaciela, ojca i brata. Zupełnie po lwowsku, po góralsku, po kresowemu, po galicyjsku. To było niezwykle i nie dające się wytłumaczyć zjawisko. Poczułem, jak mi jest bardzo bliski ten człowiek w bieli, nieskazitelny, rozjaśniony, święty i metafizyczny, emanujący nie dającą się wytłumaczyć charyzmą i prawdą, ten nasz swojski, własny, polski Cesarz. Poczułem, że znam Go od zawsze, że nigdy się nie rozstawaliśmy, że razem się wychowywaliśmy, że widywałem Go zawsze i wszędzie. Czuję coś, czego nie da się ani opowiedzieć, ani opisać. T o b y ł o f e n o m e n a l n e. To był kolejny dowód na istnienie Boga.

JULIUSZ KYDRYŃSKI, *pisarz*

O świcie nad Rzymem rozszalała się ulewa. Zbudziłem się przerażony, ponieważ na ten właśnie dzień zapowiedziano pierwszą w naszej współczesnej historii audiencję papieską pod gołym niebem – na placu Św. Piotra. Zbudowana przed kilku laty piękna aula Nerviego (zwana później aulą Pawła VI) nie mieściła już cotygodniowego napływu pielgrzymów z całego świata, pragnących zobaczyć i usłyszeć niezwykłego Papieża „z dalekiego kraju”, w dodatku z kraju od dziesięcioleci rządzonego przez komunistów. A tutaj ten deszcz... byłem przekonany, że audiencja zostanie odwołana.

Tymczasem – jak to w Rzymie – ulewa trwała krótko i już po godzinie kwietniowe słońce przywróciło mi nadzieję spotkania się w tym dniu z najbliższym przyjacielem mojej młodości, z Karolem Wojtyłą, zaledwie przed kilkoma miesiącami, 16 października 1978 roku, powołanym na Stolicę Piotrową, papieżem Janem Pawłem II.

*

Nie pamiętam już, o czym rozmawiałem z Papieżem po audiencji, siedząc z Nim przy obiedzie, na który zostałem zaproszony. Nie dziwcie się, zbyt wiele głębokich wrażeń przeżywałem w tym niezapomnianym dniu. Ale pamiętam sytuację zasadniczą, która powtarzała się także podczas moich późniejszych rzymskich wizyt: przy całej emanującej z Niego powadze i godności, Papież był wciąż tym samym, bezpośrednim, serdecznym i drogim przyjacielem, jakim niezmiennie pozostał od czasów, gdy obaj mieliśmy po osiemnaście lat. A także późniejsze lata Jego pontyfikatu potwierdziły to, co bezpośrednio po Jego wyborze powiedziałem w telewizji brytyjskiej, gdy mnie pytano, jakim – moim zdaniem – Wojtyła będzie papieżem. Odpowiedziałem wtedy bez namysłu: *I'm sure, he'll be an unconventional pope* – z pewnością będzie papieżem niekonwencjonalnym.

*

Prostota, bezpośredniość, serdeczność cechowały Go zawsze. Takim był, gdy w roku 1938 zaczynaliśmy na Uniwersytecie Jagiellońskim studiować filologię polską, takim był, gdy już wtedy występowaliśmy na wspólnych wieczorach autorskich, czytając swoje młodzieńcze wiersze, i gdy próbowaliśmy swych sił i możliwości w teatrze. I później, już w latach wojny i okupacji. Hitlerowcy zamknęli uniwersytet, aresztowali profesorów, których wielu zginęło w obozie koncentracyjnym, a my, wówczas ludzie dziewiętnasto- i dwudziestoletni, musieliśmy znaleźć jakąś „oficjalną” pracę, bynajmniej nie pozorną, ale przynajmniej pozornie chroniącą przed ulicznymi łapankami i wywiezieniem na przymusowe roboty do Rzeszy. Zostaliśmy wtedy robotnikami w podkrakowskim kamieniołomie wapienia. Pracowaliśmy pod gołym niebem podczas dwóch najcięższych zim wojennych, rozbijając młotami kamienne bloki i ładując je na podstawione wózki kolejki wąskotorowej, odwożąc je do fabrycznych pieców. Praca była ciężka, a mróz dochodził do -40°C . Po pewnym czasie Karol został pomocnikiem majstra, którego zadaniem było wysadzanie w powietrze skał, żeby oderwały się od nich kamienne bloki. Pisałem o tym żartobliwie w autobiograficznej książce, wydanej wiele lat po wojnie: „... zazdrościliśmy trochę Karolowi tego awansu, który pozwalał mu teraz spędzać większą część dnia w baraczkach i separował go nieco od szarej, kamieniarskiej braci. Ale widocznie Karol stworzony był po to, żeby wyróżniać się z tłumu: nie na darmo w dwadzieścia kilka lat później został... arcybiskupem krakowskim, a w końcu kardynałem. Choć w tamtych dniach nie myślał nawet chyba o tym, że on, przedwojenny polonista, zacznie w końcu na tajnych jeszcze, okupacyjnych kompletach studiować teologię”.

A czy ja, pisząc te słowa przed ćwierćwieczem, mogłem przypuszczać, że mój przyjaciel aż tak bardzo „wyróżni się z tłumu”?

*

W roku 1941, po śmierci swego ojca, Karol został sam na świecie. Wtedy moja matka zaproponowała Mu, żeby zamieszkał razem z nami, tzn. z moją matką, siostrą i bratem, w naszym skromnym krakowskim mieszkaniu. I rzeczywiście, mieszkaliśmy razem przez kilka najcięższych wojennych miesięcy.

Pamiętam, że w tym życiu na co dzień najwięcej zdumiewała mnie u Karola Jego zdolność koncentracji i umiejętność wykorzystywania każdej chwili dnia na pracę, także na pracę nad sobą. Był niezwykle uczynny, starał się zawsze pomóc innym, myślał raczej o innych niż o sobie, ale gdy tylko mógł, czytał lub uczył się. Potrafił godzinami chodzić po pokoju, powtarzając np. słówka francuskie. Ale potrafił też w zimie zrzucić razem ze mną węgiel do piwnicy. Zналиśmy już od dawna Jego prawdziwą, głęboką religijność i pobożność, a przecież nigdy jej nie manifestował, był wyjątkowo – nie tylko zresztą pod tym względem – dyskretny, był także bardzo liberalny. W dyskusjach, jakie prowadzi-liśmy wśród przyjaciół – a wtedy dom nasz był jeszcze domem otwartym, bywało w nim ciągle mnóstwo ludzi – starał się zawsze z uwagą słuchać rozmówcy, nigdy nie narzucał swojego zdania, ze spokojem, a często z uśmiechem i nieskończoną cierpliwością odwoływał się do oczywistych argumentów. A przy tym nie był sensatem, usposobienie miał pogodne, cenił żart i dowcip.

Nie zaniebdywaliśmy wtedy także naszych prac literackich, Karol pisywał poetyckie dramaty, dzisiaj znane już nie tylko w Polsce. Nie przestawał nas fascynować teatr (a trzeba pamiętać, że okupanci zezwalali tylko na działalność frywolnych teatrzyków, które w czasach, gdy tysiące rodaków ginęły w obozach i ulicznych egzekucjach, były przez większość społeczeństwa bojkotowane, teatry poważne natomiast były zamknięte). Stworzyliśmy więc w Krakowie teatr konspiracyjny, dający przedstawienia w mieszkaniach prywatnych dla ograniczonego, wyselekcjonowanego kręgu osób. Wojtyła był jednym z animatorów tej działalności. Występował też w licznych przedstawieniach, wyróżniając się rzeczywistym talentem i głębokim, dźwięcznym, a znanym dziś na całym świecie głosem.

Polskie życie kulturalne w tych czasach mogło się w ogóle rozwijać tylko w konspiracji. W konspiracji działał też Uniwersytet Jagielloński. I kiedy – było to chyba w roku 1943 – Karol zaczął się pojawiać na naszych zebraniach rzadziej, stało się tak dlatego, że postanowił zmienić przedmiot dotychczasowych studiów i zaczął – również w konspiracji – studiować teologię.

*

Dla nas, Jego kolegów i przyjaciół, nie była to decyzja zaskakująca. Wspominałem już o głębokiej religijności Karola, do której należałoby

dodać Jego poważne zainteresowania filozoficzne, a także społeczne. I moje żartobliwe powiedzenie, że „Karol zawsze wyróżniał się z tłumu...”, nie było aż tak bardzo żartobliwe. Karol Wojtyła, będąc jednym z nas, był jednak na tyle od nas inny, że przy całym swym niewymuszonym sposobie bycia, poczuciu humoru i wielkiej koleżeńskości wzbudzał chwilami niemal... oniesmielenie. Stwarzał wokół siebie – w sposób jakby zupełnie naturalny – osobliwą aurę, nie dopuszczającą np. opowiadania w Jego obecności nieprzyzwoitych studenckich dowcipów czy używania nieparlamentarnych wyrażen. Wszystko to jednak nie znaczy, że czuliśmy się przy Nim skrępowani. Odwrotnie: zawsze cieszyliśmy się szczerze, mając Go w swoim gronie.

*

Nie dziwiła nas też szybka Jego – jeśli tak można powiedzieć – kariera duchowna. Byliśmy przekonani o Jego wyjątkowości. Także i w tym powołaniu. Czy mam wyznać, że w dniu, w którym Wojtyła otrzymał sakrę biskupią, moja siostra powiedziała do mnie z głębokim przekonaniem: „Zobaczysz, że On zostanie papieżem”. Wówczas wydawało się to nieprawdopodobne. Dzisiaj – dochodzimy do wniosku, że chyba nie mogło być inaczej. W czasach, które przeżywamy, fakt, że w Rzymie zasiada Człowiek, znający z własnego doświadczenia „chwałę i nędzę” tego świata, Człowiek, który osobiście przeżył – w narodzie wówczas prześladowanym – okropności ostatniej wojny i wieloletnią praktykę komunizmu, już wtedy codziennie ryzykując życie i wolność osobistą, ten fakt posiada znaczenie olbrzymie. Jeśli Jan Paweł II głosi wielką misję pojednania i pokoju między ludźmi, to sam dobrze zna ich wartość i cenę. Jak bardzo nam wszystkim potrzebna, a zarazem jak bardzo niebezpieczna jest ta misja, przekonaliśmy się 13 maja 1981 roku, gdy na placu Św. Piotra popłynęła papieska krew. Możemy tylko pragnąć, żeby ta krew – istotnie cudem uratowanego – Papieża z Krakowa stała się posiewem lepszej przyszłości dzisiejszego udręczonego świata.

Prof. STANISŁAW LORENTZ, *historyk sztuki*

Jako doktorant wyjechałem w grudniu 1922 roku z wycieczką kilkunastu studentów i doktorantów Uniwersytetu Warszawskiego pod przewodnictwem profesora Tadeusza Zielińskiego do Włoch. Poseł polski przy Watykanie Władysław Skrzyński w styczniu 1923 roku towarzyszył nam na audiencji u papieża Piusa XI, zwanego polskim papieżem, bo jako Achilles Ratti był w Warszawie pierwszym nuncjuszem po odzyskaniu niepodległości. Papież powitał nas słowami: „Niech będzie pochwalony”, wypowiedzianymi z włoskim akcentem.

A po pięćdziesięciu kilku latach widziałem w telewizji ze wzruszeniem, jak mój kolega szkolny, kardynał Stefan Wyszyński, przyklęka na placu Św. Piotra w Rzymie przed Papieżem-Polakim, Janem Pawłem II, a ten podnosząc się z fotela serdecznie go ściska.

Działalnością swą otacza Jan Paweł II cały świat, a ze szczególną serdecznością odnosi się do państw, narodów i ludzi znajdujących się w trudnych warunkach, gnębionych i prześladowanych – to nas wzrusza. Walczy o pokój, o przetrwanie ludzkości na ziemi. Jego moralny autorytet ma wielki wpływ na nasze losy.

Przed kilkunastu laty byliśmy z żoną na polskim nabożeństwie w kościele Św. Piotra i Pawła na Antokolu w Wilnie. Przy wyjściu otoczył nas tłum kobiet, które słysząc nasz warszawski akcent błagały o przysłanie książeczek do nabożeństwa, bo po wojnie w Wilnie nie można było ich dostać. Żona wynotowała wiele adresów, ale okazało się, że posłać ich do Wilna nie było wolno.

Jak wielkie to byłoby szczęście dla 100 000 Polaków i 150 000 Litwinów, zamieszkujących dziś Wilno, gdyby przez Ostrą Bramę wjechał do miasta Jan Paweł II. A myślę, że wywarłoby to i wielkie wrażenie na tych 300 000 przybyszów, którzy się dziś w Wilnie znajdują.

Zapatrzeni w wielkie szlaki, którymi kroczy Papież Polak, całym sercem życzymy, by zrealizować mógł swą sprawiedliwą i wzniosłą wizję świata.

ANDRZEJ ŁAPICKI, aktor

A więc pierwsze spotkanie:

Plac Zwycięstwa wypełniony tłumami rodaków, zdziwionych, że to takie łatwe, że wystarczy się wyprostować, podnieść głowę i już widzi się dalej i jaśniej, że możemy być podmiotem, a nie przedmiotem. Wielki krzyż na tle nieba oświetlony zachodzącym słońcem i słowa, Jego słowa, których też w tym mieście, na tym placu, ciągle zmieniającym nazwę, nie słyszano od lat czterdziestu. Jego biała postać, otoczona tłumem, którego nikt jeszcze nie kontroluje ani nie wstrzymuje. Rok 1979.

A dalej. 1983. Dusze obolałe, ale głowy podniesione, choć nie tak łatwo trzymać je prosto. W katedrze z Andrzejem Szczepkowskim i śp. Anną Kamińską składamy dary, klękamy; zanim wypowiem przygotowane słowa, już słyszymy: „Wiem o was wszystko!” Patrzę w Jego oczy, dobre, mądre, czuję ciepło Jego ręki na mojej i w i e m, że wie o nas wszystko. To dotknięcie, to spojrzenie dodają nam sił – i jeszcze na pożegnanie: „Trzymajmy się razem!” – z uśmiechem.

A potem przeżycie największe – Komunia św. z rąk Ojca Świętego.

W ten smutny czas ta pielgrzymka była dla nas źródłem siły i otuchy. Łatwiej było potem znowu wejść w nasze codzienne pochmurne bytowanie.

I wreszcie rok 1987. Razem z całą Radą Prymasowską mam szczęście być na kolacji z Ojcem Świętym. Mam szczęście z Nim rozmawiać. Witając się z Nim mówię Mu kilka zdań o naszej szkole, której jeszcze jestem rektorem, odpowiada mi cytatem z *Wyzwolenia*.

A potem przy stole rozmowa, zwyczajna rozmowa o wielu sprawach – o kardynale Wyszyńskim, o jego pomniku. Zachęcony przez Ks. Prymasa ośmielam się przytoczyć warszawską anegdotę na temat nowego pomnika: „Dlaczego Prymas jest przedstawiony w pozycji siedzącej? Bo siedział”. Odpowiada mi serdeczny, młody śmiech Ojca Świętego.

Nazajutrz już w Lublinie na KUL-u, znów spotkanie, tym razem

akademickie z Ojcem Świętym – proszę Go o błogosławieństwo dla szkół teatralnych. „Błogosławię wszystkich artystów w Polsce” – słyszę w odpowiedzi. I znów to samo przenikające uczucie ciepła i jasności, mądrości i dobroci, które w ułamku sekundy przechodzi na mnie.

I wreszcie dzień, najważniejszy dzień w moim życiu. Mam powitać Ojca Świętego w imieniu twórców w kościele Św. Krzyża.

Odpowiedzialność mnie przygniata. Po powitaniu przez Ks. Prymasa kolej na mnie. Podchodzę do mikrofonu i spotykam serdeczne, ciepłe, ale i bardzo uważne spojrzenie Ojca Świętego. Zaczynam – słowo po słowie, czuję za sobą poparcie tych, którzy mnie słuchają, i widzę przed sobą dobrą, życzliwą, ale bardzo skupioną twarz Ojca Świętego. Kończę wierszem – modlitwą Lieberta. Klękam przed Ojcem Świętym, który mówi: „Dziękuję panu za Lieberta i za całe przemówienie”. Radość mnie ogarnia, czuję, że Liebertem mogę Mu sprawić przyjemność. Wracam na swoje miejsce i w skupieniu słucham pięknych słów Ojca Świętego, z powtarzającym się wieloznacznym cytatem z Norwida.

Jeszcze pożegnanie, jeszcze Ojciec Święty powie mi kilka słów i zobaczę Go nazajutrz na wielkim placu Defilad przed Pałacem Kultury i Nauki im. Józefa Stalina.

Triumf wiary i historycznej sprawiedliwości.

Po Mszy św. niknie mi w oddali Jego sylwetka na czele procesji. Zostanie mi tylko w pamięci i w sercu.

Ale w myślach spotykam się z Nim znacznie częściej. Odwołuję się do Jego nauk, staram się postępować tak, jak On nas uczy. Te duchowe spotkania przywodzą znów na myśl niezapomniane chwile spotkań bezpośrednich – przypominają spojrzenie mądre, wszechogarniające – ciepło rąk, jasność i radość emanujące z tej najdroższej nam Białej Postaci.

Nigdy nie rozmawiałem z Ojcem Świętym, nigdy też nie dane mi było znaleźć się fizycznie blisko Niego. A jednak ośmielię się powiedzieć, być może nieskromnie, że znam tego człowieka. Spotykałem Go i spotykam w myślach, odnajdywałem i odnajduję intelektualnie w lekturze, uczę się od Niego, czuję Jego obecność. Dodaje mi to otuchy i mocy, rozświeśla.

Z rozmów papieskich z André Frossardem nauczyłem się odwagi (powiedziałem nieco za wiele, raczej nauczyłem się podążać tam, gdzie się prawdziwie odkrywa odwagę, nauczyłem się, że jest droga wiary, bez przemierzenia której istnienie rzeczywistej odwagi nie wydaje się możliwe).

Z homilii wygłoszonej w strumieniach deszczu na katowickim lotnisku w 1983 roku nauczyłem się rozumieć miłość społeczną, zrozumiałem głębokość treści niełatwego, acz szczerego społecznego zaangażowania Kościoła po stronie człowieka ciężko pracującego, krzywdzonego i wyzyskiwanego.

Z wielu wypowiedzi Ojca Świętego zacząłem się domyślać – bo jeszcze nie wiedziałem dokładnie – czym dla chrześcijan jest zwycięstwo. Nie pokonaniem przeciwnika, lecz wiarą, miłością, siłą wewnętrzną, ufnym zawierzeniem Bogu.

Wymieniłem trzy spotkania ucznia z Nauczycielem, syna z Ojcem. Tych spotkań było i jest znacznie więcej.

Spotykam Ojca Świętego, widzę Go i wyraźnie słyszę wtedy, gdy jest mi najciężej. Zazdrośnie ukrywam przed innymi chwile takich spotkań. Wiem, że to egoistyczne, wiem też, że zazdrość jest wysoce naganna. Ale sądzę, że jednak chyba nie w tym wypadku. To raczej ochrona intymności owych spotkań. Przecież z Papieżem spotykamy się zbiorowo i indywidualnie. W tej drugiej kategorii każde spotkanie z natury rzeczy będzie inne i inne być musi, każde też będzie niepowtarzalne. Wszyscy mają niezaprzeczone prawo do swoich (a więc i swoistych) spotkań z Janem Pawłem II. Co do mnie, to częstokroć owe spotkania

okazywały się prośbą o radę, były pytaniem. Zastanawiam się, co też On myśli o trapiącej mnie sprawie czy jak by postąpił, będąc na moim miejscu. Odpowiedzią jest uśmiech Ojca Świętego, jego kilkudzaniowe pozdrowienia pielgrzymów polskich. Wtedy właśnie duchowo jestem z Nim, choć nigdy nie postawiłem stopy w Rzymie czy Castel Gandolfo.

Opowiem o kilku spotkaniach moich.

Pierwsze było dziwne i niecodzienne jak okoliczności. Ciężko ranny Papież przebywał w klinice Gemelli. Bardzo cierpiał i bardzo gorąco się modlił. Musiał być samotny jak każdy cierpiący. A przecież wtedy właśnie nie był sam. Modlono się za Niego w całej Polsce i nie tylko w Polsce. W myśli serdecznej ofiarowanej wraz z modlitwą uczono się od Niego pokory, spokoju, cierpliwości, poddania się woli Bożej (tego, co najtrudniejsze w praktycznej realizacji: „Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi”). Starłem się wtedy być z Ojcem Świętym, lecz potrafiłem to uczynić tylko parę razy przez parę chwil. Może jednak i takich krótkich, duchowych spotkań potrzebował? Jak bardzo w tym trudnym czasie prosił o modlitwę...

Następne ciche spotkania z Ojcem Świętym przypadły na pierwsze miesiące stanu wojennego. Były to również spotkania w modlitwie, cierpieniu, refleksji, rozmyślaniu. Czuło się wyraźnie, że On jest z nami i wtedy, gdy popierał i błogosławił to, cośmy robili, i wtedy, gdy przestrzegał i wzywał do pozbywania się uczuć zaciętej wrogości. W najcięższych chwilach – to pamiętam doskonale – widziałem uśmiechniętego Ojca Świętego i zaraz przychodziło uspokojenie. Uśmiech Papieża – emanacja gorącej dobroci, ciepłej mądrości, spokoju, optymizmu, siły ducha, potężnej wiary. Piszę nieudolnie, czym dla mnie jest ten uśmiech, ale tego się wcale nie udaje ująć w słowa. Słowa są nieporadne i ubogie. Trudno powiedzieć, że się człowiek spotyka z papieskim uśmiechem, ale tak wtenczas było, a niekiedy zdarza się i teraz.

Dwa kolejne spotkania odbyły się podczas drugiej i trzeciej pielgrzymki Ojca Świętego do Polski.

Rok 1983. Stoję w gęstym tłumie oczekujących na warszawskiej Trasie Łazienkowskiej. Obok żona i córka, a także wielu nieznanym jakby znajomym, starych i młodych. On już wylądował na okęckim lotnisku. Właśnie przemawia. Z głośników aparatów tranzystorowych dobiega głos Gościa, który przebywał zawsze z nami, choć fizycznie był jakże odległy. „Proszę, żeby szczególnie blisko mnie raczyli być ci,

którzy cierpią. Proszę o to w imię słów Chrystusa: «Byłem chory, a odwiedziliście Mnie, byłem w więzieniu, a przyszliście do Mnie» (Mt 25, 36). Ja sam nie mogę odwiedzić wszystkich chorych, uwięzionych, cierpiących – ale proszę ich, aby duchem byli blisko mnie. Aby wspomagali mnie, jak czynią zawsze.” Coś mocno ściska mnie za gardło, stojąca obok mnie kobieta cicho płacze... Oto człowiek wielkiego ducha, tytanicznej pracy, wielkiej świętości prosi, aby cierpiący rodacy raczyli być blisko Niego, by Mu pomagali, by wspierali Go, utrzymując serdeczną, duchową łączność.

Rok 1987. Zjechałem z Zakopanego do Krakowa mijając góralskie domy bogato udekorowane na przyjazd umiłowanego gościa. Czekam oto w tłumie na Błoniach. Papież się opóźnia, ale wśród tłumu nie widać śladu zniecierpliwienia. Wreszcie jest, nadlatuje. Głowy podnoszą się ku górze, ludzie machają rękami w pozdrowieniu, witając wszystkie helikoptery. Nie jest ważne, w którym leci Papież, gdyż On wszystkie maszyny i ludzi uświęca, gdy są z Nim. Stoję dość daleko od ołtarza, jakieś dobre sto metrów. Widzę tylko białą postać. Nie widzę nawet Jego uśmiechu, ale ten uśmiech tkwi głęboko we mnie. Już się spotkaliśmy. Ojciec Święty mówi do ludzi, do wielkiego tłumu, ale przecież mówi do każdego z nas. Mówi do osób, mówi do każdej osoby. Trwa lekcja, lekcja wiecznie żywa. Jan Paweł naucza, stale naucza, bo jest przede wszystkim Nauczycielem, wiernym Ewangelii Nauczycielem.

Widzę dokładnie w czasie tego spotkania, i dziś też to widzę, że Papież idzie śladami Chrystusa. Widzę bowiem jednocześnie wielkie tłumy idące za Chrystusem, tłumy słuchające Jego nauk. A Nazareńczyk mówi – właśnie! – nie tyle do anonimowej, ludzkiej ciżby, ale do każdej, niepowtarzalnej przecież osoby, żyjącej wtedy na izraelskiej ziemi, i do tej, która przyszła na świat daleko od Ziemi Świętej, i do tej, która żyje dziś, i do tamtej, która żyć będzie, gdy nas zabraknie wśród żywych.

Spotkania z Bogiem, spotkania z Bogiem-Człowiekiem, spotkania z Namiestnikiem Chrystusa głoszą Miłość, Dobro, Ład i Pokój.

Ks. biskup KAZIMIERZ MAJDAŃSKI

Jest 16 października 1988 roku. W Polsce – jeszcze Roku Maryjnego. Na placu Św. Piotra w Rzymie odbyła się właśnie beatyfikacja trzech błogosławionych. Wśród nich o. Honorata Koźmińskiego, kapucyna, znakomitego Polaka i członka wielkiej rodziny franciszkańskiej.

Wśród całej uroczystości Papież Jan Paweł II nie wspomniał ani słowem o przypadającym dziś dziesięcioleciu Jego pontyfikatu. Śpiewano z okazji tej rocznicy *Laudes regiae* przed rozpoczęciem Najświętszej Ofiary. W słowach bardzo godnych charakteryzował dziesięciolecie w swym przemówieniu dziekan Kolegium Kardynalskiego. Ale Papież o rocznicy nie mówił nic. Dopiero pod sam koniec nabożeństwa, zanim zszedł do chorych (zupełnie tak jak po raz pierwszy – w czasie uroczystej inauguracji pontyfikatu), podziękował dziekanowi i kardynałom w sposób prosty, kończąc słowami: *Servi inutiles sumus* – jesteśmy sługami nieużytecznymi (por. Łk 17,10).

Tak się na nowo dziś ukazał – Sługa sług Bożych, powtarzający z upodobaniem słowa z Ewangelii niedzielnej: „bo i Syn Człowieczy nie przyszedł, aby Mu służyło, lecz żeby służyć” (Mk 10,45).

Wieczorem mówił w auli Pawła VI do zgromadzonej rzeszy Polaków o tym, jak to przed dziesięciu laty „otrzymał nowe powołanie: do posługi Piotrowej”. Do posługi!

*

Po latach dziesięciu odnajdujemy dokładniej, na drogach do tego niezwykłego pontyfikatu, zamiary Opatrzności. Wśród nich ten rys, jaki odcisnął się na całym życiu człowieka mówiącego do Matki Jezusowej: *Totus Tuus*. – Być własnością „Służebnicy Pańskiej” to być przez Nią wychowywanym: przez Nią, radującą się z tego, że Bóg „wywyższył pokornych” – *exaltavit humiles* (Łk 1,52).

Pamięć powraca do odległych dni.

Powiedziano o Nim: „Bogaty młodzieniec”. Powiedziano tak, patrząc na Jego młode lata kapłańskie.

Młodzieniec ewangeliczny był podwójnie bogaty: za bogactwo ducha umiłował go Jezus; bogactwa zaś tego świata od Jezusa go oddaliły, więc młodzieniec „odszedł smutny” (por. Mt 19, 22).

Ten bogaty człowiek, o którym mówimy, dawał dowody przez całe życie i daje je obecnie – obecnie, to znaczy, gdy ma prawo założyć potrójną koronę – że był zawsze i pozostał „ubogi w duchu” (por. Mt 5, 3) i że jest błogosławieństwem Kościoła, który ewangelizuje dzisiejszy świat: świat cywilizacji konsumpcyjnej, świat nienasyconego pragnienia, by „mieć”.

Pamięć notuje dalej.

Były pierwsze lata powojenne. Studia w bogatej i ochranionej przed kataklizmem światowym Szwajcarii okazały się bardzo kosztowne w relacji do możliwości ludzi, których wojna nie oszczędziła. Trzeba więc było bardzo oszczędzać, ferie spędzając wśród gościnnych przyjaciół, wakacje letnie najczęściej w Polskim Seminarium Duchownym w Paryżu.

Któregoś wieczoru Ks. Rektor wyszedł z nieoczekiwaną propozycją: „Wstąpiło do nas przejazdem z Rzymu do Belgii dwóch młodych księży krakowskich; byłbym wdzięczny, gdyby się ksiądz nimi zainteresował”. Doszło więc do krótkiego spotkania.

Kto mógł przypuszczać, o jakie to chodzi spotkanie, nawet gdy się okazało, że ci dwaj nazywają się: ks. Karol Wojtyła i ks. Stanisław Starowieyski?

Przeczuć nie było. A jednak pamięć zapisała bardzo wyraźnie nastrój spotkania. W szarym, skromnie oświetlonym pokoiku kleryckim dwóch podróżnych, chyba zmęczonych i jakby nieco zagubionych. Dwóch podróżnych ubogich, w bardzo wtedy ubogim Paryżu i w ubogim Seminarium Polskim, wynajętym od Irlandczyków, przy rue des Irlandais 5. Choć dla podróżnych „było miejsce w gospodzie”, to przecież miało ono w sobie właśnie coś z ubóstwa Betlejem, coś jakby z przygód ucieczki do Egiptu i coś ze słów: „Syn Człowieczy nie ma, gdzie by głowę skłonił” (Mt 8, 20).

Oczywiście, w Rzymie było kolegium belgijskie i obecny cel podróży,

ukazany w Paryżu, był bardzo piękny: zdobyć doświadczenie duszpasterskie w Belgii, korzystając z zaproszenia kolegów–studentów. Ale nastrój spotkania był właśnie taki i taki został w pamięci: pokorna prostota ludzi ubogich, a przy tym ich głęboki spokój.

Potem, w różnych okolicznościach, doświadczenie się potwierdzało. Było tak nie tylko, na przykład w czasie wspólnej turystycznej wyprawy po Kujawach czy też w czasie odwiedzin w kolejnych mieszkaniach – Wikariusza, Profesora a następnie Biskupa – w parafii Św. Floriana i przy ulicy Kanoniczej w Krakowie. Było tak przede wszystkim w całej postawie człowieka, który ukochał prostotę biwaków turystycznych i wypraw kajakowych i prostotę każdego dnia, przeżywanego zwyczajnie i ubogo, przy ogromnej wrażliwości na niedostatek innych ludzi. Styl człowieka, wpatzonego w Mistrza, który mówi: „Syn Człowieczy nie przyszedł, aby Mu służono, lecz żeby służyć” (Mk 10, 45). A zarazem styl człowieka, który nigdy nie chciał „być wielkim”, o czym także mówi niedzielna Ewangelia: „Lecz kto by między wami chciał stać się wielkim, niech będzie waszym sługą” (Mk 10, 43).

Wyposażenie Sługi sług Bożych: „... żeby służyć”.

*

I jeszcze jedno niezwykle wspomnienie.

Wieczorem 16 października 1988 roku aulę Pawła VI wypełniła wielka rzesza Polaków.

To tak jak przed dziesięciu laty, w dniu niezapomnianej inauguracji. Były znowuż, jak wtedy, słowa-perły Papieża z Polski (jakże On bardzo jest z Polski! Po latach widać to jeszcze wyraźniej) i tłoczyły się wspomnienia. Najbardziej zaś wspomnienie wydarzenia, z którego zdjęcie obiegło świat i które nas, świadków bezpośrednich, nappełniło niewypowiedzianym zdumieniem: dwa wielkie Duchy, najwięksi Polacy naszej epoki, poszukali w spontanicznym goście czci i miłości najgłębszego wyrazu pokory, więc posłużyła im posadzka auli, by na niej uklęknąć mogli... Obaj.

To także służba o wymiarach niewymownych.

Prości, ubodzy i pokorni są niezmiernie bogaci i ubogacają:
Exaltavit humiles!

Ks. biskup JÓZEF MICHALIK

Do spotkań miałem szczęście niezwykle. Przynajmniej sam tak uważam.

Raz jeden rozmawiałem z Pawłem VI.

Podbuntowany i kilkakrotnie instruowany przez swoich młodych studentów, świątobliwy a prostolinijny biskup Sasinowski zdołał nas z kolegą Edwardem (też dzisiejszym biskupem) przeprowadzić do czwartej straży watykańskiej. Pozostały jeszcze trzy dalsze. Tu jednak utknęliśmy i na nic nie przydały się nasze tłumaczenia, prośby i obietnice. Nadzieję złożyliśmy w Papieżu i naszym biskupie, który na szczęście nie zawiódł, niczego nie zapomniał, a z powierzonego zadania wywiązał się znakomicie. Zaraz od początku spotkania z Pawłem VI miał jedyną, jak się okazało, prośbę, aby jego księża mogli ucałować pierścień Rybaka i otrzymać Jego błogosławieństwo (właściwie chodziło także o fotografię, co Paweł VI sam zresztą zaproponował – pewnie, aby się nas pozbyć).

Na telefon Papieża sztywni stróże antykamery zamienili się w biegające błyskawice (takie to były czasy!), a nawet zaczęli się do nas uśmiechać, pozostał tylko nieugięty (któż go nie pamięta) mons. del Gallo, który mimo 20-letniej służby w przedpokojach papieskich usiłował nas odwieść, zatrzymać albo choćby skrócić spotkanie z Papieżem. Paweł VI był jednak dużym humanistą i uszczęśliwionego jedynym sukcesem w Watykanie polskiego biskupa tudzież jego protegowanych zaszczycił nawet dłuższą rozmową.

Kardynała Albino Luciani spotkałem także raz jeden, i to w Bazylice Św. Marka w Wenecji, gdzie dzięki moim przyjaciółom z północnych Włoch – okazał się gospodarzem niezwykle ludzkim.

Spotkania z Janem Pawłem II opisać niełatwo, bo tego, co wewnętrzne i najważniejsze, i tak się nie da ująć.

Niełatwo jest zabrać się do wyznań przy takiej okazji jak zaproponowana dzisiaj, bo domaga się dyskretnej szczerości, oczekuje na oryginalną nowość na temat Człowieka, który nie należy do siebie, nie

ma życia prywatnego. Jest znany i „prześwietlany”, podpatrywany i analizowany przez mędrców i poetów, mistyków i mistrzów od reklamy... Człowiek, który buduje Kościół, stojąc na szczycie jego hierarchii. A przy tym to przecież nie o urząd, ale o Niego samego chodzi.

Od początku chciałoby się zadać pytanie Duchowi Świętemu: – kiedy tak naprawdę upatrzył sobie tego następcę Jana Pawła I? W Wadowicach czy Krakowie; ale przecież na owo konklawe kardynał Wojtyła wyjechał z naszego rzymskiego Kolegium Polskiego na Awentynie. Tam się pożegnał z grupką odprowadzających Go ze słusznym niepokojem, jak się potem okazało, o powrót. A przed figurą Niepokalanej, sprowokowany pytaniem, rzucił jeszcze zapewnienie: „Wróć, wróć”. (Słowa jak zawsze dotrzymał, ale dopiero w rocznicę swego wyjazdu!)

W tej wypowiedzi chciałoby się wrócić do pierwszego spotkania z biskupem Karolem Wojtyłą poprzez Jego publikacje, a fascynował swoją trudną (i wymagającą) nauką, a uczył przecież miłości i odpowiedzialności, kazał łączyć osobę i czyn, wykreślał drogi odnowy społecznej, narodowej, soborowej.

Spotkanie z żywym autorem mądrych książek było pełne zdumienia wobec Człowieka, który jest taki, jaki jest...

Pierwszy raz jako studenci Kolegium Polskiego witaliśmy „naszego” Kardynała jesienią 1969 roku na dworcu Termini w Rzymie. Wiadomość o przyjeździe podał ówczesny rektor ks. B. Wyszyński. Kardynał przywitał oczekujących nań i pojechał do zajęć w watykańskich kongregacjach. Wrócił dopiero na kolację i tu zanim usiadł do stołu, przywitał się osobiście z każdym z obecnych, bezbłędnie pomijając z uśmiechem tych, których spotkał rano na dworcu: „Myśmy się już widzieli”. Nie muszę dodawać, że bez słów udzielił nam wtedy swoistej lekcji!

I tak już pozostało – był zawsze wielkim nauczycielem i im mniej chciał uczyć, tym czynił to skuteczniej!

Bywał na wszystkich spotkaniach studenckich, rozpoznawał każdego w kontekstach jego zainteresowań i problemów. Wspierał swą obecnością obrony doktoratów, ale też i wieczory imieninowe każdego ze studentów. Ba, pozwalał się nawet prowokować i sam również wyprawiał swoje imieniny i dawał okazję do spotkań. Dzięki Ks. Kardynałowi przeszło przez Kolegium bardzo wielu ciekawych i ważnych ludzi, bo to od zawsze tak chętnie zapraszał ludzi.

Nazajutrz po wyborze ks. Stanisław Dziwisz – odtąd *segretario particolare di Sua Santità* – postanowił późnym wieczorem przewieźć pozostawione w Kolegium rzeczy. Wybrał roztropnie tę porę, aby uniknąć niepotrzebnych komentarzy. To pierwsze spotkanie rozpoczęło się w prywatnej kaplicy, gdzie nasz Kardynał, przepraszam – Ojciec Święty, układał swoje plany z Panem Bogiem. Potem okazał się niezwykłym gospodarzem, przewodnikiem i rozmówcą.

Spotkania na audiencjach, celebrach, urzędowych, oficjalnych i półprywatnych „incontrach” zawsze były indywidualne, zauważone, jedyne, bo ten Papież ma dar, o którym sam nie wie (na pewno nie wie!) – jest niezwykle pokorny i dla Niego każdy człowiek jest jedyny, niepowtarzalny.

Chyba dzięki temu, że jest On taki autentyczny, chciałoby się powiedzieć – ludzki, ukazuje wielkość człowieczeństwa odkupionego. Na spotkaniach z Janem Pawłem II nigdy nie trzeba martwić się o sprawy zewnętrzne, ale zawsze ważne jest przygotowanie wewnętrzne.

Tych spotkań było wiele, bo Ojciec Święty dawał okazje, a to dzięki pracy w Jego instytucjach, ale także w Jego kaplicy i przy Jego stole, gdzie przebywało wielu niezwykle ciekawych ludzi, szczególnie z Polski, ale i spoza ojczyzny.

W latach mojego pobytu w Rzymie mówiło się, że Papież przez swoją prywatną kaplicę i przez swój refektarz zamierzał przeprowadzić cały katolicki Rzym! Zatem ileż gościnności wykazują również Jego domownicy.

Jedno spotkanie miało dla mnie wymowę szczególną. I mimo że odbywało się z coroczną punktualnością, było wyjątkowe. W dniu 16 października około godziny 17.00 w ciszy i dyskrecji prywatnej kaplicy przeżywaliśmy razem z Ojcem Świętym modlitewne wspomnienie tajemnicy obecności Ducha Świętego w strukturach ziemskich Kościoła...

Zresztą zawsze ilekroć tam szedłem, byłem głodny Jego spojrzenia na świat, na Kościół, na ludzi. Jakże często zrymałem się na współobecnych, którzy chcieli opowiadać i opowiadali, tracąc kolejną okazję do posłuchania rzeczy naprawdę ciekawych. I ciągle myślę, jaka to szkoda, że się tyle wiedzy zmarnuje!

Papież ten to nie tylko nauczyciel wiary, to nauczyciel życia. Sam jednak tak chętnie rezygnuje z mówienia, nie narzuca swego myślenia, nie czyha, by wpaść w przerwy naszych słów – posiada umiejętność słuchania, więcej, ewidentną ciekawość drugiego człowieka.

Sprawdza się rzecz niespotykana: ludzie Go nie męczą – ani wielcy, ani mali. Podejrzewam, że Go nie przerażają ani mocni, ani nieszczerzy czy zafałszowani, bo idzie do nich z prawdą bezinteresowną, idzie, aby bronić ich przed nimi samymi i wydobywać z nich dobro i prawdę, o których zapomnieli.

Ojciec Święty potrafi niezwykle ciekawie opowiadać, z doskonałą sprawnością wydobywa nazwiska i szczegóły dotyczące wydarzeń i miejsc ze swego intensywnego i bogatego życia. Ileż realizmu, humoru i dramatyzmu było we wspomnieniach wyjazdu z jezior mazurskich do Warszawy na spotkanie z prymasem Wyszyńskim, gdzie w pokoju czekali także ks. W. Pluta (biskup gorzowski) i ks. J. Drzazga (biskup sufragan lubelski), a wszyscy mieli otrzymać wiadomość o nominacjach biskupich.

Przy nieustannie pogłębianej znajomości spraw Kościoła i świata ma Ojciec Święty niezwykle szerokie, wieloaspektowe rozeznanie i dar, bardzo rzadki, syntetycznego ujmowania spraw. Jego analizy są mocno zakorzenione w przeszłości, czyli sięgają przyczyn zaistniałych napięć, i dlatego stanowią pasjonującą lekcję na temat Wschodu, Zachodu czy Europy i świata.

Jakże inaczej, spokojniej zaczynało się patrzeć na teologię wyzwolenia, burzące progresizmy czy mrozące życie integryzmy, widząc przyczyny naszych własnych przeoczeń, zaniedbań czy nieumiejętności i potem możliwości znalezienia dróg wyjścia poprzez reformę siebie samych, bo tylko chrześcijańskie bicie się we własne piersi może prowadzić do zmiany i dlatego jest twórcze (reformowanie „tamtego” jest zarezerwowane Jemu samemu).

Ileż mądrości zamknął Jan Paweł II w swoim stosunku do własnego narodu, i to od początków posługi. Autorefleksja, która stawała się wyzwoleniem działania, dystans, który Go jeszcze bardziej jednoczył z ludźmi i sprawami. Poszerzanie szczelin wolności Kościoła przy nominacjach biskupów, spotkania i słowa prawdy – czasami gorzkiej – wobec oficjalnych czynników, a przy tym królewska dyskrecja na zewnątrz, wobec innych. Polska, którą Papież miał i ma do zaoferowania innym, jest najpiękniejsza, żywa i dynamiczna, pociągająca i ufna. Taka dokładnie, jaka jest w sercu każdego Polaka.

To z racji chrześcijańskiej miłości, miłości na wzór Chrystusa wymagającej, a przy tym biorącej na siebie odpowiedzialność za zło i grzech, płynęły pouczenia i modlitwy wspierające solidarność narodu

polskiego w walce „przeciw” i w walce o wartości moralne. To z tego optymizmu wiary płynęły i płyną nauki Jana Pawła II na tematy najmniej popularne, chociażby ukazane w przemówieniu z 26 sierpnia 1990 roku, gdzie Papież po raz kolejny sam jeden staje przeciwko niemoralnemu prawodawstwu, zafałszowanym sloganom tzw. demokracji i domaga się podstawowego prawa dla najsłabszych, głosu dla nie mających głosu – prawa do życia dla poczętych dzieci.

W ciągu kilku dni po tym przemówieniu znowu miałem okazję patrzeć i słuchać Najpokorniejszego człowieka mego życia, którego Pan Bóg postawił najwyżej na ziemi i któremu zawierzył Tajemnicę i tajemnice Kościoła żywego w sercach ludzi w przededniu XXI wieku.

ARTUR MIĘDZYRZECKI, *pisarz, prezes PEN-Clubu*

Od pierwszej chwili objawił się jako papież nadchodzącego stulecia. Od samego początku wskazywał na to już sam styl Jego pontyfikatu. Zapewne, wspomnieć by można dwudziestowieczne antecendencje tego nurtu odnowień. Pisarskie tego świadectwa są czasem nieoczekiwane. U progu naszego wieku poeta szczególnie uwrażliwiony na zachodzące wokół przemiany, Guillaume Apollinaire, pisał w poemacie *Strefa*:

*Religia jedna młoda gdy stare jest wszystko
Młoda i prosta jak hangar na lotnisku*

*Chrześcijaństwo odmładza europejskie kąty
Najmłodszy z wszystkich ludzi jest dziś Pius X*

I tak dalej. Myślę, że dzisiaj – i z tym większym uzasadnieniem – pozwoliłoby się to odnieść do Jana Pawła II. Polski Papież okazał się od pierwszej chwili urzekającą nowością w losach tego półwiecza, któremu wskazać zamierzył możliwość przewyciężenia lęku i odzyskania nadziei. Nawiązując do encyklik swoich wielkich poprzedników, Leona XIII, Jana XXIII i Pawła VI, nie przestawał przypominać, czym jest teraz społeczna służba Kościoła, czym jest chrześcijańska etyka postępowania – i w takiej perspektywie wszelkie narodowe i lokalne problemy wpisywały się w powszechny rejestr problematyki współczesnego świata. Problematyki na miarę tych, którzy cierpią głód chleba – i głód wolności. Na miarę horyzontów, jakie otworzył Sobór Watykański Drugi – i na miarę tego „procesu rozwoju i wyzwolenia konkretyzującego się w praktyce solidarności”, o którym mówił Jan Paweł II w encyklice *Sollicitudo rei socialis* z 30 grudnia 1987 roku.

Dla jednych nieprzyjaciół – nazbyt konserwatywny, dla drugich – nazbyt demokratyczny, w istocie i od samego początku wydawał się papieżem powszechnej ewangelizacji tego półwiecza i jego uosobioną

rozważą i sumieniem. Przeciwwstawiał się wszelkiej urzędującej tyranii i wszystkiemu, co mogłoby się w nią przeobrazić. I mówił o tym *Urbi et Orbi* ten Papież, który – jak sam to określił – „nie mógł dłużej pozostać więźniem Watykanu” i „musiał stać się na nowo Piotrem pielgrzymującym”.

Wiemy, że pobudził dzięki temu transkontynentalne poczucie duchowej współobecności nie znających się dotychczas narodów i plemion. Że posiał w nich „ufność w prawdziwe wyzwolenie”, jak formułuje to ostatnia encyklika, ufność płynącą ze świadomości Boskiej obietnicy i z wiary – pomimo wszystko – w podstawowe wartości kryjące się w człowieku.

Zamach na Jego życie, ta ciężka godzina w dziejach Jego pontyfikatu, osunęła się już w przeszłość. Stowarzyszyła się po latach z owym gestem zmiłowania i wybaczenia, z jakim przybył do więziennej celi tureckiego zamachowca.

Ale ile razy baliśmy się później o Niego, o tego Papieża–pielgrzyma, który nie stronił od najbardziej zapalnych i wzburzonych okolic świata – i pamiętam uczucie ulgi, jakiego doznawaliśmy, kiedy powracał do Rzymu po kolejnej podróży. Mówię: „baliśmy się” i „doznawaliśmy”, bo uczucia takie były w bliskim mi otoczeniu nieomal powszechne. Tym więcej, że znajdowały się w moim otoczeniu osoby, które łączyła z Janem Pawłem II wieloletnia przyjaźń i dla których powołanie Go na Stolicę Apostolską było źródłem szczególnego wzruszenia.

Wszystko, co stanowić może dla mnie osobiste w tej mierze wspomnienie, łączy się z ich krzepiącą współobecnością. Wspierała mnie nawet w dalekim Nowym Jorku, kiedy oczekiwałem na Jego przejazd przez zatłoczoną aleję tej groźnie pięknej metropolii, przed jezdnią zasypaną różnokolorowymi serpentynami, w drodze z katedry: była to bodaj Madison Avenue i jej drapacze chmur z wiwatującymi ludźmi w oknach.

Ale miejsce szczególne zajmuje w moich wspomnieniach Warszawa z dni pierwszej pielgrzymki do kraju. 2 czerwca 1979 roku było to miasto przeobrażone. Skupione w modlitewnej wspólnotcie i roztaczające braterską aurę dni wyjątkowych. Odnajdujące swoją historyczną tożsamość. Miasto, które zrzuciło z serca lęk. Pogodne. Solidarne. Zjednoczone w nadziei. Świadczone sobie wzajemne uprzejmości, zachowywano wzorowy porządek i nawet w najgęstszym tłumie panowała naturalna dyscyplina społeczna, której nikt nikomu nie musiał

narzucac. W ten słoneczny dzień, po pontyfikalnej Mszy św., bez pośpiechu rozchodzono się spod wielkiego krzyża na placu Zwycięstwa, na którym roznosiły się przed godziną te pamiętne słowa Jana Pawła II kończące Jego homilię:

„I wołam ja, syn polskiej ziemi, a zarazem ja: Jan Paweł II papież, wołam z całej głębi tego Tysiąclecia, wołam w przeddzień święta Zesłania, wołam wraz z wami wszystkimi:

Niech zstąpi Duch Twój!

Niech zstąpi Duch Twój!

I odnowi oblicze ziemi.

Tej ziemi.

Amen”.

Można by zrozumieć niegdysiejsze obawy, że uwydatniając polskość Jana Pawła II tracimy niekiedy z oczu uniwersalną doniosłość Jego pontyfikatu. Ale obawy te rozwiął czas i okazało się, że nie ma takiej alternatywy. Najwyższy Zwierzchnik Kościoła powszechnego nie był przecieź, jak ktoś zauważył, papieżem znikąd. „Opuszczam ojczyznę z wyboru, do której zostałem wezwany, by z woli Bożej służyć Kościołowi powszechnemu – mówił przed odlotem z Rzymu do Warszawy – i udaję się do ojczyzny – do mej ziemi rodzinnej.”

Były i są dla nas wszystkich najbardziej krzepiącym wsparciem świadectwa Jego troski o kulturę polską i jej twórców, o ich zawodowe i moralne usytuowanie w życiu kraju. W czerwcu 1981 roku, po zamachu na placu Św. Piotra i w odpowiedzi na depezę polskiego PEN-Clubu, nadszedł list z Watykanu, na ręce sekretarza polskiego centrum PEN, podpisany przez księdza substytutę Martineza.

„Do Stolicy Apostolskiej – głosił list – dotarły słowa, w których zechciał Pan w imieniu własnym i środowiska, które reprezentuje, dać wyraz solidarności z Ojcem Świętym Janem Pawłem II oraz złożyć mu życzenia szybkiego powrotu do zdrowia.

Ojciec Święty wysoko sobie ceni ten szlachetny odruch serca i za moim pośrednictwem pragnie złożyć tym wszystkim, których uczucia Pan wyraził, serdeczne podziękowanie.

Trwając w niezachwianej nadziei i przekonaniu, że mimo wszystko miłość weźmie górę nad nienawiścią, dobro przeważy nad złem, a pokój nad przemocą i człowiek uczyni swoje życie bardziej ludzkim – Ojciec Święty przesyła swe pozdrowienia i błogosławieństwo.”

Kiedy w dwa lata później na placu Św. Piotra zaszczytzeni zostaliś-

my, moja żona i ja, chwilą rozmowy, prosił, by raz jeszcze przekazać Jego pozdrowienie pisarzom polskim. „Kolegom po piórze” – dodał po chwili. Sam znalazł się wśród ludzi kultury i nauki na pamiętnym spotkaniu w warszawskim kościele Św. Krzyża 13 czerwca 1987 roku, podczas swojej trzeciej pielgrzymki do kraju. To, co powiedział wówczas, pozostaje ideą przewodnią polskiego świata kultury. Mówił o konieczności trwania. Mówił z radością o nowej łączności z Kościołem środowisk inteligencji twórczej, „znajdujących w Kościele przestrzeń wolności, której nieraz brakuje gdzie indziej”. Mówił z uznaniem o tym „szczególnym przymierzu, jakie dokonało się u nas w ostatnich latach między twórcami kultury a ludźmi pracy”.

Raz jeszcze i ze szczególną mocą objawiła się wówczas Jego charyzmatyczna obecność, z jej niezwykłą zdolnością duchowego obcowania i niewyobrażalnym zasobem sił i pamięci. Wtedy, 13 czerwca 1987 roku, szedł od wrót kościoła Św. Krzyża ku ołtarzowi witając się kolejno z tymi, których znał, i z tymi, których przedstawiał Mu w drodze duszpasterz środowisk twórczych.

Witany był z osobliwym wzruszeniem, jakie przenika każde z Nim spotkanie. Również to z 13 czerwca, kiedy mówił ludziom kultury: „trzeba, abyście trwali i pomagali trwać innym” – i kończył cytatem z Norwida: „by się zmartwychwstało”.

Ks. biskup WŁADYSŁAW MIZIOŁEK

Spotkań z Janem Pawłem II – i przed Jego wyborem na papieża, i po wyborze – miałem sporo i wiązały się one zasadniczo ze sprawowanymi przeze mnie czynnościami urzędu biskupiego. Trudno jednak byłoby zaszeregować je wszystkie do miana „urzędowych”, bo spotkania urzędowe mają w sobie coś z suchości i surowości prawa i instytucji, podczas gdy spotkania z Ojcem Świętym przeniknięte są elementami humanitarnymi: otwartością, życzliwością, dobrocią, miłością.

Najpierw były to „spotkania” w cudzysłowie, poprzez więź kościelną. Byłem wtedy profesorem, a później rektorem Warszawskiego Seminarium Duchownego; w tym środowisku mówiono nieraz o młodym pracowniku naukowym na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, pochodzącym z Krakowa, bardzo zdolnym, niezmiernie lubianym przez młodzież i lubiącym młodzież. Wiadomo było, że ferie zimowe spędzał na nartach w Zakopanem lub w okolicy, a wakacje letnie – na spływie kajakowym z młodzieżą uniwersytecką poprzez jeziora Suwalszczyzny i Kanał Augustowski. Przez kilka lat jeździłem na wakacje do Puszczy Augustowskiej na plebanię położoną tuż przy kanale. Tamtejszy proboszcz, gorliwy i zapalony kaznodzieja-misjonarz, opowiadał, jak to młodzież nie ma dziś poczucia świętości i w nieodpowiednim ubiorze chce wprost z kajaków wchodzić do kościoła. Wyznał, że kiedyś zgromił grupę studentów z KUL-u, która w strojach kąpielowych chciała obejrzeć świątynię. Nie wpuścił ich do kościoła i dopiero po rozbiciu namiotów i przywdzianiu odpowiedniego stroju młodzież nawiedziła ze swoim duszpasterzem wiejski kościółek. Miała to być grupa ks. prof. Karola Wojtyły. Mówiono również, że Ks. Profesor podczas jednego ze spływów z młodzieżą został wezwany do stawienia się u Ks. Prymasa i tam dowiedział się o swojej nominacji biskupiej.

Właściwe spotkania z kardynałem Karolem Wojtyłą rozpoczęły się od chwili mojej konsekracji biskupiej. Spotykałem się z Kardynałem na różnych sesjach i konferencjach Episkopatu. Uderzała mnie Jego pokora i poddanie się autorytetowi kardynała Stefana Wyszyńskiego, jak również wielka pogoda ducha i otwartość. Właściwie Kardynał z Krakowa żył w cieniu Kardynała Prymasa. Nie narzucał się ze swoim zdaniem; wypowiadał się wtedy, gdy trzeba było zabrać głos lub gdy Go o wypowiedź poproszono; mówił rzeczowo, przekonująco, z poszanowaniem zdania każdego dyskutanta czy przedmówcy. Wszyscy biskupi zdawali sobie sprawę z wielkości Kardynała, uważnie wysłuchiwali Jego głosu.

Przez dwie kadencje (10 lat) byłem przewodniczącym Komisji ds. Ekumenizmu. Gdy miałem jakąś poważniejszą sprawę ekumeniczną do przedstawienia Konferencji Episkopatu w celu uzyskania aprobaty lub przeprowadzenia odpowiedniej uchwały, udawałem się najpierw do kardynała Wojtyły, omawiałem z Nim problem i prosiłem o poparcie podczas dyskusji na plenum Konferencji. Kardynał nigdy nie odmawiał, gdy był przekonany o słuszności czy potrzebie sprawy. Pamiętam, że podczas pobytu w Polsce kaznodziei baptystycznego Billy'ego Grahama baptyści zwrócili się z prośbą o udzielenie mu świątyń katolickich do przemawiania. Kardynał Wojtyła zgłosił pierwszą gotowość udostępnienia jednego z kościołów krakowskich do ewangelicznej misji Billy'ego Grahama.

Jeszcze bliższa współpraca została nawiązana z kardynałem Wojtyłą w ramach Komisji Episkopatu ds. Duszpasterstwa Ogólnego, do której obydwaj należeliśmy. Po śmierci przewodniczącego Komisji, kardynała Bolesława Kominka, zostałem wybrany do kierowania Komisją. Kardynał Wojtyła nie tylko brał udział w zebraniach Komisji, udzielał często swej rezydencji na obrady, ale zawsze chętnie podejmował się napisania i wygłoszenia referatu, o który został poproszony. Godnym odnotowania jest szczegół, że Kardynał siedział zwykle na posiedzeniach Komisji, zwłaszcza gdy odbywały się w Krakowie, przy osobnym stoliku i przez cały czas obrad coś pisał lub przeglądał. Jednakże gdy chodziło o zabranie głosu czy podsumowanie dyskusji, wykazywał doskonałą orientację w przebiegu dyskusji i w omawianym zagadnieniu.

Nadchodził czas wielkich zmian w życiu kardynała Wojtyły. Nie spodziewana śmierć Jana Pawła I poruszyła wszystkich. Zastanawiano

się, kto może zostać papieżem po poprzednim krótkim, miesięcznym pontyfikacie. Któregoś wrześniowego wieczoru, po uroczystości bierzmowania w jednej z parafii podstołecznych, podczas kolacji księży spytali mnie, czy możliwy jest wybór na papieża kardynała Polaka, np. prymasa Stefana Wyszyńskiego. Odpowiedziałem wtedy, że „raczej zostanie wybrany tradycyjnie kardynał pochodzenia włoskiego, ale gdyby konklawe zdecydowało się wybrać nie-Włocha, wtedy szanse miałby kardynał Wojtyła”. Przypomniano mi tę rozmowę po konklawe w październiku 1978 roku jako moją „przepowiednię”.

Wyjazd kardynała Karola Wojtyły na konklawe nastąpił już po wyjeździe Kardynała Prymasa. Przypadkiem znalazłem się tego dnia na dworcu lotniczym w Warszawie, aby z polecenia Ks. Prymasa powitać któregoś z zagranicznych dostojników kościelnych, przyjeżdżających do Polski. W salonie recepcyjnym dworca lotniczego spotkałem kardynała Karola Wojtyłę; był sam, ks. kapelan załatwiał formalności paszportowe. Żegnając się z Ks. Kardynałem, instynktownie życzyłem mu wyboru na papieża. Ks. Kardynał uśmiechnął się, powiedział coś w tym sensie, że jest to niemożliwe. A jednak okazało się nie tylko możliwe, ale rzeczywiste.

Następne spotkania odbywały się już z Janem Pawłem II, biskupem Rzymu i Najwyższym Pasterzem Kościoła. Miałem zaszczyt uczestniczenia kilkakrotnie w spotkaniach w Rzymie z Ojcem Świętym na audiencjach ogólnych, gdzie dla biskupów zarezerwowane jest miejsce blisko Papieża; podczas grupowych spotkań z biskupami polskimi oraz osobiście, gdy wyjeżdżałem sam w jakichś sprawach do Rzymu. Ojciec Święty jest na tych spotkaniach bardzo bezpośredni, kieruje zwykle rozmowę na tematy ogólnokrajowe lub Kościoła w Polsce oraz na aktualne sprawy Kościoła powszechnego. Czas spotkania jest zwykle ograniczony dalszym programem dnia Papieża. Przy pożegnaniu wręcza zazwyczaj Ojciec Święty swoim gościom małe upominki w postaci różańca czy pamiątkowego medalu.

Wspomnieć jeszcze należy o spotkaniach z Janem Pawłem II podczas Jego pielgrzymek w kraju ojczystym. Za każdym pobytom Papież miał osobne spotkanie z biskupami, przemawiając na temat aktualnych zadań Kościoła na tle sytuacji kraju. Przemówienia były dopasowane do przewodniej myśli wszystkich homilii i całości wypowiedzi Papieża podczas pielgrzymki.

Na spotkaniu z biskupami w czasie trzeciej pielgrzymki (1987) Jan Paweł II poprosił o przedstawienie mu biskupów mianowanych po opuszczeniu przezeń kraju. Krótka prezentacja wystarczyła, by Papież zapamiętał sobie nazwisko, sylwetkę i diecezję każdego biskupa. Fenomenalna pamięć Ojca Świętego!!!

Właściwie przy opisie każdego spotkania z Janem Pawłem II należałoby postawić wykrzyknik, jako wyraz zachwyty połączonego ze zdumieniem.

WOJCIECH MŁYNARSKI, *piosenkarz, poeta*

Była warszawska wiosna siedemdziesiąt dziewięć
i zielenią majową miasto się okryło,
nuciły zmierzchem gwiazdy na wiosennym niebie,
lecz ciężkich ludzkich myśli to nie odmieniło,
bo ta wiosna prześliczna i tak pewna siebie
była w bzach, w gwiazd obrotach, w ludziach jej nie było.
Śliczna wiosna o ślicznych zakochanych marzy,
a ludzie byli brzydcy, zmęczeni i szarzy.

Kolega muzyk mieszkał na placu Zamkowym.
Gdy od niego do siebie do domu wracałem,
z placu Teatralnego skręcałem w Wierzbową
i nieraz przy Żołnierza Grobie przystawałem,
lecz gdym patrzył na gmachy, na pomników głowy,
dlaczego są tak smutne? – sam siebie pytałem
i często przed zaśnięciem głowę dłońmi wsparłem
wspominając te place o zmierzchu wymarłe.

Przypominałem sobie, jak minionej zimy
przez te place przestronne w noc grudniową, ciemną,
szedłem z kumplem Polakiem, ale z Argentyny,
on był malarz i nerwus i rozmawiał ze mną,
powtarzając: Patrz, bracie, to miasto jest sine!
Lecz chęć, by je malować, jest chęcią daremną!
Ja potrzebuję słońca, jasności i ciepła,
krew w żyłach tego miasta jest sina i skrzepła.

Jam się z nim kłócił, rację mu przyznając w duchu,
lecz gdybyś chciał sinością biel płótna pomazać,
mógłbym ci, mój ty polsko-argentyński druhu,
bardzo inspirujące modele pokazać:
siną twarz współrodaka, spitą berbeluchą,
siny mundur zomowca, siną z furii władzę
i siną przyzmę śniegu, i chmurę na niebie,
i siną dłoń żebraka, co w śmietniku grzebie.

Opisy ludzi świetnie szły mi na papierze,
tych różnych Waldków, Zdzisiów z Gdyni czy Krakowa,
lecz gdyby spytał kto, czy w ich wspólny zryw wierzę,
to by się odpowiedzią mocno rozczarował.
Tak, tak, piosenek moich cwany bohaterze,
powtarzający chytrze – do kogo ta mowa?
Spisywałem twe gadki, śmieszności, przestrogi,
lecz kiedym cię spotykał – schodziłem ci z drogi.

Myślałem, czemu taka szarość mnie ogarnia,
czemu miła, życzliwa twarz tak rzadko mignie,
czemu kraj w długach, zdrowy rozsądek w męczarniach,
a rzeczywistość w jakiejś upiornej malignie
i śpiewa dziarskim chórem lokajska małpiarnia –
i to się już nie zmienia, nie ruszy, nie dźwignie?!
Poczytałem, to wyznać tutaj się ośmielę,
gardzić dokoła ludźmi ze sobą na czele.

Wiem, bardzo to upraszczam, o wiele za bardzo,
lecz chcę wspomnieć kraj, w którym świt ze wstydu błady
witał tych, co się boją, sami sobą gardząc,
chcę wspomnieć atmosferę końca tej dekady,
chcę wspomnieć serca, które gdy się zbyt zatwardzą,
zmiękczyć je, uanielić już nikt nie da rady
i nikt by się takiego nie śmiał podjąć trudu,
a ten kraj właśnie wtedy dojrzewał do cudu.

Maj mijał. Myśmy żyli, w gazetach czytając
drobnym druczkiem i wcale nie na pierwszej stronie,
że pierwszy raz ma przybyć do swojego kraju
polski Papież i miasto w pielgrzymkach utonie,
i dla połowy chętnych miejsc w mieście nie mają
– pisano – i o innych problemów milionie,
i im bardziej się chwila przybliżała owa,
tym bardziej się błaziła gazet nowomowa.

Wigilią tej wizyty przez znajome place
wczesnym zmierzchem czerwcowym szedłem razem z żoną.
Przez chwilę mi się zdało, że świadomość tracę,
ponury plac Zwycięstwa radością zapłonął,
stawiano krzyż i ołtarz, wrzały liczne prace
i był tłum warszawiaków, jakże odmieniony!
Ludzie stali łagodni, pogodni, odświętni,
do gadania nieśpieszni, do pomocy chętni.

I nie był to jedynie tłum gapiów ciekawy,
któremu czas przez palce głupawo przecieka,
bez uprzedzeń, bez złości, goryczy, obawy
człowiek witał swe miasto i miasto człowieka,
jak w wielkim trolejbusie z pieśni Okudźawy,
gdy ból od ludzkich skroni jak szpaczek ucieka.
Ujrzałem innych ludzi, odmienione miasto,
chwilę przed tą wizytą, na pięć przed dwunastą.

Z głową w dłoniach zrobiłem rachunek sumienia
i wzrokiem odmienionym dokoła spojrzałem,
jeszcze półrozumiejąc, co mnie tak odmienia,
napotykanym ludzi za ręce ścisakałem
raz po raz powtarzając: to cud, bez wątpienia,
i nagle zobaczyłem mirt i wstążkę białą,
którą Matka wiązała na grubej gromnicy,
gdym do Pierwszej Komunii szedł we wsi Pęcice.

I splotły się dwie chwile: ta chwila dziecinna,
gdym był tak blisko Boga i tak blisko ludzi,
i ta chwila dorosła, jakże od niej inna,
gdy się w sercu stwardniałym późna wiosna budzi
i gdy się w ludzkich głowach myśl wspólna poczyna,
że ten, kto chce nas złamać, daremnie się trzyma.
Janie Pawle! Nie było Cię tam jeszcze ciałem,
lecz wtedy na tym placu wiem, że Cię spotkałem.

CEZARY MORAWSKI, aktor

Koniec lat sześćdziesiątych. Pierwsza podróż z rodzicami do Włoch. I rozczarowanie. Pawła VI nie widziałem. Był na urlopie. Wtedy to właśnie uświadomiłem sobie, że Papież to człowiek, że musi odpocząć.

W trakcie pierwszej pielgrzymki do Polski Janowi Pawłowi II odpocząć nie daliśmy. Spełniła się nadzieja, o której mówiła Zofia Mrozowska.

Nagrywaliśmy muzykę i pieśni do *Dziadów* w Teatrze Współczesnym. W trakcie nagrania ktoś otworzył drzwi i krzyknął: „Polak papieżem!” Zosia szczęśliwa wyszeptwała: „Boże, może coś się zmieni. Nareszcie jakaś szansa”. Byliśmy przekonani, że to kardynał Wyszyński. Po kilku godzinach oficjalny komunikat: Karol Wojtyła.

Moje spotkania. To każda chwila, kiedy o Nim myślę. Kiedy moja żona puszcza kasetę z muzyką do filmu *Z dalekiego kraju*, kiedy o filmie opowiadam, kiedy przeglądam albumy, wspominam wizytę w Watykanie, kiedy pokazuję zdjęcia z Janem Pawłem II i kiedy mnie pytają, czy ta dziewczyna między nami to tłumaczka, kiedy... kiedy...

Ale – przypomniiał mi się fragment z *Imienia Róży* Umberto Eco – „może byłoby rzeczą słuszną, bym dla lepszego przedstawienia wydarzeń, w które zostałem wciągnięty, przypomniiał bieg spraw w ciągu tego skrawka wieku, tak jak pojmowałem je wówczas, przeżywając, i tak jak przypominam sobie teraz, wzbogacony”.

Na uroczystości inauguracji pontyfikatu nie mogłem pojechać. Dziewczyna przywiozła mi zegarek i obrazek z nowym Papieżem. Obrazek-talizman. Jest mocno sfatygowany, lecz towarzyszy mi zawsze i wszędzie.

W Sierpniu byłem na zdjęciach w Gdańsku. Pamiętam moje zaskoczenie i radość, gdy na bramie zobaczyłem portret „Papieża Słowiańskiego”. Patrzyłem z nadzieją i nieświadomioną wiarą na ten wizerunek, który stał się symbolem walki człowieka o własną godność i godność swojej pracy. Patrzyłem i przypominałem sobie słowa Zosi.

I że Zanussi wspominał, że przygotowuje się do filmu o Karolu Wojtyłe. O Papieżu, którego świadomość, filozofia i postawa kształtowały się w tym kraju.

Film *Z dalekiego kraju*. To spotkanie trwało kilka miesięcy. To „spotkanie” trwa do dzisiaj.

W listopadzie 1980 w krypcie katedry na Wzgórzu Wawelskim kręciliśmy scenę odprawiania Mszy prymicyjnej przez Karola Wojtyłę. Tego dnia w katedrze był tłum ludzi, bo to rocznica odzyskania niepodległości i zarejestrowanie „Solidarności”. Asystenci reżysera obawiali się, czy zdołamy się przecisnąć z zakrystii, gdzie była garderoba, do zejścia w podziemia. Kraków wiedział, co robi ekipa na wzgórzu. Ludzie sami się rozstępowali. Przez chwilę poczułem się... To było wymarzone „wejście” w postać.

Cztery miesiące później zdjęcia w Watykanie. Charakteryzacja trwała kilka godzin. Wprawiała w zakłopotanie watykańskie służby porządkowe. Pamiętam „bieg z przeszkodami” w ogrodach watykańskich za piuską, którą wiatr zwał mi z głowy. Strażnik był szybszy. Ale do końca miał wątpliwości, czy aby naprawdę ścigał się z aktorem. Przyznam, że dziwnie czułem się w „skórze” tego, który był tak niedaleko. Ta świadomość chwilami paraliżowała, chwilami dodawała odwagi.

Charakteryzacja sprawiła, że powtarzając kilkakrotnie krótkie ujęcie wjazdu młodego biskupa Wojtyły przez bramę watykańską, ściągnęliśmy na siebie uwagę turystów. Po chwili kilkadziesiąt osób z entuzjazmem machało w kierunku samochodu. No cóż! „Pobłogosławiłem.” Mam nadzieję, że Papa wybaczy mi tę nadgorliwość.

Nigdy nie przypuszczałem, że będę mógł ucałować papieski pierścień. Tak naprawdę ucałowałem Jana Pawła II w rękę. Pamiętam atmosferę oczekiwania i nagłe pojawienie się w sali Ojca Świętego. Bez fanfar, bez orszaku. Z uśmiechem na twarzy, coś zażartował i z każdym zamienił kilka słów. Fotograf cały czas robił zdjęcia, ksiądz Adam Boniecki nagrywał rozmowę, której i tak nie umiem powtórzyć. Pamiętam ripostę Papieża: „Duplikat lepszy od oryginału” – na zapewnienia producenta, iż naprawdę jestem podobny. Wtedy odważyłem się poprosić o autograf na kserokopii wierszy Karola Wojtyły, bo książki nie miałem. Błogosławieństwo udzielone nam i naszym rodzinom. Wspólne zdjęcie. Otworzyłem zaciśniętą dłoń, w której trzymałem coś, co wręczył mi Papież, kiedy

całowałem Go w rękę. Różaniec. Jan Paweł II zniknął w labiryncie korytarzy.

Przed tym niezwykłym spotkaniem, kiedy wbrew protokołowi mogłem stanąć na balkonie, na którym ukazał się i z którego przemówił po raz pierwszy Jan Paweł II, były wcześniejsze... Spotkania z ludźmi, którzy pozostają z Papieżem w przyjaźni. Poprzez opowiadania, żarty, anegdoty. Godziny spędzone ze stosem zdjęć, z taśmami magneto-fonowymi. Studiowanie Jego gestu, intonacji, frazy, pauzy. I ta męka odpowiedzialności, że ci, co będą poznawać Jana Pawła II w kinie, będą Go poznawać przeze mnie.

„Boże, zachowaj nam Jana Pawła II! Niech żywi nie tracą nadziei! Wyrazy smutku i współczucia z powodu zamachu na życie Papieża – dla Pana, który jesteś odtwórcą...” List napisany z głębokiej potrzeby podzielenia się swoim bólem i bezsiłą. Protest przeciw ludziom, którzy otumanieni doktrynami nie chcą dostrzec prawa Człowieka do Życia. Po otrzymaniu tego listu dojmująco poczułem ciężar odpowiedzialności aktora za postać, za rolę, za jej wymowę.

Po Grudniu – koncerty domowe i kościelne. *Pośród niesnasków...*, *Bogarodzico Dziewico...* Chociaż na chwilę nasze myśli wędrowały do miejsc, gdzie wisały portrety Ojca Nadziei, gdzie leżały ukradkiem rzucone kwiaty, paliły się lampki. Myśli, które za Kordianem frunęły na chmurze poezji do Wiecznego Miasta.

Wierzyłem, że znów spotkam Jana Pawła II... Oczekując przylotu Papieża z drugą pielgrzymką do ojczyzny z murów Klasztoru Jasnogórskiego czytaliśmy wiersze. Helikopter z oczekiwanym Gościem nadleciał właśnie wtedy, kiedy ja czytałem. Nie pamiętam co, to i tak nieważne, bo szmer i oklaski zagłuszyły wiersz. Przypadek ten sprawił mi ogromną radość. Majka Komorowska powiedziała: „Akurat kiedy ty! To wspaniale!”

Potem trzecia pielgrzymka... Oklaski powitały Jana Pawła II w kościele Św. Krzyża. Biała postać na złotym tle. Po spotkaniu przejście Papieża przez kościół. Transparenty, okrzyki, płacz, śmiech. W miejscu, gdzie stałem, Papież pozdrowiał kolegów z przeciwnej strony. Przecisnąłem się bliżej wyjścia. Po latach znów udało mi się uścisnąć dłoń „mojego” Papieża. W ostatniej chwili, tuż przed wyjściem z kościoła.

Moje spotkania... Może wielu przeżywa swoje spotkania intensywniej i głębiej. Ludzie bardziej zagubieni, dla których Jan Paweł II jest

jedynym autorytetem, siłą, nadzieją w tym dziwnym świecie, w tym kraju dalekim od sensu życia.

Na spotkaniach z publicznością pytano mnie często, czy zmieniłem się przygotowując się do tej roli. Tak, zmieniłem się. My wszyscy się zmieniliśmy. Bo w ciągu tego skrawka wieku zmienił się Świat!

W 1987 roku w Teatrze na Tagance graliśmy *Mistrza i Małgorzatę* Bułhakowa. Po drugim spektaklu w trakcie ukłonów przez oklaski przebił się okrzyk: „Niech żyje Papa!”

EGON NAGANOWSKI, *pisarz*

Nie było mi dane poznać Jana Pawła II osobiście (jeżeli nie liczyć zobaczenia Go z daleka w Poznaniu w 1983 roku oraz podczas transmisji telewizyjnych), natomiast duchowo mam z Nim żywy kontakt od Jego wyboru na papieża, a zwłaszcza – co tu ukrywać – od wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. Wtedy to, od owej grudniowej niedzieli, która jest jedną z najsmutniejszych dat naszej powojennej historii, bo gwałtownie przerwała szesnaście miesięcy względnej wolności i olbrzymich nadziei, Jan Paweł stał się ich głównym, a nie dającym się zasypać źródłem oraz ich gwarantem na przyszłość. I to szczególnie bliskim ludziom kultury i sztuki, co zresztą nie dziwi – wszak to poeta i były człowiek teatru.

„Jestem synem narodu – powiedział Jan Paweł II w 1980 roku w UNESCO (i powtórzył trzy lata później w auli Collegium Maius UJ w Krakowie) – który przetrwał najstraszliwsze doświadczenia dziejów, który wielokrotnie sąsiedzi skazywali na śmierć, a on pozostał przy życiu i pozostał sobą. Zachował własną tożsamość i zachował pośród rozbiorów i okupacji własną suwerenność jako naród – nie w oparciu o jakiegokolwiek inne środki fizycznej potęgi, ale tylko w oparciu o własną kulturę, która okazała się w tym wypadku większą od tamtych potęg.” I jeszcze: „Istnieje podstawowa suwerenność społeczeństwa, która wyraża się w kulturze narodu. Jest to zarazem suwerenność, przez którą równocześnie najbardziej suwerenny jest człowiek”.

Nie trzeba podkreślać, co te i inne słowa Jana Pawła II znaczyły dla nas w latach po „autoinwazji”, jak ktoś nazwał działania grudniowe, wówczas, kiedy siłą przypominały się „najstraszliwsze doświadczenia dziejów”, a „podstawowa suwerenność społeczeństwa” rzeczywiście mogła wyrażać się jedynie w „kulturze narodu” (to też cytat z przemówienia w UNESCO). Przede wszystkim dzięki Ojcu Świętemu zyskała ona oparcie w Kościele, gdzie pisarze i w ogóle artyści znajdowali i znajdują „przestrzeń wolności”, jak się Jan Paweł II wyraził w 1987 roku na spotkaniu ze światem kultury i sztuki w Warszawie. Owa „przestrzeń wolności”, z której sam wielokrotnie korzystałem podczas

Tygodni Kultury Chrześcijańskiej w różnych miastach, zawsze krzepiła i krzepi nadzieją. Zwłaszcza jeżeli się doda, że głównie dzięki niej urzeczywistniało się i urzeczywistnia szczególne „przymierze, jakie dokonało się u nas w ostatnich latach między twórcami kultury a ludźmi pracy”. I to stwierdzenie o przymierzu, wypowiedziane na wspomnianym warszawskim spotkaniu, potwierdziło się jeszcze raz w praktyce w czasie strajków, rozpoczętych w połowie sierpnia 1988 roku.

Przymierze „między twórcami kultury a ludźmi pracy” w Polsce, zwłaszcza robotnikami, ich wypróbowana już solidarność, jest nie tylko wielkim osiągnięciem społecznym i kulturalnym, swoistym fenomenem nie mającym sobie równego w innych krajach, lecz także gwarantem lepszej przyszłości ucieleśnionej dla nas w charyzmatycznej osobowości Papieża-Polaka, będącej nieustającym symbolem nadziei i symbolem prawdy. Miłość prawdy zaś każe ją nie tylko głosić, jak to wciąż robi Jan Paweł II, w sensie metafizycznym i społeczno-moralnym, lecz każe także zrywać z milczeniem, kiedy na naszych oczach kłamstwo ubiera się w jej szaty. *Qui tacet, consentire videtur* – mawiał już 700 lat temu papież Bonifacy VIII, a obecny Papież, jak to swego czasu ujął Andrzej Wielowieyski w *Królowej Aniolów*, wręcz „zobowiązał Episkopat do zaspokojenia tak bardzo rozbudzonej w społeczeństwie potrzeby słyszenia prawdy”. A droga od prawdy wiedzie do nadziei poprzez głoszoną przez Jana Pawła II „konieczność obrony człowieka – jako jednostki i jako zbiorowości”, konieczność „ocalenia go od ucisków, jakie niewolą go i poniżają”, kiedy pada „ofiara niektórych systemów politycznych lub ideologicznych, które zniewalają duszę narodów”.

Te słowa wygłoszone w Rzymie w styczniu 1983 roku do członków Papieskiej Rady do spraw Kultury musieliśmy, zwłaszcza wówczas, odczuć jako skierowane bezpośrednio do nas. Ktoś stawał w naszej obronie, ktoś budził w nas nadzieję, ktoś, kto był i jest jej symbolem – Jan Paweł II. Dopiero kiedyś, w przyszłych czasach, historyk oceni w całej rozciągłości olbrzymią rolę duchową, moralną, społeczną, jaką Papież-Polak odegrał na jednym z zakrętów naszej historii, w której niebezpieczne wiry nieestety nie należą do rzadkości. Właściwie od blisko pół wieku nie możemy wyjść z nieustannych wiry na prostą i jeżeli jako naród dotychczas mimo to nie ulegliśmy ostatecznej katastrofie, mając wciąż nadzieję, że z fatalnego zakrętu jednak w końcu wyjdziemy, to Kościół przez cały ten czas, a zwłaszcza Jan Paweł II od dziesięciu lat, ma w tym swój decydujący udział: *Ad maiorem Dei, Patriae, Veritatis et Libertatis gloriam!*

Ks. prof. **JANUSZ ST. PASIERB**, *historyk sztuki*

Jedes wirkliche Leben ist Begegnung... Moje najbardziej osobiste spotkania z Janem Pawłem II miały miejsce w tłumie. Także dzięki telewizji. Uczucie bliskości miewałem też przy lekturze niektórych Jego tekstów, np. encykliki o Bożym miłosierdziu. Wiem, że ludzie zabiegają o audiencje prywatne i gotowi są na największe poświęcenia, by móc dotknąć Jego ręki. Dlaczego najbardziej znaczące, naprawdę niezapomniane spotkania z Nim pozostają w mojej pamięci jako przeżycia zbiorowe? Jako spotkania Kościoła z Papieżem? Byłabym aż tak k o ś c i e l n y , e k l e z j a l n y , jakby powiedzieli koledzy z wydziału teologicznego?

Lubię wtedy Papieża słuchającego czujnie, zawsze bokiem, uważnie. Pamiętam Papieża mówiącego. Powtarzam sobie wtedy: jest tak, jak powinno być, trwa to samo Słowo, rozpoznaję ten głos, który przez wieki był przekazem i świadectwem. Przeżywam fakt, że cały Kościół słucha i mówi.

Na początku cieszyło mnie, że papież jest Polakiem, bo wybór przypadł na czas naszego wielkiego upokorzenia. Było w tym coś tajemniczego, bo wtedy, kiedy Polska była mocarstwem, zajmującym po Rosji drugie miejsce w Europie pod względem wielkości obszaru i szóste pod względem zaludnienia, nie wybrano na papieża ani Tarły, ani Hozjusza, choć ten ostatni był znany w całym Kościele jako jeden z architektów Tridentinum. Spotkanie, spotkania z Papieżem-Polakiem. Niezapomniana pierwsza pielgrzymka: o niej jednej pisałem, żadna inna nie odcisnęła się z taką siłą i to nie tylko na zasadzie *first imprint*. Msza na placu Zwycięstwa. We mszy naszych dziejów to była chwila podniesienia. Zostaliśmy podniesieni nie tylko z ponizenia, ale i z mimikry, z przyplaszczenia. Została nam przywrócona godność. Papież wkładał ją na nas jak święteczną szatę. Wszystko to stało się za sprawą prawdy: po raz pierwszy od trzydziestu lat, pod gołym niebem, publicznie, w sercu stolicy ktoś mówił głośno o tym, co z nami zrobiono,

co się z nami stało. I z osobnych sprzeciwów zrodził się sprzeciw narodowy. Piszę o tym jednak jako o spotkaniu osobistym, bo było to przeżycie osobiste.

Niezmiernie silnie przeżywałem – na ekranie telewizora oglądaną – inaugurację pontyfikatu. I znowu było to osobiście-zbiorowe. Tylko, że tu polskość odgrywała rolę znikomą: cieszyło mnie, że Karol Wojtyła jest już tak bardzo Janem Pawłem II, że jest Papieżem całego Kościoła, w imieniu którego zwraca się do ludzkości, żeby przestała się bać, żeby otworzyła drzwi Chrystusowi. W tym okresie bardziej mnie wzruszała i zachwycała rosnąca rzymskość, uniwersalizm tego zaczynającego się pontyfikatu. Gdy rzymscy przyjaciele mówili o Papa Polacco, ja odpowiadałem: „wasz biskup”. Pewnie jestem niedobrym patriotą, bo bardziej cieszyłem się, gdy Papież był entuzjastycznie przyjmowany w Ameryce, niż gdy wzrastała w Watykanie statystyka pielgrzymich parzenic i pawich piór. Najbardziej przejmującym przeżyciem było dla mnie uczestnictwo we Mszy Papieża w Turynie, w tym zimnym i smutnym mieście, stolicy samochodu i terroryzmu, dokąd Jan Paweł II zawiózł przed laty dobrą nowinę o Zmartwychwstaniu Chrystusa. Przeplakałem całą tę homilię (w starych mszałach była osobna modlitwa o uproszenie daru łez) ze skruczy i z radości. Bo w czasie spotkań Papież podnosi serca tak, jak od początku podnosił oszołomione dzieciaki.

Spotkania z Janem Pawłem jako źródło radości: Jego poczucie humoru, autoironia znakomicie kontrapunktujące wielki styl, monumentalizm pozy, gestu, słowa. Papież prywatny: kiedy, zwłaszcza na kolację, nadchodzi – słyhać to z korytarza – szurając butami, powłócząc nogami, umęczony. Jeszcze siada jak bez życia, żeby powoli odżywać, odzyskując pogodę, dowcip lub zwykłe zafrasowanie, największe wtedy, gdy mowa o Polsce. Możliwość studiowania Jego twarzy z bliska, oczu jak kamyki odcisnięte w twarzy, przelotnego uśmiechu. Nigdy jednak nie miałem nie tyle odwagi, co siły – patrzeć na Niego w czasie prywatnych Mszy (dobre określenie: „prywatna” Msza, w dodatku Papieża). Ból i udręka w Jego twarzy były nie do wytrzymania. Ten człowiek był na Golgocie.

KRZYSZTOF POMIAN, *pisarz*

Jana Pawła II miałem zaszczyt spotkać kilkakrotnie podczas sierpniowych seminariów w Castel Gandolfo zorganizowanych przez wiedeński Instytut Nauk o Człowieku w latach 1983, 1985, 1987. Ale z kardynałem Wojtyłą zetknąłem się wcześniej, w ośrodku księży pallotynów w Paryżu, gdzie w roku 1977 wygłosił On był odczyt o świętym Stanisławie, biskupie i męczenniku, piękny prostotą formy i uwspółcześnieniem postaci z zamierzchłej przeszłości, bez dziennikowych aluzji. Święty Stanisław został pokazany jako exemplum: ważny ponadczasowo, a więc i dziś, wzór biskupa, który stawia sprawiedliwy opór władzy, gdy ta przekracza swe uprawnienia – wyraża się w tyranii. Nie było to powiedziane wprost. Zawierało się jednak w obrazie życia i śmierci świętego. Nie wymienione zaś, jeśli dobrze pamiętam, ale obecne w tle „non possumus” kardynała Wyszyńskiego uzasadniało nieprzemijające znaczenie tej teologii politycznej.

Po odczycie ksiądz Józef Sadzik zaprosił kilka osób na krótkie spotkanie z Kardynałem. Choć słyszałem już o Nim wiele, rozmowa była dla mnie zaskoczeniem; wyobrażałem Go sobie jakoś inaczej. Ale poczucie wyjątkowości tego wieczoru brało się skądinąd. Na ludzi, którzy jakby rozświetlają otoczenie, promieniują mądrość i dobro, trafia się bardzo rzadko. Należał do nich niezapomniany ksiądz Sadzik. Kilka minut starczyło, by zyskać pewność, że kardynał Wojtyła uosabia ten rodzaj człowieczeństwa w stopniu zaiste niezwykłym.

Wizyty w Castel Gandolfo w pełni potwierdziły pierwsze wrażenie. Papież nie bierze wprawdzie udziału w dyskusjach, choć słucha ich z uwagą, ale rozmawiać z Nim można podczas przerw w obradach oraz obiadów lub kolacji, na które kolejno zaprasza poszczególne grupy językowe. Protokół sprowadzony jest wtedy do minimum. Uczucie szacunku wobec Gospodarza może uzewnętrzniać się spontanicznie, bez pompy i patosu. Przebywa się w uduchowionej atmosferze święta. A Jan Paweł II stale zadziwia darem tworzenia wokół siebie serdeczności

i pogody, które rozładowują napięcie powodowane faktem znalezienia się w Jego obecności. Toteż rozmowę z Nim przeżywa się jako coś najzupełniej naturalnego – i jako coś najzupełniej nadzwyczajnego zarazem, bo przecież nie sposób zapomnieć, z kim się rozmawia. Nie zdarzyło mi się być w takiej sytuacji bez doznawania tych dwóch sprzecznych przeżyć równocześnie. Inni, jak słyszę, reagują podobnie.

Jestem człowiekiem niewierzącym. Jestem nim od dziecka, bez kryzysów wewnętrznych, kompleksów i wątpliwości. Nie przeszkadza mi to uważać religii za istotny składnik kultury. Ani widzieć w chrześcijaństwie, zwłaszcza łacińskim, współtwórcę Europy i tę część jej dziedzictwa, która winna pozostać żywa, o ile mamy zachować naszą tożsamość. Ani żywić uznania dla Kościołów, choć bez zapominania o przeszłości i bez ślepego uwielbienia. Rozumiem, że chrześcijanin może uważać taką postawę za uboższą niż wiara; jakoż doświadczenie religijne jest jej obce. Nie sądzę jednak, by stosunki wiary i rozumu dawały się ująć w kategorii wyższości czy hierarchii. Doświadczenie religijne jest problemem dla rozumu naukowego, jak rozum naukowy z jego doświadczeniem jest problemem dla rozumu wierzącego. Szukanie rozwiązań należy do filozofów i teologów. W porządku życiowym zaś trzeba wreszcie pogodzić się z faktem, iż jedni wierzą, a inni – nie. Dlaczego z jednymi jest tak, a z innymi inaczej? Chrześcijanin może odwołać się do niepojętego działania łaski. Ja stwierdzę tylko, że psychologia nie zna odpowiedzi; wątpię zresztą, by człowiek kiedykolwiek przejrzał bez reszty samego siebie.

Stanowiska wobec spraw tej wagi niepodobna wyłożyć jasno i gruntownie w kilku zdaniach. Musiałem wszelako zaznaczyć własną odrębność nie tylko gwoli uczciwości, lecz również dlatego, że zabarwia ona zapewne w istotnej mierze moje przeżycie spotkań z Janem Pawłem II. Że skupia uwagę na tych, a nie innych stronach Jego pontyfikatu. Że kształtuje przekonanie, wedle którego, co postaram się tu uzasadnić, najbardziej znamienity rys tego pontyfikatu – to dążenie, by wpisać Kościół katolicki we współczesność.

Pius XII był głową zamkniętego Kościoła wśród równie zamkniętych społeczeństw. Jan XXIII zapoczątkował, a Paweł VI utrwalił *aggiornamento*, dzieło Soboru Watykańskiego Drugiego, na którym Kościół przygotował się od wewnątrz do życia w społeczeństwie coraz bardziej otwartym. Dziedzic Soboru, Jan Paweł II, zwraca się w większym stopniu na zewnątrz. Nie robi wszakże żadnych treściowych

ustępstw na rzecz wieku. Wierny swym poprzednikom, przypomina to, co wedle Kościoła katolickiego jest prawdą objawioną i powinnością człowieka. Ale mówi językiem naszej teraźniejszości o sprawach, które bezpośrednio dotyczą wszystkich. Mówi o pracy i pokoju, o konfliktach społecznych i zagrożeniu nuklearnym, o nierównościach w obrębie narodów i między narodami, o potrzebie rozwoju, którego podmiotami i celem winny być osoby, o Słowiańszczyźnie i jedności Europy. I stara się uczynić głos Kościoła słyszalnym nie tylko dla wiernych, sprawić, by przebił się przez zagłuszanie świata i dotarł do każdego. Jan Paweł II jest pierwszym papieżem czasów komunikacji powszechnej: kamery telewizyjnej i samolotu jako narzędzi pracy duszpasterskiej. Pierwszym w historii biskupem diecezji Ziemia.

Dzięki takiemu organicznemu stopieniu tradycji z nowoczesnością Jan Paweł II stał się pierwszym papieżem, którego decyzje i wypowiedzi trwale przyciągają uwagę nie tylko katolików. Swego czasu Jan XXIII wzbudził wielkie zainteresowanie; wzbudziły je też niektóre sesje Soboru. Były to jednak tylko epizody, po których wracała dawna obojętność, jeśli nie wrogość. Ta ostatnia nadal pozostaje silna. Jan Paweł II bywa atakowany z większą gwałtownością niż którykolwiek bodaj z Jego bezpośrednich poprzedników. Nie tylko przez tych, którzy kierowali ręką zamachowca. Również – słownie. Przez wszystkich, którzy widzą w Nim zatwardziałego konserwatystę, ponieważ nie odrzucił tradycyjnej etyki seksualnej, nie zniósł celibatu księży, nie dopuścił kobiet do kapłaństwa, nie zaaprobował uświęcenia walki zbrojnej i innych form przemocy. I przez wszystkich, którzy potępiają w Nim niebezpiecznego nowinkarza, ponieważ wcieli w życie uchwały Soboru, mówi o potrzebie sprawiedliwości w stosunkach społecznych, uzasadnia prawo do istnienia związków zawodowych i podkreśla, że zadaniem Kościoła jest „stałe przypomnianie o godności i o prawach ludzi pracy oraz piętnowanie takich sytuacji, w których bywają one gwałcone” (*Laborem exercens I,1*).

Jeśli jednak wrogość wciąż pozostaje silna, to obojętność uległa, jak sądzę, znacznemu zmniejszeniu. Fakt to bardzo ważny i bezwarunkowo pozytywny. Jednym z najgroźniejszych objawów kryzysu, jaki przeżywa kultura współczesna, jest bowiem zanik autorytetów moralnych: osób, które by miały odwagę ferować oceny i normy, zabraniać i nakazywać – i których by słuchano, choćby z oporami, a nawet wyrazami sprzeciwu. Otóż Jan Paweł II jest takim autorytetem dla wielu ludzi,

którzy skądinąd nie przyjmują swoiście religijnego uzasadnienia głoszonych przez Kościół katolicki zakazów i przykazań, ale którzy niemniej uważają je przynajmniej częściowo za słuszne, choć niekoniecznie ich przestrzegają, co zresztą nie różni ich zbyttnio od katolików. Jest autorytetem w tym sensie, że chce się znać Jego zdanie, że słucha się Jego słów, że budzona przezeń świadomość łamania przykazań lub odstępowania od obowiązujących wzorów powoduje wyrzuty sumienia, poczucie winy, a niekiedy może nawet – poprawę. Widzę w tym jedno z najważniejszych dokonań Jego pontyfikatu.

Wpisywanie przez Jana Pawła II Kościoła katolickiego we współczesność – to również pogodzenie go z pluralizmem. Nie wszędzie jeszcze i nie definitywnie, ale też życie w społeczeństwie pluralistycznym jest czymś, czego wszyscy musimy się stale uczyć. W każdym razie w ciągu minionych lat Kościół uznał pluralizm geograficzny i etniczny, czego szczególnie widowiskowym wyrazem są pielgrzymki Papieża na inne kontynenty, które przestały dla Rzymu być tylko peryferiami Europy. Uznał też pluralizm religijny, co poświadczył rewizją tradycyjnych poglądów na Jana Husa i Marcina Lutra, zbliżeniem z Kościołem prawosławnym, wizytą Papieża w synagodze rzymskiej i innymi krokami ku pojednaniu z religią żydowską, spotkaniem w Asyżu z przywódcami duchowymi różnych religii, m.in. buddyźmu i islamu, przysłuchiwaniem się opinii niewierzących. Wreszcie – a wagi tego wydarzenia nie sposób przecenić – Kościół katolicki uznał pluralizm polityczny, tzn. demokrację parlamentarną, do której miał w niezbyt przecież odległej przeszłości stosunek niejednoznaczny, jeśli nie wręcz wrogi. Ilustruje tę zmianę przyczynienie się miejscowych Kościołów do upadku dyktatur na Filipinach i na Haiti i do przywrócenia demokracji w Brazylii i w Urugwaju; udział Kościoła chilijskiego w walce z reżymem Pinocheta; istotny wpływ pielgrzymek papieskich na ewolucję polityczną niektórych krajów. Zapewne wszystko, o czym była teraz mowa, poczęte jest z ducha Soboru Watykańskiego Drugiego i ma swe początki za Pawła VI. Ale pontyfikat Jana Pawła II okazał się w tych dziedzinach prawdziwie przełomowy.

O tym, czym ten pontyfikat był i pozostaje dla Polski – wie każdy Polak. Bez wyboru Jana Pawła II i bez Jego pierwszej pielgrzymki do ojczyzny lato 1980 roku nie wyglądałoby tak, jak wyglądało, i nie byłoby „Solidarności”. Również późniejsze zmiany w tym, co mają dobrego, nie dają się odłączyć od dwóch następnych pielgrzymek i od obecności

w Rzymie biskupa Karola Wojtyły, który, choć jest przede wszystkim głową Kościoła powszechnego, nie przestaje przecież być Polakiem – i to z intensywnością właściwą przed Nim tylko wielkim poetom romantycznym. Cała nasza historia w ciągu ostatnich lat jest zatem w znacznym stopniu określona tym włączeniem jej do historii powszechnej, jakiego dokonało konklawe, które powołało arcybiskupa krakowskiego na Stolicę Apostolską. Każdy z nas zaś może powiedzieć o sobie, że jego życie uległo zmianie, niekiedy głębokiej, w następstwie tego wydarzenia, które, po latach, wciąż jeszcze wydaje się równie zdumiewające jak wtedy, gdy spadło na nas i poraziło swą niezwykłością w niezapomniany wieczór 16 października 1978 roku.

ZOFIA ROMANOWICZOWA, *pisarka*

Wszystkie moje spotkania z Janem Pawłem II były jednostronne. Pewno nadal będą takie. Jeśli o mnie chodzi, może być spokojny. Nie mam powołania do owego patriotyczno-pobożnego kanibalizmu, który sprawia, że rodacy osaczają Go bez skrupułów, ba, bez miłosierdzia, twardo egzekwując prawa nie tylko owieczek, nie tylko współziomków, współuczniów, współnarciarzy, współaktorów, ale nawet... kuzynów! Jak chodzą słuchy, nikomu tak z dnia na dzień nie powiększyła się rodzina o białą nitką przyszywane ciotki i pociotki.

Jednostronne spotkania wystarczają mi. Są rozmaite. Stałe. I za każdym razem inaczej ważne dla mnie.

Pierwszy raz... Pierwsze „spotkanie” odbyło się nie pod znakiem bieli i tiary, lecz kardynalskiej purpury. O datę nie muszę się głowić, jest zapisana u o.o. pallotynów na tak zwanym Surcoufie. W Paryżu oczywiście. Dlaczego wybrałam się wówczas na odczyt Karola Wojtyły? Przyznam się bez nieszczerej skruchy, że przyciągnęła mnie wcale nie osoba, lecz temat: święty Stanisław biskup. W tej chwili ogarnia mnie wątpliwość, czy to był odczyt jeszcze biskupa (bo o biskupie), czy już kardynała. Ale nie, zostało mi wspomnienie purpury, nie fioletów. Purpurowa szata minęła mnie w przejściu z małej salki odczytowej na klatkę schodową. Bo to odbyło się w małej sali! Dużą miał szansę wypełnić wtedy raczej Kisiel czy Michnik i nawet księdzu Zenonowi Modzelewskiemu wydawało się – wtedy – że mała będzie w sam raz. I była. Zapelniona zresztą szczelnie, głównie zakonnymi siostrami, klerykami i pewno pallotynami, których trudno odróżnić, gdyż chodzą w cywilu. Zamiast się cisnąć, usiadłam sobie pod schodami, przy paru spóźnionych kornetach, rada, bo tam można było po cichu zapalić.

Z tym, co dochodziło do mych uszu przez otwarte drzwi, nie zgadzałam się tak całkiem. Ale cóż, i tak nie zabieram głosu w paryskich dyskusjach. Są od tego, niestety, specjaliści. Zresztą o świętym Stanisławie niewiele więcej wiedziałam niż to, co było we wstępie do sztuki

Stanisław i Bogumił, ofiarowanej mi kiedyś przez Marię Dąbrowską. Więc jak mogłam zgadzać się z prelegentem? Choć chciałam. Sam głos przekonywał. Głos był taki, że człowiek pragnął z nim się zgadzać.

Ten głos został mi w pamięci i rzymska purpura szaty, gdy mijał mnie potem w asyście wniebowziętych siostr, wcale niespecjalnie dostojny, tylko zwyczajnie dobry. Swój. Pewność i zaufanie. Pasujący do swego męsko-duszpasterskiego głosu.

Drugie jednostronne spotkanie odbyło się w naszym samochodzie, przy wjeździe do Paryża. Wracaliśmy ze wsi w paskudną pogodę, w przedwcześnie zapadającym zmierzchu. Co krok czerwone światła, stop, wścikli ludzie przy kierownicach. Włączyliśmy radio chyba z nudów, żadne sobory nie były nam w głowie. I nagle: komunikat! Co? Polak – papieżem? Karol Wojtyła? Ten od świętego Stanisława? Czyżby ten sam?

Purpura kardynalska połączyła się nagle z bielą. W biało-czerwonej euforii wszczęliśmy wtedy, na drodze numer 19, pod samym Paryżem, koncert klaksonowy. Chwycił! Bo nie my jedni słuchaliśmy radia. I nie my jedni ucieszyliśmy się z tego wyboru.

Nazajutrz, od samego rana, cała Wyspa Świętego Ludwika przybiegła do nas z gratulacjami. Nawet tacy, którzy do tej pory nie mieli żadnego powodu, żeby przekraczać progi polskiej księgarni. Teraz byli dumni, że mają polskich sąsiadów. Uważali za rzecz oczywistą, że musimy znać nowego Papieża, ba, nic by ich nie zdziwiło, gdyby był on z naszej rodziny!

A nam było tak, jakby był.

Jakiś Francuz, znany mi do tej pory tylko z widzenia, wręczył nawet z tej okazji kwiaty.

Następne „spotkanie” to biały helikopter lądujący prosto z nieba tuż koło mnie na Polach Elizejskich. A potem przyjęcie u Prezydenta. Zdarzało nam się, owszem, bywać na różnych oficjalnościach, ale żeby Valéry Giscard d’Estaing zapraszał i nas na garden party z okazji pierwszej wizyty Papieża! Nie wymawiając, nabyłam sobie wtedy (i nie ja jedna) specjalną suknię, zwaną dotąd w rodzinie suknią „papieską”. Panowie mogli wkładać, co mieli i co chcieli, ale paniom kartonik zaproszeniowy przykazywał surowo, żeby ich strój był „przyzwoity”. Wszystkie więc były na ciemno i bez żadnych, broń Boże, dekoltów, choć upał. I choć Elysée nie Watykan.

No cóż, niebo spletało figla republikańskiej pruderii i – jak nie lunie!

Tego nie było w programie. Stłoczono nas, upychając, w małych salkach poczekalniowych, gdzie natychmiast stało się tak duszno, że niektórzy wyskakiwali oknami, nie mogąc dopchać się do drzwi. Na szczęście to był parter. Którędy On tu do nas wejdzie i jak się zmieści. Ale gdy w końcu wszedł z wniebowziętym niczym siostrzyczka zakonna Giscardem, stał się cud. Zrobiło się dla Niego miejsce. Sam się zrobił szpaler, akurat żeby mógł przejść i z każdym, no prawie z każdym się przywitać.

Nikomu wtedy nie przyszło do głowy, że w tym tłumie, nawet nie rewidowanym, o byle jak sprawdzanych kartonikach zaproszeniowych, mógł być ktoś – uzbrojony. Inne czasy...

A tymczasem ogrody elizejskie spłynęły takim potopem, że zalało nam motor na śmierć. Mokrzuteńcy, bo do samochodu ustawionego w alei pod kasztanami trzeba było prawie dopłynąć, po długich pertraktacjach z prezydenckimi wartownikami, którzy nie mieli przewidziane ani w etykiecie, ani w budżecie, żeby z Pałacu telefonować SOS do garażów, ledwo wróciliśmy do domu i zrobiło się za późno i za grypowo, żeby inaczej niż przez radio słuchać tego, co mówił potem do Polonii. Czyli do nas.

Wyspa Świętego Ludwika jeszcze tłumniej zbiegła się w księgarni na wieść o zamachu. Przez cały czas trudnej rekonwalescencji odbywały się u nas spontaniczne zebrania francusko-polskie. Rodzinne...

A potem? Nie byliśmy w Lyonie ani w Lourdes, ku zgorszeniu naszych sąsiadów, głównie burgundzkich: z małych, okolicznych wiosek powyruszały całe autokary. Trochę to nam nawet popsuło reputację.

Następne jednostronne spotkanie odbyło się za pośrednictwem koleżanek ravensbrüczanek. Nawet dwukrotnie. Pierwszy raz, bo gdzieś tam w Niemczech odkryto czy odkopano przemycane przez nas z obozu listy i wiersze. Wydało je Muzeum Oświęcimskie i delegacja „dziewcząt” uroczyście wręczyła to Papieżowi. A drugi raz poprzez gruby tom skompilowanych przez Urszulę Wińską trochę relacji, a trochę dokumentacji z życia „tam”. Tytuł: *Zwyciężyły wartości*. I w jednej, i w drugiej publikacji tym razem to ja mijam Go, jeśli zajrzał do środka, ja pod postacią Zofii Górskiej, Schutzhaftling Nr 10218, czyli była ja, w pasiakach. Duża część wierszy stamtąd, z bardzo ravensbrückim *Różańcem* na czele, nie ma co się wypierać, to ja. I do mnie więc, między innymi, nic o tym nie wiedząc, napisał On ten list, odręczny, nie żaden podpisany druczek, którego fotokopię sprawiedliwie przysłała mi Urszula. Sam koniec zacytuje:

Oby te wartości, które zwyciężyły wśród tak strasznych doświadczeń... [tu opuszczam przez skromność], nie przestały być fundamentem, na którym buduje się życie współczesnych i przyszłych pokoleń”.

Cytuję ten urywek, bo mi się on przyda na zakończenie.

Co jeszcze? Wciąż się spotykamy. Sama się nigdzie nie ruszam, ale obmartwianie podróży bliskich jest moją specjalnością. Oddycham na wieść, że wrócili szczęśliwie. Pod tym względem emocji nie brak mi od rzymskiej strony.

Co jeszcze? Słucham i czytam.

Ale najważniejsze dla mnie spotkania odbywają się dwa razy do roku, na Boże Narodzenie i na Wielkanoc. Żadna sztuka, ktoś powie, Urbi et Orbi. A jednak to jest coś. Bo ja nie słucham tego sama. Marcin – 6 lat i Madzia – 4 lata, dzieci „Baśki i Barbary”, wysłuchują razem z nami w cierpliwym napięciu życzeń i błogosławieństw we wszystkich językach świata i to im uświadamia różnorodność i wspólnotę ludzi. Oswajają się z tym głosem. Postanawiają, że też tylu językami będą mówili. Gdy dochodzi do lingua francese cieszą się, bo rozumieją, są dwujęzyczni. Ale przy lingua polacca entuzjizm:

– Teraz On mówi do nas!

I to jest spotkanie, bez cudzysłowu. To się będzie jakoś liczyło w ich życiu. To ich ustawia. Z pewnością nie tylko ich. On nawet nie wie, jak mi pomaga. Prawie jak elementarz Falskiego. Nie mówiąc o Smoku Wawelskim i szewcu Dratewce.

Tu bym powinna raz jeszcze zacytować ów ustęp z listu do ravenbrüczanek o „fundamencie dla przyszłych pokoleń”.

I to są najważniejsze dla mnie spotkania z Janem Pawłem.

Prof. HENRYK SAMSONOWICZ, historyk, polityk

Być może refleksje, które nasunęły mi się po dwóch pierwszych spotkaniach z Papieżem, zabrzmiały banalnie, ale dla mnie były ważne.

Pierwsze, w 1972 roku, poświęcone było dyskusji nad *factum* świętego Stanisława. Jego następca na krakowskiej diecezji, kardynał Wojtyła, zaprosił grono historyków, by przedstawili jedno z bardziej tajemniczych wydarzeń w dziejach Polski: sprawę męczeńskiej śmierci biskupa Stanisława. Dyskusja wśród specjalistów, toczona przy obecności gospodarza, długa i zażarta, nie przyniosła rzecz jasna odpowiedzi na wszystkie pytania. Ale – jak rzadko kiedy – pozwoliła na uświadomienie, że nie wszystko może być wyjaśnione jedynie badaniem naukowym. Istnieją sfery powszechnie niedostępne rygorom warsztatu uczonego, a związane z jego osobowością, ze sferami wykraczającymi poza analizę rozumową. Historyczna prawda o biskupie krakowskim z II połowy XI wieku ma tylko częściowy związek z naszą wiedzą o świętym patronie Królestwa Polskiego: ten pierwszy zasób informacji, który być może nigdy nie będzie pełny, nie wpływa w sposób zasadniczy na wyjaśnienie wydarzeń dziejowych w naszym kraju. Ten drugi zasób wiedzy w bezporównania większym stopniu określa procesy zachodzące w świadomości Polaków, a wyjaśnia także i różne wydarzenia polityczne.

Osobowość gospodarza wyraźnie była wyczuwalna w dyskusjach historyków, dyskusjach, które pozwoliły na parę refleksji. Pierwsza – zapewne ważniejsza – bo dotyczyła uczucia pokory, które winno cechować człowieka żyjącego z bardzo ułomnej wiedzy, i szacunku wobec tych, którzy swoją świadomość wspierają wewnętrznym przeżyciem. Druga to – mimo miejsca, które mogłoby nakłaniać do hagiografii – poczucie pełnej swobody w dyskusji. Dozwolone były i uprawnione wszystkie poglądy wypowiedziane z myślą o zbliżeniu się do prawdy. Po atmosferze panującej na zebraniach oficjalnych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych był to nastrój ożywczy, jak łyk świeżego powietrza, ułatwiał dyskusję, polemikę, nawet w formie przyjaznej,

z uznawaniem wielu racji stron przeciwnych. Wizyta w pałacu arcybiskupim w Krakowie dała smak dyskusji ludzi otwartych na zagadnienia wielorakie, takich, jakich wtedy bardzo chcieliśmy mieć w Polsce.

Drugie spotkanie miało miejsce po wyborze kardynała Wojtyły na stolicę Piotrową. Byłem przyjęty wraz z nielicznym gronem międzynarodowym przez papieża Jana Pawła II w Jego watykańskich apartamentach. Wrażenie było ogromne. Głowa Kościoła katolickiego, człowiek o niewątpliwej, ogromnej charyzmie, reprezentujący najwyższy autorytet moralny, rozmawiał językiem bardzo mi bliskim: bez retorycznych zwrotów, bez sloganów, nie stosując tego pokrętnego kodu, który był w użyciu moich tego świata. A przy tym Papież był w stanie – przy wszystkich swych obowiązkach, obciążeniach, troskach – pamiętać o kłopotach każdego z nas. Nie zapomnę intonacji Jego głosu, kiedy przy prezentacji Bronisława Geremka podjął temat kłopotów rozmówcy z uzyskaniem prawa do wyjazdu z Polski. Refleksja – jasna nie tylko dla mnie – była oczywista. Pozycja człowieka zależy od jego osobowości. Nie przeszkadza w jej budowie bliskość wobec innych, serdeczność, bezpośredniość. Autorytet osobisty buduje się nie na uzyskanej nominacji, stanowisku, przynależności organizacyjnej, lecz na cechach charakteru. Jest to wniosek oczywisty, ale dał mi poczucie istnienia tych wartości w życiu społecznym, o które warto zabiegać.

Co dały mnie – i moim rodakom – spotkania z Janem Pawłem II podczas Jego pielgrzymek do Polski, o tym zapewne powiedzą ludzie bardziej ode mnie kompetentni. Wiem jednak, że uczucie nadziei na lepsze jutro, wiary w sprawiedliwość i prawdę, miłość do mojego narodu i jego najwybitniejszego przedstawiciela złożyły się na mądrość pozwalającą przetrwać złe dni w Polsce.

Prof. ANDRZEJ STELMACHOWSKI, prawnik, polityk

Wracając wspomnieniem do moich spotkań z Janem Pawłem II coraz wyraźniej widzę, że wrażenie najsilniejsze związane było z pierwszą wizytą Ojca Świętego w ojczyźnie. Jawi mi się ono jako *s n o p ś w i a t ł a*. Częściowo dlatego, że światło biło mi w oczy w znaczeniu jak najbardziej dosłownym. Wraz z żoną byliśmy w pewnym sensie uprzywilejowani, gdyż mieliśmy miejsca siedzące i to niezbyt daleko od ołtarza na ówczesnym placu Zwycięstwa w Warszawie. Niemniej jednak przywilej ten związany był z niedogodnością, że słońce świeciło nam prosto w oczy, a w miarę jak chyliło się ku zachodowi, blask jego oślepiał coraz bardziej. Ale oczywiście nie to było najważniejsze.

Najpierw było oczekiwanie, ogromne oczekiwanie, które udzielało się tłumom. Było to oczekiwanie nie skryształizowane; gdyby ktoś zapytał, na co właściwie oczekiwaliśmy, bardzo trudno byłoby odpowiedzieć w sposób sensowny. Prawda, że miało to być pierwsze na polskiej ziemi spotkanie z Papieżem-Polakiem, okazanie radości, że oto na scenie światowej pojawił się nasz rodak. Myślę jednak, że to nie oddaje w pełni nastroju, który udzielał się nam wszystkim. Nawet w krzątaniu, jaka towarzyszyła wizycie, było skondensowane jakieś oczekiwanie. Te rzesze młodych ludzi, którzy spontanicznie garnęli się do kościelnej służby porządkowej (nasi obydwaj synowie mieli w niej też swój czynny udział), to było coś nowego, przeczącego obiegowej opinii, że młodzież jest nastawiona konsumpcyjnie i nie chce się włączać do działalności społecznej.

Wreszcie zjawiał się On, tak długo oczekiwany. Padały słowa liturgii, a potem słowa homilii. Dziwne to były słowa. Najpierw, że „Polska stała się w naszych czasach ziemią szczególnie odpowiedzialnego świadectwa”. O jakie świadectwo tu chodzi? O uporczywe trzymanie się wiary? O wierność tradycji praojców? Ale oto padają znowu słowa, które dotyczą starej rany, głęboko tajonej przez dziesiątki lat. Słowa o Warszawie, „która w roku 1944 zdecydowała się na nierówną walkę

z najeżdżcą, na walkę, w której została opuszczona przez sprzymierzone potęgi, na walkę, w której legła pod własnymi gruzami...” Tak było. Jak błyskawica z głębin pamięci słowa te wydobyły obrazy płonącej w czasie Powstania Warszawy, widok nadlatujących samolotów z jakże nikłą pomocą i stojące na Pradze wojska patrzące spokojnie na ginące miasto.

A na końcu to wezwanie, jakże silne wezwanie przenikające do głębi serca: „Niech zstąpi Duch Twój!” – i jeszcze raz: „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi!”

Wtedy jeszcze nie zdawaliśmy sobie sprawy z doniosłości tego wezwania, ale niejasne przeczucie, że coś się stanie, pozostało. A gdy wielki zryw roku 1980 nastąpił, wtedy jakże szybko skojarzyły się te słowa i fakty.

*

Następne spotkanie, związane z drugą pielgrzymką Ojca Świętego do Polski, w jakże innej odbywało się scenerii! Byliśmy przytłoczeni i przygnębieni. Najlepsi patrioci byli jeszcze w więzieniu, wielki ruch solidarnościowy zdawał się być zdeptany, nadzieje zawiedzione. Prawda, że duch walki i przekory nie wygasł całkowicie, był tylko przytłumiony, tlił się gdzieś głęboko w podziemiu, wytryskując co pewien czas fajerwerkiem jakiejś akcji demonstracyjnej.

Co powie w tej sytuacji Papież? Jak się zachowa? Przecież jest skrępowany protokołem dyplomatycznym, nie może demonstrować przeciwko władzom kraju, do którego przyjeżdża.

Czekaliśmy wraz z rodziną na przejazd z lotniska na Okęciu Ojca Świętego i Jego świty. Staliśmy na ulicy Wawelskiej, naprzeciwko ogrodów działkowych, gdyż tłum był tam mniejszy i można było więcej zobaczyć niż w centrum miasta. Megafon umieszczony niedaleko podawał informacje na bieżąco. I znowu był nastrój oczekiwania. Było to inne oczekiwanie niż w 1979 roku, niemniej jednak było ono niezwykle intensywne. Nagle z megafonu pada wiadomość, że już przyleciał. Słuchamy rutynowych słów powitania, a potem te niezapomniane słowa, Jego słowa, jakże współgrające z uczuciami milionów Polaków:

„Polska jest matką szczególną. Niełatwe są jej dzieje, zwłaszcza na przestrzeni ostatnich stuleci. Jest matką, która wiele przecierpiała i wciąż na nowo cierpi. Dlatego też ma prawo do miłości szczególnej...

Proszę, ażeby szczególnie blisko mnie raczyli być ci, którzy cierpią.

Proszę o to w imię słów Chrystusa: «byłem chory, a odwiedziliście Mnie; byłem w więzieniu, a przyszedliście do Mnie» (Mt 25, 36). Ja sam nie mogę odwiedzić wszystkich chorych, uwięzionych, cierpiących – ale proszę ich, aby duchem byli blisko mnie”.

Słyszając to miałem uczucie ogromnej ulgi, ulgi wypływającej z przeświadczenia, że jednak Ojciec Święty rozumie nas, że myśli podobnie jak my, że nas nie opuści. Jednocześnie zrodziła się nadzieja, że tak jak przy poprzednim przyjeździe pokrzepi nas i da zastrzyk nowych sił. Reszta była już tylko konsekwencją tych pierwszych chwil spotkania.

*

Już nie pamiętam, czy było to podczas drugiej, czy trzeciej wizyty Ojca Świętego w naszym kraju. Znalazłem się (dzięki protekcji Ks. Prymasa) w gronie osób zaproszonych na kolację z Ojcem Świętym w siedzibie Ks. Prymasa na Miodowej. Przy stole rozmowa była swobodna. W pewnym momencie zeszła ona na temat przemian rozpoczynających się w Związku Radzieckim, w obliczu gwałtownego odrodzenia się uczuć religijnych. I ta pewność siebie, z jaką Ojciec Święty powiedział: „W Wilnie to ja jeszcze będę, jeszcze do tego dojdzie!”

*

Wreszcie spotkanie w Watykanie w marcu 1990 roku. Jakże inna sceneria, a i moja rola odmienna od poprzednich. Nieco przytłaczający ogrom budowli watykańskich, potem pośpiech, z jakim Ojciec Święty załatwił część oficjalną, to jest moment wręczenia zaproszeń na czwartą pielgrzymkę do Polski (kardynał Macharski i ks. arcybiskup B. Dąbrowski wręczyli je w imieniu Episkopatu Polski, a ja w imieniu władz państwowych, to jest Prezydenta, Premiera, Sejmu i Senatu). Wreszcie długa rozmowa przy obiedzie w pokoju, którego skromne umeblowanie dziwnie kontrastowało z przepychem biur oficjalnych.

A w duchu pytanie: jaki snop światła padnie podczas czwartej pielgrzymki papieskiej?

JULIAN STRYJKOWSKI, *pisarz*

Krzyż miał zawsze otwarte ramiona.

Minęło dziesięć lat, odkąd papież Jan Paweł II znakiem krzyża błogosławi świat w jego wielości.

W Polsce przez ostatnie lata powstawała w nawach kościoła wielość. Przychodzą wierzący i niewierzący.

Nadaremnie starają się o ten pluralizm przeciwnicy innego pluralizmu.

W nawach kościoła rozbrzmiewa echo dalekiej wolności, echo wersu Karola Wojtyły: „przez tyle pokoleń idziemy – każdy z nas idzie – na spotkanie wolności”. Nie wiem, czy niewolę Kościół zawsze nazywał grzechem i równał wolność z przykazaniem, ale „niewola jest grzechem” nabrało sensu przykazania za pontyfikatu polskiego Papieża. Zakazu: „Nie wolno ci być niewolnikiem”. Po raz pierwszy usłyszałem to niedawno: formułę kategoryczną budzącą wolę człowieka, od której wszystko zależy. Narodziła się ona w aurze dziesięciu lat. Formuła ta łączy wierzących i niewierzących, chrześcijan i niechrześcijan.

Wolność zawiera miłość jak ciało duszę.

Mickiewicz w zachwycie wołał:

Ja kocham cały naród! – objąłem w ramiona

Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia...

Wielki syn narodu, który walczył o wolność na polach bitew całego świata, kocha całą ludzkość i pielgrzymując po trudnej ziemi niesie słowa miłości wszystkim.

Jan Paweł II jest papieżem i człowiekiem, kocha Polaków więcej niż innych. Polacy bardziej niż inni potrzebują Jego pomocy.

Trzy razy przeżywał kraj Jego pobyt, trzykrotne zmartwychwstanie wiary i nadziei, trzykrotne wyzbywanie się strachu.

„Wyzbądźcie się strachu!” – wołał Papież, gdyż jak pisał Karol Wojtyła:

*Słaby jest lud, jeśli godzi się ze swoją
kłęką, gdy zapomina, że został podany,
by czuwać, aż przyjdzie jego godzina.
Godziny wciąż powracają na wielkiej tarczy
historii. Oto liturgia dziejów. Czuwanie
jest słowem Pana i słowem Ludu...*

Trzykrotny pobyt Jana Pawła II w ojczyźnie to jej podnoszenie się, a potem opadanie. Dlatego miliony wiernych wołały: „Ojczy, zostań!”

Ale Papieża siedziba to Watykan. Promieniowanie z Rzymu *Urbi et Orbi* jest codzienną pracą Chrystusową opartą o Kamienne Tablice, dane na Synaju. Kamienne Tablice to Karta Ludzkości po wieki wieków. Jan Paweł II, kontynuując osiągnięcie dwóch swoich poprzedników, Jana XXIII i Pawła VI, zbiera, aby scalić rozbitą i rozdzieloną wiarę, wyrosłą z pnia Abrahamowego, na drodze porozumiewania się i szacunku. Jako Żyd, towarzyszyłem w duchu naczelnemu rabinowi Rzymu na spotkaniu z Janem Pawłem, który tę chwilę uwiecznił. Przekroczył próg Synagogi, tak bardzo kiedyś znienawidzonej. Chwila ta zapisana została w historii judeochryścianizmu.

Różni byli papieże, różne bywały bulle.

Niech mi wolno będzie w tym miejscu przypomnieć jedną: *Cum nimis absurdum* z roku 1555.

Dawno to było, ale długie lata trwało działanie tego dokumentu fanatycznej nienawiści religijnej. Nawet tak przyzwyczajeni do prześladowań i oszczerstw, Żydzi uznali tę bullę za najokrutniejszą. Lata trwały, z przerwami, męczarni, palenia na stosie Żydów-maranów, palenia Talmudu na placach, przymusowego chrzczenia całych gmin, przymusu noszenia żółtej łaty, osadzania tych, co zostali przy życiu, w getcie. Jeśli nawet, jak utrzymywano, w celu ochrony przed rzezią, to kto z ambony rozniecał żądzę zemsty wiernych przeciw bogobójcom i mordom rytualnym?

Byłoby niesłuszne na tym poprzestać.

Dzisiejszy Papież ma wielu chlubnych poprzedników.

Klemens VI w czasach „czarnej dżumy” potępił tych, co głosili, że Żydzi zatruwają studnie.

Marcin V wydał bullę w obronie Żydów hiszpańskich i zabronił księżom wygłaszać żydożercze kazania.

Eugeniusz IV udzielił niemieckim oraz innym Żydom pomocy

i ochrony. Zapomnijmy o jego bulli przeciw Żydom wydanej pod naciskiem Soboru Bazylejskiego w roku 1442.

Benedykt XIV, „prawdziwy papież XVIII wieku”, skierował list do Episkopatu i prymasa Polski w obronie Żydów, oskarżanych o różne występki przeciw religii chrześcijańskiej.

Klemens XIV potępił oszczerstwa mordy rytualnego w Polsce.

Różnie więc bywało. Ale pamiętajmy, że fundament, skałą Piotrową chrześcijaństwa jest miłość, uwieńczona cierniową koroną. Przykładem w naszych czasach jest męczeńska śmierć ojca Kolbego, wyznawcy Chrystusa; w dawnych czasach rabin Elia de Pomis z Rzymu poniósł śmierć przez samospalenie, ażeby ocalić życie gminy żydowskiej. Chciałbym te dwa świadectwa zaliczyć w poczet świętych idei ekumenizmu. Jeśli to nie jest sprzeczne z kanonami i dogmatami obu wiar.

Różnie więc bywało. Jedno się nie zmieniło: nienawiść do Żydów. Jedni ją podsycali, drudzy łagodzili.

A Pan Bóg, swoją drogą, narodowi przez siebie wybranemu nigdy wrogów nie poskąpił.

*

W dziesięciolecie papieża Jana Pawła II radujmy się.

Nowe czasy nastały. Została zdjeta z narodu żydowskiego wina bogobójstwa.

Żółtą łatę modlitwy *Judeos perfides* usunięto. Ile pokoleń syciło się tym epitetem!

Dziś wierni słyszą, że Jezus jest Synem Boga i Izraela, że Królowa Korony Polskiej jest Córami Izraela. Że judeochryścianizm zespolił w samej już nazwie ideę ekumeniczną, ideę wspólnoty. O tej wspólnocie głoszą dziś ambony w aurze miłości, jaką promieniuje postać Jego Świątobliwości.

Pamiętne jest spotkanie z Papieżem w kościele Św. Krzyża.

Jasność i serdeczna prostota zapanowały wśród nas. Zjawiły się w krzyżowej chwili. Każda chwila w Polsce jest krzyżowa.

Dany został drogowskaz. Od dziesięciu lat Pielgrzym idzie trudną drogą – idzie ku wieczności. A drogowskaz pokazuje dzisiejszym i przyszłym pokoleniom drogę ku wolności.

Prof. STEFAN SWIEŻAWSKI, historyk filozofii

Zabierając się do opracowania zadanego mi tematu: „Moje spotkania z Janem Pawłem II”, uświadomiłem sobie, że wchodzi tu w grę całe nasze – a nie tylko moje – powojenne życie. Bez przesady mogę powiedzieć, że ks. Karol Wojtyła towarzyszył zarówno moim osobistym zmaganiom zawodowym i społecznym, jak i trudom, i radościom rodzinnym. Spotkań z Nim było tak wiele (w pewnym okresie był u nas ks. Karol codziennym gościem), że dla zachowania ich od zapomnienia trzeba by napisać dużą książkę. Przez dwadzieścia lat po wojnie mieszkaliśmy w Krakowie. Ks. Karol był spowiednikiem mojej żony i córek, mnie zaś łączyły z Nim coraz liczniejsze powiązania zawodowe: uczestniczyłem w Jego habilitacji na Wydziale Teologicznym UJ, a przez szereg lat kolegowaliśmy się na KUL-u i nieraz dojeżdżaliśmy tam razem.

Dwa wspomnienia z tego okresu wydają się szczególnie wymowne. Pięknego wrześniowego dnia 1954 roku moja żona i ja spotkaliśmy się z ks. Karolem w podhalańskim Dębnie. Po odprawionej przez Niego o godz. 5 rano Mszy św. w sławnym tamtejszym kościele ruszyliśmy w trójkę szczytami Gorców, od Turbacza do Czorsztyna. Ten wyjątkowo piękny szlak turystyczny stwarzał bajeczne warunki dla dogłębnej i wyczerpującej rozmowy. Mówiliśmy głównie o stanie filozofii i teologii w Polsce i o zadaniach Kościoła na tym odcinku. Namawiałem gorąco ks. Wojtyłę, aby objął wykłady z etyki na nowo utworzonym Wydziale Filozofii na KUL-u.

Innym razem – również w latach pięćdziesiątych – zostaliśmy zaproszeni, jako jedyna para małżeńska, na wędrówkowe rekolekcje studenckie prowadzone przez ks. Wojtyłę. Ośrodkiem był dom diecezjalny w Pewli pod Żywcem. Stamtąd, po wczesnej Mszy św., wyruszyliśmy na cały dzień, wędrując po nieopisanie pięknych drogach górskich w ciepłą, słoneczną pogodę. Szło się milcząco, odmawiając chwilami różaniec, *Anioł Pański*, odprawiając *Drogę krzyżową* i zatrzymując się co jakiś czas do wysłuchania nauk „Wujka”.

Gdy ks. Karol został biskupem, metropolitą krakowskim, a wreszcie kardynałem, a my przenieśliśmy się do Warszawy, spotkania stały się rzadsze. A jednak tak się złożyło, że myśmy zamieszkali w tzw. „Szarym domu” na Wiślanej, u „szarych” urszulanek – i właśnie tu zatrzymywał się zawsze kardynał Karol, ilekroć przyjeżdżał do stolicy.

Zupełnie szczególnie charakter miały spotkania lubelskie. Przez szereg lat trwająca nasza współpraca na Wydziale Filozofii na KUL-u nie tylko umacniała rodzącą się między mną i ks. Karolem przyjaźń, ale przyczyniła się ona również do zaistnienia prawdziwej wylęgarni wytycznych dotyczących roli filozofii (głównie filozofii klasycznej, a zwłaszcza myśli św. Tomasza) w życiu Kościoła i ludzkości. Na KUL-u powstała wówczas niepowtarzalna grupa kilku filozofów (do której należał ks. Wojtyła), odpowiedzialnych za rozwój filozofii na uniwersytecie i związanych ze sobą żywą troską o te wielkie sprawy.

*

Wszystkie te powiązania stanęły nagle w innym świetle i nabrały o wiele pełniejszego sensu, gdy ks. Karol Wojtyła stał się Janem Pawłem II. Spotkań z Nim jako z Ojcem Świętym mieliśmy wiele. Dwa z nich pragnę przypomnieć, przytaczając taki ich opis, jaki znajduje się w III tomie moich wspomnień.*

Pierwszą naszą wizytę u Ojca Świętego w Rzymie odbyliśmy (z moją żoną i naszą córką, Heleną Deskur) w dniu 22 marca 1979 roku. O godz. 7 rano uczestniczyliśmy we Mszy św. Ojca Świętego w Jego prywatnej kaplicy, po czym (jak wielokrotnie później) byliśmy na pierwszym śniadaniu przy Jego stole. Dla omówienia kilku spraw, które chciałem przedłożyć Papieżowi, zostałem zaproszony na kolację tego samego dnia.

„Pamiętam, jak szedłem o zmierzchu, z radosnym oczekiwaniem, ku spiżowej bramie, aby na czas zjawić się na zaproszenie... Gdy do apartamentów papieskich wyjechałem windą z bramy przy dziedzińcu Św. Damazego, wpadłem od razu w objęcia ks. Dziwisza. Powiedział mi, że kolacja będzie trochę opóźniona, że mam chwilę poczekać, bo Ojciec Święty musi dokończyć jeszcze pewne roboty. Niedługo czekałem; niebawem zjawił się Papież, lekko przygarbiony, wyraźnie zmęczony, z plikiem papierów w ręku. Pokazując owe papiery, powiedział mi jakby

* Tom ten pod tytułem *Owoce życia – 1965–1988* jest przygotowany do druku w Wydawnictwach KUL.

żaląc się: «To wszystko muszę jeszcze dzisiaj przegłębnie». Odszedł i znów wrócił, już odświeżony i jak gdyby gotów do dalszej harówki. Przeszliśmy do pokoju jadalnego, gdzie stał stół nakryty dla czterech osób: Ojciec Święty, ks. Dziwisz, sekretarz Irlandczyk i ja.

Rozmowa była bardzo swobodna, o sprawach bieżących, moich pracach itd. W pewnym jednak momencie Ojciec Święty dokonał jakby jakiegoś wyznania, odsłonięcia Jego osobistych duchowych dziejów i zmagania. Wyznał, że dziwnym zrządzeniem Bożym najważniejsze zdarzenia w Jego życiu kapłańskim są w jakiś tajemniczy sposób związane z wielkimi cierpieniami Jego najbliższych przyjaciół. Przypominał, że jego kardynałat splótł się ściśle z tragedią ks. Mariana Jaworskiego, który wtedy właśnie w strasznej katastrofie kolejowej stracił rękę – i że wybór na konklawe zbiegł się z tak ciężką chorobą biskupa Andrzeja Deskura. Wydaje się, że zachodzi prawdziwa współzależność ofiary i cierpienia przyjaciół z wydarzeniem tej miary, jak wyniesienie – tak zdumiewające i niezwykle – na Stolicę Piotrową. To wyznanie papieskie ukierunkowało dalszy tok spotkania.

Miałem przy sobie kartkę, na której zapisałem osiem ważniejszych i mniej ważnych spraw do przedstawienia Papieżowi w rozmowie w cztery oczy. Podczas kolacji nie było okazji do poruszenia tych problemów. Gdy posiłek dobiegł końca, Ojciec Święty powiedział, że chce zaczerpnąć trochę powietrza. Prosił, bym chwilkę na Niego poczekał. Oddalił się i niebawem wrócił w czarnej pelerynie narzuconej na białą sutannę. Weszliśmy obaj do windy bardzo ciasnej, ledwo mieszczącej dwie osoby, i ruszyliśmy...

Z windy wyszliśmy wprost na wielki płaski dach, terasę nad renesansową partią zabudowań pałacu watykańskiego, gdzie mieszczą się pokoje mieszkalne Papieża. Cały ten dach został przez Pawła VI zamieniony na pusty teren otoczony murkiem, na pewnej przestrzeni nawet krytą pergolą, z dołączoną krytą kaplicą, miejscem do odpoczynku w cieniu i pod dachem; całość przeznaczona do samotnego spaceru, zarówno w pogodę, jak i w deszcz. Było zupełnie ciemno, gdy znaleźliśmy się na tym dachu. Wrażenie było wstrząsające, sceneria niezrównana. Dominowała świadomość niezwykłości tej chwili. Oto znajduję się sam na sam z Papieżem, w ciemną wygwieżdżoną noc na dachach Watykanu. Stanęliśmy przy murku twarzą ku placowi Św. Piotra. Na prawo górowała nad wszystkim jasno oświetlona na biało, ogromna kopuła Piotrowej Bazyliki. Pod nami tętniący życiem Rzym;

całe morze światła i samochodów – i przypatrujące się temu białe postacie świętych nad kolumnadą Berniniego. Niezwykłym elementem, nadającym tajemniczego sensu tej niezapomnianej chwili, był szybujący bezgłośnie po niebie wielki turystyczny balon jaskrawo oświetlony i wyglądający jak ogromna, wielobarwna, fantastyczna ryba.

Staliśmy tak wsłuchani i wpatrzeni w wyjątkowość przeżywanej chwili. Powiedziałem wówczas do Ojca Świętego: «To wszystko jest naprawdę eschatologiczne». Wówczas padła odpowiedź: «Tak, tak. Nawet jedna pani w Krakowie, gdy jechałem na konklawe, nie chciała mi życzyć wyboru, gdyż twierdziła, że papież-Słowianin to znak rychłego końca świata!» Żartobliwość tonu łączyła się w tej wypowiedzi z jakąś bardzo głęboką afirmacją eschatologiczności momentu dziejowego, w jakim się znajdujemy.

Zaczęliśmy spacerować po ciemku dookoła całej terasy. Moich osiem spraw wywietrzało mi z głowy, a kartki nie mogłem odczytać w ciemnościach. Wreszcie wysiłek pamięci pozwolił mi odtworzyć treść tego, co chciałem przedstawić. Jak za dawnych czasów w Polsce, mogłem z całą szczerością i otwartością mówić o najważniejszych sprawach związanych ze stanem studiów i badań naukowych (filozoficznych, historyczno-filozoficznych i teologicznych) w Polsce, a także o moich osobistych problemach i trudnościach w tej dziedzinie. Na każde z poruszanych przeze mnie zagadnień otrzymywałem rzeczową, zwięzłą odpowiedź. Czulem, że czas ofiarowany mi kończy się – i że Ojca Świętego czeka jeszcze wiele nocnej pracy. Zjechaliśmy na dół, do apartamentu. Opuszczałem Watykan zupełnie oszołomiony tym, co dane mi było przeżyć. Wydawało mi się, że wracam na ten padół po odbyciu jakiejś podróży dantejskiej po samej granicy świata widzialnego, jak gdyby na styku tego, co widzialne i co niewidzialne.”

*

Drugim wydarzeniem, o którym chcę parę słów powiedzieć, było pierwsze od czasów lubelskich spotkanie w roku 1986 – na zaproszenie Ojca Świętego – naszej „filozoficznej grupy KUL-owskiej” w Castel Gandolfo; jakby dalszy ciąg odbywanych niegdyś na KUL-u ważnych dyskusji.

„18 września o godz. 6 rano, gdy było jeszcze zupełnie ciemno, zajechał po nas ks. Adam Boniecki. Przepiękna była to droga o wschodzie słońca, w bajecznie pogodny dzień. Jechaliśmy przez różne zaułki,

a potem wjechaliśmy na via Appia. Gdy zajechaliśmy na podwórze pałacu w Castel Gandolfo, było jeszcze ciemnowo. Koło naszego samochodu zjawił się od razu ks. Dziwisz, a za chwilę zauważyliśmy, że zajechał równocześnie z nami mikrobusik, z którego wysypało się kilkanaście małych sióstr, a wśród nich, ku naszej wielkiej radości, *petite soeur* Marie-Germaine! Stawili się też na podwórzu o. Albert Krąpiec i Jerzy Kalinowski, który przyjechał z Francji samochodem ze swoim znajomym, ks. Molino. Prawdziwy «zjazd gwiazdzisty»; przybywając z różnych stron świata, stawiają się uczestnicy spotkania dokładnie w ustalonym miejscu i czasie.

Całą naszą gromadkę prowadzi ks. Dziwisz do kaplicy, gdzie – zgodnie z ustalonym obyczajem – Papież klęczy na osobnym klęczniku w środku kaplicy i długo, w zupełnej ciszy, modli się. Około dziesięciu księży (a wśród nich Albert i towarzysz Jerzego Kalinowskiego) koncelebruje z Ojcem Świętym. Poza Marie-Germaine pozostałe małe siostry pochodziły z różnych krajów azjatyckich; one właśnie wykonywały wszystkie partie śpiewane zgodnie z obyczajami ich stron rodzinnych. Zawsze przejmuję mnie do głębi tchnienie uniwersalizmu kościelnego.

Po Mszy św. bardzo serdeczne powitanie naszej gromadki z Ojcem Świętym i pierwsze śniadanie przy stole, na środku którego stoi wielki owalny, niziutki wazon pełny krótko obciętych żółtych lilii. Nastrój jak zawsze prosty, domowy, odprężony i serdeczny. Dowiadujemy się, że zostaliśmy zaproszeni do Castel Gandolfo na cały dzień – i zostaje nam też podany program: po rannym, śniadaniowym spotkaniu (które trwało prawie godzinę i podczas którego poruszaliśmy już kilka tematów) Ojciec Święty ma swoje zajęcia i audiencje aż do obiadu, my zaś przed południem mamy wolne. Od obiadu aż do wieczora Ojciec Święty chce być z nami – i poświęca ten czas na spotkanie filozoficzne ze swoimi dawnymi kolegami wydziałowymi z KUL-u. Ponieważ oszedł już z tego świata ks. Stanisław Kamiński, zostało nas – wraz z Karolem Wojtyłą – czterech, i ta właśnie czwórka spotkała się teraz z inicjatywy papieskiej po raz pierwszy od czasów, gdy takie spotkania odbywały się niegdyś w Lublinie.

Po śniadaniu przydzielono nam pokoje gościnne i salon, wszystkie wychodzące na ogromną terasę skąpaną w słońcu, z której roztacza się nieopisanie piękny widok na część parku zamkowego i na położone o jakieś sto metrów niżej wspaniałe wulkaniczne jezioro. Z Albertem

Krąpcem i Jerzym Kalinowskim widzujemy się bardzo rzadko, więc wykorzystaliśmy tę wyjątkową okazję, aby porozmawiać na temat wielu interesujących nas spraw. W tzw. międzyczasie moja żona, Maryś, odbywała długą rozmowę na tematy polskie z p. Wierusz-Kowalskim, odpowiedzialnym za fundację rozdzielającą stypendia młodym Polakom przebywającym za granicą. Z tych rozmów wyrwał nas ks. Dziwisz, który pokazał nam przed obiadem cząstkę sławnego tamtejszego parku. Podczas obiadu z Ojcem Świętym zaczęła się już rozmowa o współczesnej sytuacji filozofii. Rozmowę tę mieliśmy rozwinąć po sjeście.

Po odpoczynku, gdy wielka terasa znalazła się w cieniu (a w tych dniach było w Rzymie i okolicy upalnie), spotkaliśmy się z Ojcem Świętym przy kawie na tej oczekiwanej i przygotowywanej rozmowie. Cieszyłem się, że i Maryś mogła być na niej obecna. Zgodnie z moją propozycją postanowiliśmy, że rozmowa nasza nie powinna przebiegać bezplanowo, lecz że każdy z nas przedstawi swój punkt widzenia na centralne zagadnienie organizujące to spotkanie: jaka powinna być współcześnie rola tzw. filozofii klasycznej w szkołach tworzonych przez Kościół lub przez niego kierowanych. Na zakończenie poprosimy Ojca Świętego o podsumowanie i o Jego myśli na ten temat.

Dano mi głos jako pierwszemu. Przedstawiłem więc moje *pro memoria*, które obejmowało cztery punkty: 1. Czym jest filozofia klasyczna? 2. Jak można dziś przyswajać sobie tę filozofię? 3. Jaką rolę powinna spełniać ta filozofia klasyczna wobec teologii i ewangelizacji? 4. Jakie są najważniejsze bolączki dotyczące uprawy filozofii na terenach zależnych od Kościoła?

W dyskusji wnosili każdy z obecnych nieco inne spojrzenia odkrywające różne aspekty sytuacji, w jakiej znajduje się obecnie metafizyka i antropologia św. Tomasza, najbardziej dojrzałe owoce klasycznej filozofii. Perspektywa, z jakiej patrzy na te sprawy Ojciec Święty, jest oczywiście najszersza – obejmuje naprawdę cały świat, Albert Krąpiec zna dobrze stosunki polskie i amerykańskie, Jerzy Kalinowski przebywa przez prawie trzydzieści lat we Francji, ja zaś – poza Polską – znam trochę położenie filozofii w ogóle i myśli św. Tomasza we Francji i we Włoszech.

W tej wymianie myśli ostatni zabrał głos Ojciec Święty, który przedstawił swoją drogę filozoficzną. Wymienił przy tym nazwiska czterech autorów i nauczycieli wprowadzających Karola Wojtyłę w tajniki «klasycznej filozofii»: Kazimierz Wajs, Reginald Garrigou-Lagran-

ge. Paul Philippe, Ignacy Różycki. Zetknięcie się z tym światem myśli było dla młodego ks. Wojtyły wielkim wstrząsem; mniejszym był kontakt z twórczością Maxa Schelera.

Niezmiernie ciekawa, gorąca i twórcza była wymiana myśli tego niezapomnianego popołudnia i wieczoru w niezrównanej scenerii i w niepowtarzalnym układzie zespołu i okoliczności. Przeciągnęła się ta rozmowa i na spóźnioną wieczerzę. Około godz. 9 wieczorem nastąpiło pożegnanie; spotkała się serdeczność i dobroć Ojca Świętego z wdzięcznością naszą, uczestników tego wyjątkowego spotkania. Zostaliśmy jeszcze obdarowani i odesłani autem watykańskim do Rzymu.”

*

Wiele innych, podobnych spotkań opisałem w moich wspomnieniach. Każde z nich było inne, swoiste, niepowtarzalne. We wszystkich jednak ośrodkiem i głębokim sensem każdego z nich była osoba Jana Pawła II. Jesteśmy świadkami gigantycznie wielkich spraw. Nie mamy jeszcze odpowiedniego dystansu, by dojrzeć i w pełni ocenić ich wielkość. Jedną z naczelnych wartości duchowych naszych czasów jest niewątpliwie Jan Paweł II – prawdopodobnie największy z następców św. Piotra na przestrzeni wielu wieków. Jest zdumiewające, jak ta oszałamiająca wielkość w bezpośrednim kontakcie jest bliska, pełna miłości, prostoty i otwartości dla naszych małych, ale najgłębiej nas dręczących spraw. Każde z tych spotkań ma wartość wykraczającą daleko poza wszelkie dostępne nam oceny.

Prof. KLEMENS SZANIAWSKI, filozof

Jak należy rozumieć słowo „spotkanie”? Czy wyłącznie jako rozmowę, jako nawiązanie kontaktu osobiste? Jeśli tak, to – w przeciwieństwie zapewne do większości współautorów tej książki – nie mogę mówić o moich spotkaniach z Janem Pawłem. Kilkakrotnie się z Nim zetknąłem: kościół Kapucynów w Warszawie – rok 1983, aula Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego oraz kościół Św. Krzyża w Warszawie – rok 1987. Uścisk dłoni, kilka słów świadczących – ku mej radości – o rozpoznaniu, to wszystko, na co pozwalały okoliczności. Mogłem liczyć na coś więcej w Watykanie, planowałem taką podróż, ale przez szereg lat nie wolno mi było wyjeżdżać z Polski, więc plany się nie zrealizowały. Czytelnika tych słów proszę o wybaczenie, że zaprzętam mu uwagę swoimi sprawami osobistymi. Wyjaśnienie było konieczne, gdyż tytuł książki obiecuje więcej, niż mogę spełnić. Chyba że słowu „spotkanie” nadamy sens szerszy, częściowo metaforyczny, a w każdym razie niesymetryczny: to ja spotykałem Jana Pawła, a nie On mnie.

Spotkałem Go w sensie fizycznym, widząc Go, gdy odprawiał Mszę na stadionie czy też – w cztery lata później – gdy modlił się w milczeniu przy ołtarzu, od którego mówił kiedyś do nas ks. Jerzy Popiełuszko. Widziałem Go wielokrotnie na ekranie telewizora – poczynając od pamiętnego dnia, gdy został wybrany papieżem. Słuchałem Jego słów przez radio, czytałem Jego teksty. Wreszcie, a nie jest to najmniej ważne, często o Nim myślałem. To wszystko są spotkania, jeśli się zgodzimy na rozszerzającą interpretację słowa.

Czym były dla mnie te spotkania – oto pytanie kluczowe i najtrudniejsze zarazem. Odpowiadając na nie pragnę oddzielić, jeśli to możliwe, Papieża od człowieka, który jest papieżem. Ten pierwszy działa i wypowiada się mocą swego urzędu, jest przezeń wyniesiony poza osąd zwykłych ludzi, jest przezeń także ograniczony. Ten drugi urodził się

jako Karol Wojtyła, jeden z nas, i pozostał takim mimo niewyobrażalnie wielkiego dostojęstwa i ciężaru, jaki na Nim od dziesięciu lat spoczywa. Jest profesorem filozofii i poetą, taternikiem i narciarzem, zaprzyjaźnionym od lat z wieloma bardzo mi bliskimi ludźmi. I o Nim tylko chciałbym tu mówić, chociaż spotykając Go pamiętam zawsze, kim jest ponadto.

Najkrócej można by powiedzieć tak: spotkania z Janem Pawłem pomagały mi. Łatwiej się jakoś zgodzić na ten trudny czas, który nam przypadł w udziale, kiedy się pomyśli o Człowieku w bieli, sięgnie po Jego słowa, przypomni okoliczności, w których zostały do nas wypowiedziane. Stwierdziłem to wielokrotnie i czasem się zastanawiałem, dlaczego tak się dzieje.

Niektóre przyczyny wskazać łatwo. Jan Paweł ma wielki, rzadko spotykany dar słowa. Jego tajemnicą jest prostota, z jaką nieomylnie trafia do serca słuchacza. Przytoczę jeden z wielu przykładów: słowa, którymi powitał udręczony stanem wojennym kraj, wiosną 1983 roku na lotnisku w Warszawie: „Pokój Tobie, Polsko, ojczyzno moja. Pokój Tobie”. Myślę, że nie tylko mnie dźwięczy do dzisiaj w uszach to powitanie. Takich spotkań się nie zapomina. Pozostają w pamięci jako coś niezmiernie cennego, jak przyjazna ręka wyciągnięta w wyjątkowo trudnej chwili.

Niemniej ważne jest, że kiedy Go słucham lub czytam, mam zupełną pewność intencji, z jaką się do mnie zwraca. Od tego człowieka promieniuje mądra dobroć. Trudno mi sobie wyobrazić, żeby tego nie odczuwał każdy, kto się z Nim spotyka. Ale może nie wszyscy w jednakowym stopniu?

Chciałbym tu poświęcić chwilę uwagi pytaniu, czy na moich spotkaniach z Janem Pawłem waży fakt, że jest On Polakiem. Otóż tak, to jest dla mnie ważne. Ale w jakim sensie? Mówi się niekiedy, że dokonany przed laty wybór schlebia naszej dumie narodowej, że każdy czuł się wtedy w jakiejś mierze wyróżniony, jak gdyby miał swój udział w wielkim polskim osiągnięciu. Zapewne niejeden z nas tak to odczuwał i trudno się owych uczuć wypierać. Ale w polskości Jana Pawła jest przecież coś znacznie dla mnie ważniejszego: wspólnota doświadczeń życiowych, która staje się warunkiem pełnego zrozumienia.

Karol Wojtyła przeżył z nami ponad pół wieku. Kształtowały Go te same lektury, krajobrazy, wydarzenia. Myślał w tym samym języku.

Uczestniczył w losie narodowym, miał w nim swój ważny udział. Cóż więc dziwnego, że będąc tym, kim jest – człowiekiem o niezwykłych darach ducha – wyrobił sobie „słuch absolutny” na Polskę. Dlatego spotkania z Nim tak wiele dla nas znaczą. Ich treść dobrana jest bezbłędnie do tego, co jest w danej chwili naczelną potrzebą duchową uczestnika. Na Zaspie w Gdańsku, na Błoniach krakowskich czy gdziekolwiek indziej.

Rozmaicie można tę więź na własny użytek symbolizować. Ja ją sobie w pełni uświadomiłem, kiedy latem 1981 roku zawędrowałem do Wadowic. Pokazano mi dom, w którym spędził dzieciństwo Karol Wojtyła. Popatrzyłem na to ubogie miejsce, na wąską uliczkę, która je dzieli od kościoła, i spróbowałem sobie wyobrazić przeżycia chłopca, który się tu chował. Doznałem szczególnego wzruszenia. To także było moje spotkanie z Janem Pawłem.

ANDRZEJ SZCZYPIORSKI, *pisarz*

Jest obecny w moim życiu od ponad dwudziestu lat. Jako bardzo mądry, bardzo odważny człowiek, a także wzór kapłana i duchowego przewodnika. Jego wybór na tron papieski w październiku 1978 roku przeżyłem niesłuchanie głęboko jako Polak i chrześcijanin, ale nie był dla mnie zaskoczeniem, nawet wydał mi się oczywisty, bo myślałem sobie wtedy, że kogóż mieli właściwie wybrać kardynałowie, jeśli nie Jego...

*

Na początku lat siedemdziesiątych doszedłem do przekonania, że system totalitarny przekształca się dość osobliwie. Utracił swoje dawne kły i pazury, nie jest jak dawniej krwiożerczy, nabrał pewnej ogłady, by schlebiać cywilizowanemu światu, lecz właśnie te przeobrażenia, świadomie zaplanowane i realizowane, zarówno w Moskwie, jak w Warszawie, stają się szczególnie groźne z punktu widzenia moralnego. W przeszłości system był moralnie odrażający, posługiwał się bezprawiem, okrucieństwem, a jego zło wydawało się niemal dotykalne. Każdy jako tako rozsądnie myślący człowiek zdawał sobie sprawę, że niepodobna wiązać nadziei na przyszłość z komunistyczną praktyką życia społecznego, jeśli się chce zachować wewnętrzną przyzwoitość. Ale w latach siedemdziesiątych ludziom w Polsce zaczęło się lepiej powodzić, kiełbasa w celofanie i teflonowa patelnia gwałtownie zmieniały krajobrazy gospodarcze, pojawiły się szanse na lepszy byt codzienny, na cywilizacyjny awans, i w ten sposób nowe aspiracje stawały się coraz powszechniejsze. Wszystko to szło w parze z forsowną sowietyzacją kultury i obyczajów, była to całkiem nowa metoda działań partii, polegająca na konsekwentnym i sprytnym korumpowaniu poszczególnych grup społecznych, na kokietowaniu człowieka owym coraz bardziej obecnym w Polsce „mieć”, aby w ten sposób zniechęcić go do owego „być”, które wymagało coraz więcej wyrzeczeń, a także ryzyka.

Był to więc obliczony na czas dłuższy proces polityczny, który miał w bardziej skuteczny sposób obezwładnić w Polaku jego polskość, w chrześcijaninie jego chrześcijaństwo.

Już nie przy pomocy terroru, a także bez szczególnych nacisków ideologicznych, lecz dzięki zabiegom korupcyjnym, realizowanym w sposób całkiem bezwstydnym, usiłowano – z pewnym powodzeniem – zatimizować społeczeństwo i poddać je nowej jakości totalitarnej.

W tamtym czasie, przerażony powodzeniem owych zabiegów, które tak wyraźnie prowadziły do upadku zasad, do wykruszania się postaw obywatelskich, do pogłębiania niezdrowej „prywatności”, do tych wszystkich złych następstw społecznych początku lat siedemdziesiątych, o których dzisiaj nie lubimy pamiętać – postanowiłem na swój ograniczony sposób podjąć walkę z niepokojącymi symptomami nowej sytuacji. Chciałem napisać książkę o ludziach, których uważałem za *sui generis* wzory obywatelskie. Jej bohaterami mieli być między innymi kardynał Karol Wojtyła oraz profesor Tadeusz Kotarbiński. Wydawało mi się, że właśnie ci dwaj ludzie, tak odmienni, tak do siebie niepodobni, światopoglądowo dalecy, stanowić mogą jednak model prawości, szlachetności, mądrości, patriotyzmu, także głębi intelektualnej, a co za tym idzie – być drogowskazem moralnym dla wielu czytelników. Nie doszło do powstania tej książki, ale jej zamysł był przedmiotem mojej długiej rozmowy z kardynałem Karolem Wojtyłą i późniejszej z Nim korespondencji.

*

Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z tym niezwykłym człowiekiem. Od pewnego czasu staram się być pokornym Jego synem, bo jako katolik i Polak winienem Ojcu Świętemu posłuszeństwo i miłość. I ten nakaz trochę mi przeszkadza, ponieważ nie jest mi wcale potrzebny, by odczuwać podziw, wdzięczność, szacunek, pokorę, jakie żywiłem dla tego człowieka, gdy jeszcze nie był papieżem, a stanowi dla mnie obarczenie duchowe, ilekroć moje uczucia nie dadzą się nazwać tylko czy może aż podziwem, wdzięcznością, szacunkiem i pokorą.

W tym sensie zazdroścę czasem moim krakowskim przyjaciółom, którzy od niepamiętnych czasów mieli bliskie, koleżeńskie niemal kontakty z Papieżem, a zatem są wobec Niego całkiem swobodni, bo kochając Go znają także Jego słabości i wady – jest przecież człowiekiem, pełnym, wspaniałym, radosnym, lecz także tragicznym, bo na tym

mądrość ludzka polega, by zdawać sobie sprawę ze świętości i tragizmu naszego losu na ziemi, ze świętości i tragizmu tej naszej skończoności, która każdego, nawet Papieża, napawa chyba jakimś lękiem, niepewnością, wahaniem, bólem, a zatem dopiero w obliczu tej naszej skończoności, zbliżając się do niej – nabieramy dojrzałości, nabieramy jakiejś pełni, siły, wiedzy o nas samych – otóż gdy o papieżu Janie Pawle myślę, to chciałbym o tej stronie Jego duszy wiedzieć więcej, chciałbym mianowicie wiedzieć, w czym jesteśmy podobni, czy obaj tak samo słabi, czy jednak On mnie w dojrzałości wyprzedza, a jeśli tak, to na czym ta dojrzałość polega, czy mogę ją osiągnąć, w jaki sposób, co mi czynić wypada, aby się do tej dojrzałości przybliżyć, jeśli to w ogóle możliwe, jeśli to w ogóle Papież osiągnął; i te wszystkie wahania, wątpliwości, nadzieje, lęki stanowią miejsce naszych spotkań, niemal codziennych od wielu lat, spotkań nadzwyczaj dla mnie ważnych, a jednak trochę irytujących, trochę także nieszczerych, bo wciąż spotykam Ojca Świętego, to się wiąże z pewnymi nakazami, nie mam w sobie należytej swobody, także tej, powiedziałbym – swobody bluźnierczej, która jest człowiekowi niezbędna, kiedy poszukuje własnej prawdy, tej najważniejszej, bo nie wyuczonej przez innych, nie przekazanej dzięki tradycji albo pochodzeniu, lecz owej prawdy zdobytej samotnie, w bólu, udręce i lęku.

Można być heretykiem wobec siebie samego, wobec bliźnich, także kapłanów. Myślę, że można być nawet heretykiem wobec Pana Boga, bo On jest samą wyrozumiałością, miłosierdziem i miłością. Najtrudniej być heretykiem, kiedy się myśli o tym wielkim człowieku z Rzymu, bo chciałoby się dać Mu w darze tylko to, co Go uraduje, sprawi satysfakcję, przyda siłą, a nie utrapień i zgryzoty.

Więc właśnie dlatego są te moje wyimaginowane spotkania z Papieżem pełne skrępowania, niedopowiedzeń i przemilczeń, bo to jest rzecz ludzka, że kiedy kogoś kochamy, szanujemy i życzymy mu najlepiej z całego serca, to raczej wybieramy nieszczerość niżeli słowo, które może zadać ból.

W tym sensie jest papież Jan Paweł moim najtrudniejszym partnerem duchowym spośród wszystkich ludzi na świecie. I właśnie dlatego jest partnerem najważniejszym, wymagającym największej wewnętrznej mobilizacji, tej strzelistości duszy, bez czego nikt nie może się nawet otrzeć o myśl o zbawieniu.

ALEKSANDRA ŚLĄSKA, *aktorka*

Każde moje spotkanie z Ojcem Świętym było wielkim przeżyciem; każde zupełnie inne, wszystkie niezapomniane.

To, podczas którego danym mi było poznać jakby cząstkę Jego Tajemnicy, odbyło się w kościele Ojców Kapucynów w Warszawie, w czasie uroczystości jubileuszowych ku czci króla Jana Sobieskiego.

Na ulicy Miodowej zastałam zbity, gęsty tłum. Przedstawiciele służby porządkowej z wielkim wysiłkiem pomagali osobom posiadającym zaproszenia przedostać się do kościoła. Kiedy udało mi się przebyć tę trudną drogę i nareszcie mogłam przyklęknąć przed ołtarzem, ogarnęło mnie mieszane uczucie radości, szczęścia i jednocześnie jakby zażenowania wobec tych wielu, którzy musieli pozostać tam na zewnątrz. Rozbiegane myśli poddały się jednak szybko nastrojowi uroczystej pogody emanującej z tyłu znanych i nieznanymi twarzy wokół mnie.

Tę ogromną wzajemną życzliwość, to wspólne skupienie jednoczące wszystkich obecnych rozpraszało coraz częstsze zwracanie się ku drzwiom kościoła. Zaczął bowiem mijać czas wyznaczony na rozpoczęcie uroczystości. Domyślaliśmy się, że Papieża zatrzymują ważne oficjalne rozmowy, które teraz dla nas prowadzi. A mimo to nasze spojrzenia uparcie uciekały w kierunku ulicy. W takiej właśnie chwili zauważyłam siedzącą w następnej ławce, tuż za mną, drobną skuloną postać kobiecą. Tak bardzo nieobecną, o wyrazie twarzy tak tragicznym, tak jaskrawo kontrastującym z ogólnym nastrojem niecierpliwego, radosnego oczekiwania, że nagle sama odczułam jej głęboki, dotkliwy ból.

Tak, to nie kto inny, tylko ona, żywa Mater Dolorosa – matka Przemyska... I od tego momentu już tylko dla niej pragnęłam i modliłam się gorąco, aby Ojciec Święty mógł przybyć na pewno i jak najprędzej.

Kiedy usłyszeliśmy okrzyki powitania dochodzące z ulicy i kiedy wszedł do kościoła – tak jak zawsze, kiedy danym mi było znaleźć się w kręgu Jego obecności – spłynęło na mnie uczucie ulgi i bezpieczeństwa.

Zaczęła się uroczystość jubileuszowa. Wspólne modlitwy wyłączyły mnie z rzeczywistości, poddałam się nastrojowi wszechogarniającego spokoju i skupienia.

Z wdzięcznością i pokorą przyjąłam błogosławieństwo, a w chwilę po tym spostrzegłam ze zdziwieniem, że Ojciec Święty schodząc ze stopni ołtarza i kierując się ku wyjściu podaje każdemu z obecnych dłoni. Natychmiast zaczął się tworzyć wokół Niego coraz ciaśniejszy krąg. Poprzez gąszcz wyciągniętych dłoni usiłowali przedstawiciele ochrony torować Mu drogę, a towarzyszący duszpasterz podpowiadał nazwiska witanych osób; bo przecież nie wszystkich Ojciec Święty pamiętał, nie wszystkich znał.

Z uśmiechem i tylko Jemu właściwą dobrocią, cierpliwością odzajemniał ten tak bardzo upragniony, tak ważny dla każdego uścisk dłoni – to jakby osobiste przypieczętowanie błogosławieństwa.

Podchodził coraz bliżej ławek, w których wszyscy powstaliśmy.

Widziałam Go tak dobrze, słyszałam wypowiedane słowa i nazwiska. Tyle nazwisk! Przerazały mnie te wszystkie wyciągnięte ręce pragnące Go jakby dosięgnąć, pochwycić. Jak zdoła się przed nimi wybronić? Jak wybrania się wszędzie przed tłumem całego świata? I coraz lepiej, coraz bliżej widziałam Jego oczy. Uśmiechały się łagodnie do każdego, ale okrywała je cieniutka mgiełka czegoś trudnego do określenia – jakby nieobecności. „Modli się – przemknęło mi przez myśl – jest z nami i modli się za nas...”

I właśnie w tym momencie, kiedy sama poczułam ciepło Jego ręki, kiedy trwałam jeszcze w ułamku tej chwili, tuż za mną powstało jakby małe zamieszanie. Z pewnym trudem zaczęłam orientować się, że pomagano wyjść z ławki drobnej kobiecie z pochyloną głową. Zatrzymała się cała grupa idąca z Papieżem, opadły najbliższe wyciągnięte ręce.

W otoczeniu tłumy stał biały, ciągle jeszcze łagodnie uśmiechnięty Papież i mała, czarna, smutna kobieta. Ktoś uniósł jej rękę, rozległy się szepty: „Przemyk... matka... Grześ...”

Powoli, jakby wracając z dalekiej nieobecności, na twarz Ojca Świętego spłynął wyraz bólu pomieszanego z dobrocią i czułością. I wtedy nagle padły wyraźne słowa wypowiedziane tuż zza pleców matki Grzesia: „Ona nie chce żyć”.

Na ułamek sekundy cały kościół ogarnęła cisza.

W oczach Ojca Świętego pojawił się błysk, zapaliło się światło i zwężone źrenice jak dwa lasery z całą intensywnością unieruchomiły w sobie oczy kobiety. Stał czas...

W najwyższym napięciu wszyscy otaczający te dwie wpatrzone w siebie postacie trwali w bezruchu.

Powoli, spokojnie wyciągnął Ojciec Święty ramiona i mocno przygar-
nął matkę Grzesia do siebie...

Przejmująca siła tego wielkiego Aktu Przyjęcia w Opiekę wyzwoliła i mnie na zawsze z l ę k u.

Prof. JERZY TCHÓRZEWSKI, malarz

Malowałem, kończyłem już malować tego dnia, bo wybieraliśmy się z żoną do synostwa, mieszkających w odległej dzielnicy. W pewnej chwili rozdzwoniły się dzwony, wszystkie dzwony, których głos dochodzi do naszego domu, chyba zatem wszystkie dzwony Warszawy. Zastanowiło to nas – dzwony nie biją bez powodu, bez ważnego powodu, tym bardziej wszystkie dzwony. Wydarzyło się coś – co się wydarzyło ważnego? Serce dzwonu w jednakowy sposób uderza w swój metalowy kielich, lecz inaczej uderza w nasze serca, zależnie od tego, co obwieszcza – smutek, radość czy trwogę. Ale trzeba wiedzieć, co obwieszcza. Szofer taksówki też nie wiedział. „Dzwony biją w całej Warszawie, coś się stało.” Wsiadamy z taksówki, schody, mieszkanie syna, naciskamy dzwonek. Drzwi otwiera syn, roziskrzona oczy, wyrzuca pośpiesznie: „Kardynał Wojtyła papieżem”. Nie wierzymy własnym uszom. Nie, wierzymy, przecież te dzwony... Dzwony już chyba umilkły, teraz serca biją nam jak dzwony. Nam? Chyba wszystkim moim rodakom, jak Polska długa i szeroka. A więc: *Habemus Papam*. Nigdy w tysiącletniej historii mojego kraju to sakramentalne *habemus* nie brzmiało w Polsce tak dosłownie, tak szczególnie, tak radośnie. I podniosły się serca. A był to czas, kiedy nasze serca pełzały już prawie po ziemi.

Było to moje (nasze) pierwsze spotkanie z Janem Pawłem II. Ten, do tej chwili biskup Krakowa, teraz jako biskup odległego Rzymu, stanął nad nami, stanął wśród nas, przed każdym z nas, i choć należał już do całego świata, stał się nam bliski, stał się nasz jak nigdy dotąd. I Rzym stał się nasz jak nigdy dotąd, stanął między Jasną Górą a Wawelem, stał się duchową stolicą Polski.

A świat oniemiał – zrządenie Opatrzności było zdumiewające i zastanawiające równocześnie.

Najstraszniejsze piekło (II wojna światowa), jakie w swoich dziejach przeżyła ludzkość, wygasło już wprawdzie, ale czy rzeczywiście wygasło?

Z obłądnym uporem podtrzymywano tu i tam jego szatański żar, z obłądnym pośpiechem i uporem pracowano nad sposobami, aby w razie potrzeby w jednym okamgnieniu wzniecić z tego żaru płomień przekraczający ludzką wyobraźnię, grożący totalną zagładą. Tak zachowywała się ludzkość już wtedy, kiedy dopiero co wyszła z piekła i to rzekomo po to, aby powtórnie w nim się nie znaleźć. A ludzie? Na naszej ziemi, której los wyznaczył miejsce w samym centrum tego potwornego piekła, poeta pisał:

*...szukam nauczyciela i mistrza
niech przywróci mi wzrok słuch i mowę
niech jeszcze raz nazwie rzeczy i pojęcia
niech oddzieli światło od ciemności...*

I tego szukali, tego pragnęli ludzie „ocaleni prowadzeni na rzeź”, i to nie tylko w naszym, najbardziej udręczonym kraju. No i znaleźli „nauczycieli i mistrzów”. Nie, ludzie ich nie znaleźli, znalazła ich ludzkość. Bo ludzie, nawet wszyscy ludzie, jakkolwiek brzmi to paradoksalnie, to nie ludzkość. Różnica między liczbą mnogą wyrazu „człowiek” a pojęciem „ludzkość” jest o wiele większa niż różnica między pojedynczym człowiekiem a tłumem, bo z tłumy można się przynajmniej wycofać. Powtarzam, „nauczycieli i mistrzów” znalazła ludzkość, jako stado. Ale piekło trawi ogniem, spala, spopiela nie tylko ciała i rzeczy, również zaczadza dusze i umysły, paraliżuje nawet instynkt samozachowawczy stada. Toteż nie zwracano uwagi na to, że niektórzy „nauczyciele i mistrzowie”, jak np. Stalin, mieli na rękach niewinną krew. Jakie to mogło mieć znaczenie, skoro te ręce miały przynieść szczęście całej ludzkości. Człowiek, poszczególny człowiek to pyłek w kosmosie, kropla w oceanie. Mówiono oczywiście również o człowieku, pięknie zredagowano kartę praw człowieka i wszyscy się pod nią podpisali, ale nawet wymawiając słowo „człowiek” myślano o ludzkości. Bo nowi nauczyciele-ideolodzy zajmowali się ładem społecznym i moralnym całej ludzkości.

Aby go zaprowadzić, musieli wytępić zło, a zło jest przecież w człowieku. Świat się spieszył do ziemskiego raj, szkoda było czasu na „leczenie” chorych (złych) wrogów ludzkości, należało ich zlikwidować. Kogo? – wskazywali nauczyciele-ideolodzy. I piekło pod kryptonimem raj, teraz już nie w glorii łun, płomieni i furii wojennej, lecz przy

dźwiękach hymnów o szczęściu, braterstwie i pokoju, prowadziło nadal intensywnie i skutecznie swoje dzieło. Jak skutecznie, wiedziały o tym początkowo ofiary i ich najbliżsi, od nich dowiadywali się inni ludzie, ale ci często bali się o tym mówić, aby nie podejrzewano ich o sprzyjanie złu, albo bali się nawet w to wierzyć lub przynajmniej nie wierzyli, że również ich to spotkać może. Jeszcze inni po prostu uwierzyli w ostateczny triumf zła, w śmierć Boga i śmierć człowieka i starali się najwyżej w swoim osobistym przypadku zło przechytrzyć. W kościołach kapłani powtarzali codziennie cichym, skupionym głosem słowa Ewangelii, wierni słuchali ich w skupieniu lub roztargnieniu, ale często zaraz po wyjściu z kościoła zmieniali krok i chcąc nie chcąc maszerowali przez życie w takt dziarskich, ideologicznych marszów, których hasła zagłuszały słowa Chrystusa. Rozdzierały się serca, umysły i sumienia. Czy tak było wszędzie? – Nie, nie wszędzie. Świat był rozdarty, podzielony na dwie ostentacyjnie wrogie sobie strefy, a i w obrębie tych stref były i stale powiększały się podziały. Ale granicy dzielącej te dwie opozycyjne strefy nie dałoby się zrazu prosto i jednoznacznie porównać do granicy pomiędzy Dobrem i Złem, jakkolwiek stopień zanieczyszczenia atmosfery moralnej w obu tych strefach był wyraźnie różny. Zresztą z tej radykalnej opozycji wynikło paradoksalne sprzężenie zwrotne, jakiś wspólny szatański mianownik, który zamazywał wyraźne znaki jakości i wprowadzał dodatkową konfuzję, utrudniając jasną ocenę sytuacji współczesnego świata. Z czasem jednak obraz tej sytuacji stawał się coraz wyraźniejszy. Opadały kolejne zasłony i odsłaniał się przerażający krajobraz „ziemskiego raj”. Ludzkość osłupiała. Człowiek jeszcze stosunkowo niedawno dumny z potęgi swojego umysłu, przekonany, że jest nareszcie niezależny od Boga, który „umarł”, i że wreszcie sam zaprowadzi raz na zawsze ład na ziemi, poczuł się zdegradowany jak nigdy dotąd, przekonał się, że jest rzeczywiście jedynie małą, nic nie znaczącą kroplą w oceanie ludzkości, miotany burzami i kaprysami tego potężnego, nieobliczalnego żywiołu, na rzecz którego rzekł się swojej podmiotowości, suwerenności, ba, nawet godności istoty ludzkiej. Dowiedział się, że ogrom zbrodni dokonanych w imię szczęścia ludzkości przed wojną i już po wojnie nie tylko nie jest mniejszy, ale przekracza nawet jej śmiertelne żniwo, bo ład moralny i szczęście na ziemi zaprowadzono pod hasłami nienawiści, przemocy i pogardy dla człowieka, poszczególnego człowieka, aby stworzyć jakiegoś człowieka zbiorowego, ulepionego z wszystkich istot w jeden nieludzki, bezduszny organizm.

I przypomniały się ludziom słowa Chrystusa – Ewangelia. A Kościół, przez pewien czas sparaliżowany obłędnym obrotem ziemskich rzeczy, zaczął odzyskiwać swoją duchową energię. Dwaj wielcy papieże, Jan XXIII i Paweł VI, skutecznie głosili Ewangelię. Prawda zaczęła demaskować fałsz. Chrystus znów zaczął głośniejszym przemawiać do człowieka, do każdego człowieka. Po krótkim pontyfikacie Jana Pawła I Chrystus powołał na swego namiestnika na ziemi kapłana z tego obszaru świata, na którym szatan odprawił najstraszliwsze swoje obrzędy. Na Stolicy Piotrowej zasiadł Polak, kardynał Karol Wojtyła, arcybiskup archidiecezji krakowskiej, człowiek, który jak wszyscy jego rodacy za życia zstąpił do piekieł, widział ich najgłębsze rejony i najokrutniejsze mechanizmy, a mimo to nie wypuścił krzyża z ręki, wprost przeciwnie – chwycił go mocniej, mocniej się na nim oparł i głosił słowo Boże z wiarą, nadzieją, miłością i odwagą.

Książka, do której piszę ten tekst, nosi tytuł *Moje spotkania z Janem Pawłem II*. Oczywiście te spotkania należy rozumieć szeroko, nie chodzi wyłącznie o spotkania dosłowne. Ja sam spotkałem się – miałem ten zaszczyt i szczęście – z Janem Pawłem II tylko raz, w kościele Św. Krzyża na spotkaniu Papieża z twórcami w roku 1987. Tylko przez moment mój nieprzytomny ze wzruszenia wzrok spotkał się z jasnym, dobrym, życzliwie przenikliwym spojrzeniem tego wielkiego Człowieka. Tego krótkiego momentu nie zapomnę i nie zapomnę tego niezwykłego wzroku. Przypomniał mi się tekst Antoine’a Artaud *Le regard humain*, w którym autor pisze, że malarze wszystkich czasów, malując twarz ludzką, malowali raczej oczy niż spojrzenie, że spojrzenie ludzkie potrafił namalować jedynie van Gogh. Gdybym malował, gdybym odważył się malować Jana Pawła II, starałbym się namalować Jego spojrzenie, Jego wzrok, zdając sobie oczywiście sprawę, jakie byłoby to trudne, ale gdyby się to udało, dopiero wtedy wizerunek tego niezwykłego Człowieka byłby wiarygodny. Ale wracam do rzeczy. Jakkolwiek tych kilka chwil oko w oko z Janem Pawłem II było dla mnie wielkim przeżyciem, nie było to moje jedyne spotkanie z Papieżem. Tych spotkań było dużo, bardzo dużo – wszelkie wizyty Papieża w Polsce, Jego homilie, encykliki, ba, nawet krótkie transmisje z cotygodniowych spotkań Papieża z pielgrzymami z Polski. Właściwie książka ta mogłaby nosić tytuł: *Obecność Jana Pawła II w moim (naszym) życiu*. Bo są spotkania częste lub rzadkie, które trwają tyle, ile trwają, i kończą się rozstaniem, nie pozostawiając większego śladu, i są spotkania nawet

rzadkie i krótkie, które rozstaniem nigdy się nie kończą, które trwają z równą intensywnością po swoim określonym czasie, ponieważ poruszenie, jakie wywołały w naszej świadomości i w naszym sercu, trwa, pozostaje w nas na zawsze. Wydaje mi się, że szczególną i niezwykłą cechą pontyfikatu Jana Pawła II są te Jego niezliczone i niezwykle spotkania z ludźmi, to Chrystusowe obcowanie i rozmawianie z każdym, podkreślam, z każdym człowiekiem. Ten wielki Papież jest pierwszym papieżem wędrującym po całym świecie, odwiedzającym wszystkich ludzi jak proboszcz swoich parafian, mającym niezwykle dar przemawiania do milionów tłumów w różnych krajach, na różnych kontynentach w ten sposób, że każdy poszczególny człowiek z tych nieprzeliczonych tłumów czuje wyraźnie, że Papież mówi do niego osobiście. Jest to dar rzadki i ten dar służy podstawowemu przesłaniu tego wielkiego Papieża, że każdy człowiek ma niezbywalne i jednakowe prawo do podmiotowości i godności ludzkiej, że nie ma i nie może być żadnych racji nadrzędnych, w imię których można by było to prawo pogwałcić; „cokolwiek czyniliście jednemu z tych maluczkich (braci moich najmniejszych), mnieście czynili”, powiedział Chrystus. I człowiek schyłku XX wieku z tym swoim straszliwym kompleksem nieważkości, w który go wtrąciła jego własna pycha i lekkomyślność, powoli, ale wyraźnie zaczyna w to wierzyć. Nasłuchał się wprawdzie różnych deklaracji i haseł o swoich prawach, ale były one albo opatrzone takim komentarzem ideologicznym, który im zaprzeczał, albo były po prostu ostentacyjnie gwałcone. Zapewniano go stale, że myśli się jedynie o jego szczęściu, a w hierarchii wartości był umieszczony stale na samym dole – na górze tej piramidy, którą ona tworzyła, była zawsze ludzkość, wspólnota ideologiczna itp. Początkowo nie zauważył, że ta piramida stoi po prostu na swoim wierzchołku – jak to się mówi, „do góry nogami”, i żeby w takiej pozycji nie runąć, żeby utrzymać jaką taką, choćby bardzo chwiejną równowagę, musi sporą część swego wierzchołka, a zatem miliony ludzi, wepchnąć, wgnieść w ziemię. I tak się stało. I dopiero to przerażające stwierdzenie otworzyło mu oczy. Przesłanie głoszone przez Jana Pawła II o równych prawach każdego człowieka, każdej rodziny, każdego narodu do podmiotowości i suwerenności, przesłanie głoszone niestrudzenie i adresowane bezpośrednio do każdego człowieka, każdego członka wielkiej rodziny człowieczej, utwierdzało go i utwierdza w przekonaniu, że tej piramidy, którą tworzy ludzkość, odwrócić się nie da, że jej struktura po prostu wymaga tego,

aby on, człowiek, każdy poszczególny człowiek, był na jej wierzchołku, a ludzkość stanowiła jej podstawę, bo jest to jedyna gwarancja, że piramida ta nie runie, a on, człowiek, znajdzie się najbliżej Boga. Przecież tak tę strukturę zaprojektował Chrystus-Bóg i człowiek.

Z charakteru przesłania Jana Pawła II i sposobu głoszenia tego przesłania wynika jasno, że tytuł tej książki *Moje spotkania z Janem Pawłem II* nie jest retoryczny, nawet w tym wypadku, jeśli tych dosłownych spotkań nie było. Ileż mógłbym napisać o tych niezapomnianych spotkaniach z Papieżem, jakimi były trzy Jego pielgrzymki do Polski, ale zajęłoby to bardzo dużo miejsca. Zresztą napisano już wiele na ten temat, a skutki tych pielgrzymek, m.in. pierwsze w historii wielkie ruchy społeczne wyrzekające się przemocy, zakodowały się trwale w świadomości całego świata. Ograniczę się więc tylko do jednego dnia tych polskich pielgrzymek Papieża, który m.in. ze względów osobistych był dla mnie szczególnie poruszający. Tego dnia Jan Paweł II stanął na „Golgocie naszych czasów”, na najwyższej Golgocie naszych czasów, bo przecież jest ich wiele w naszym kraju i poza nim, na terenie obozu zagłady w Oświęcimiu. Tam 12 sierpnia 1941 roku w bloku 14, niewykluczone – pewne znaki na to wskazują – że w bunkrze głodowym razem ze św. Maksymilianem Kolbe zginął mój ojciec. Kochałem go nieprzytomnie. Ten wspaniały człowiek jest stale dla mnie niedościgłym wzorem, jest moim prywatnym świętym. Od zakończenia wojny nie wybrałem się nigdy do Oświęcimia. Bałem się. Bałem się, że nie udźwignę ciężaru prochów 4 000 000 pomordowanych, które w mojej wyobraźni wiszą stale nad tym miejscem, że nie wytrzymam siły i grozy tego zbiorowego ostatniego tchnienia tylu konających – bo ono, w moim przeświadczeniu, stale porusza tam powietrze. Bałem się straszliwego stężenia bólu i cierpienia w atmosferze tego skrawka ziemi. Nigdy nie zapomnę tego dnia, kiedy na tym najczarniejszym miejscu na kuli ziemskiej, wypalonym ogniem, który spopielił miliony ludzi, stanęła jasna, biała postać Namiestnika Chrystusa na ziemi. Patrzyłem na nią z bijącym sercem. Otaczały go miliony ludzi i miliony dusz pomordowanych. Dzień był piękny, słoneczny, tak jasny jak jasność wiekuista, której Bóg, wierzę, nie poskąpił nikomu z niewinnie zamęczonych, bo przecież umierał z każdym z nich, zgodnie ze swoimi słowami: „cokolwiek uczyniliście jednemu z tych maluczkich (braci moich najmniejszych), mnieście uczynili”.

Jan Paweł II przybył tu, aby się pochylić nad każdą ofiarą, bo w osobie każdej z tych ofiar ludzkiej nienawiści uśmiercano Boga – cztery miliony razy obłędnie uśmiercano tu Boga. Teraz w osobie swojego Namiestnika na ziemi Jana Pawła II Chrystus ukazał się na tym miejscu najstraszliwszej kaźni, aby dowieść całemu światu, że zmartwychwstał.

Działo się to w naszym udreńczonym kraju.

BOHDAN TOMASZEWSKI, *dziennikarz*

Moje spotkania z Papieżem – wyznam z największą skruchą jako mój ciężki grzech – przeżywałem bardziej z myślą o ojczyźnie aniżeli o Bogu. Kiedy ośmielałem się pisać o naszym Ojcu Świętym – upoważniony zaszczytną propozycją ks. Niewęgłowskiego – całkowita szczerść niechaj idzie w parze ze śmiałością. Dlaczego najpierw ojczyzna, a potem dopiero Bóg? Pan Bóg w swojej nieskończonej dobroci zrozumie mnie i może wybaczy.

Należę do szczególnego pokolenia, które urodziło się i wychowywało w wolnej Polsce. Najpiękniejszy okres życia – dzieciństwo i pierwsza młodość – to było otrzymanie daru wolności i dar ten został przyjęty przez nasze pokolenie jako coś najzwyczajszego. Dar był tym cenniejszy i zachwycający, gdyż dany przez Opatrzność. Jednocześnie z tradycji rodzinnych i wychowania szkolnego wiedzieliśmy, czym był okupiony: walką, ofiarnym poświęceniem i pracą naszych ojców i dziadów, matek i babek. Tę wolność zastaliśmy i była ona czymś tak naturalnym jak każdy budzący się do życia dzień i przychodzący wieczór układające się w kolejne cykle tygodni i miesięcy, tworzące lata Niepodległości.

Losy wojny, mimo upartej walki tego właśnie pokolenia, odebrały mu ten skarb. Przeżywaliśmy tyle rozczarowań, klęsk, niespełnionych nadziei. Wybór Polaka na papieża to było jak odzyskanie Niepodległości. Przecież wychowywaliśmy się w duchu, że wiara i ojczyzna są pojęciami niepodzielnymi. Ukazała się nowa nadzieja, a zarazem rekompensata za to, co przez lata nas spotykało.

Wczesny wieczór październikowy 1978 roku. Akurat wybierałem się do Telewizji, by przeprowadzić ze studia w Warszawie relację z dużej międzynarodowej imprezy sportowej rozgrywanej za granicą. Golilem się w łazience, gdy nagle z pokoju doszedł mnie okrzyk żony, Izabelli: „Jezus, Maria!” Wbiegłem do pokoju. Stała przy radiu rozświetlona radością i wzruszeniem. „Kardynał Wojtyła został papieżem” – powiedziała.

Jechałem samochodem przez Warszawę do studia przy ul. Woroni-

cza i zatrzymywałem się przy każdym przystanku tramwajowym, gdzie stali ludzie, i wołałem: „Polak papieżem!” Widziałem łzy, niektórzy robili znak krzyża na piersi.

W Telewizji zastałem nastrój pełen zaskoczenia, a nawet konsternacji. U ludzi przygotowujących emisję Dziennika Wieczornego dostrzegłem nie radość, ale właśnie konsternację. Swoją relację miałem rozpocząć po Dzienniku z ciasnego pomieszczenia, gdzie stał mikrofon „sportowy”, skąd miałem podgląd na monitorze tego, co dzieje się w studiu Dziennika. Panowała tam panika. Czyjeś ręce zawiesiły w pewnym momencie krzyż na ścianie. Za chwilę inne ręce krzyż zdjęły. Rozpoczął się Dziennik i wtedy jeden ze spikerów podał tę wiadomość nie umiejąc powstrzymać wzruszenia. Zdaje się, że to niekorzystnie odbiło się potem na jego dalszej karierze.

Mszę intronizacyjną oglądałem u znajomych w telewizji. Ograniczę się tylko do jednej chwili z tej niezapomnianej transmisji. Co powie Papież? Nie do świata, ale do nas, Polaków. Co powie? Mówił:

„...Cóż powiedzieć?! Wszystko, co bym mógł powiedzieć, będzie blade w stosunku do tego, co czuje w tej chwili moje serce, a także w stosunku do tego, co czują wasze serca. Więc oszczędźmy słów. Niech pozostanie tylko wielkie milczenie przed Bogiem, które jest samą modlitwą. Proszę was! Bądźcie ze mną! Na Jasnej Górze i wszędzie! Nie przestawajcie być z Papieżem, który dziś prosi słowami poety: *Panno święta, co Jasnej bronisz Częstochowy i w Ostrej świecisz Bramie!* – i do was kieruję te słowa w tak niezwykłej chwili”.

Z nieprzeliczonej liczby słów i nieograniczonego wyboru treści wybrał, tak odczułem i odczuwam do dziś, te właśnie słowa. Po raz pierwszy wtedy przemówił do mnie i powiedział właśnie to, co było mi najpotrzebniejsze. A przecież i On zastanawiał się. Jego słowa: „Co mam wam powiedzieć?”

Plac Zwycięstwa, czerwiec 1979 roku w Warszawie. Po Mszy szliśmy tłumem całą szerokością Krakowskiego Przedmieścia po raz pierwszy od dziesiątków lat wyprostowani jak na jakiejś defiladzie zwycięzców. Tym samym Krakowskim Przedmieściem, na którym przez tyle lat snuli się zgarbieni, osowiali ludzie bez uśmiechu i wiary w lepszą przyszłość. Na plac Zwycięstwa przyszedłem z trudem, jeszcze chory na ciężką grypę. Zdawało się, że nie wytrzymam wielu godzin stania na słońcu. Potem szedłem przez Krakowskie wyprostowany jak inni, raptem całkowicie zdrowy.

W roku 1980 Papież jechał do Paryża. Pędziliśmy z żoną samochodem dniem i nocą z Warszawy, by dotrzeć do Paryża, zanim Papież wyląduje helikopterem na Polach Elizejskich. Zdążyliśmy. Stałem w gęstym szpalerze u wylotu bulwaru St. Germain opodal gmachu Chambres des Deputés. Ukazał się samochód z Papieżem. Podniosły się okrzyki, ludzie wymachiwali trójkolorowymi chorągiewkami. Z trójkolorowej zrobiłem biało-czerwoną i też machałem w stronę zbliżającego się auta. Byłem sam jeden pośród ciżby Francuzów. Papież zbliżał się. Wtem wyrwał mi się okrzyk, jedyny, jaki przyszedł do głowy: „Polska! Polska!” Papież dosłyszał. Odwrócił się w moją stronę. Odnalazł wzrokiem wysokiego mężczyznę stojącego przy krawężniku z polską flagą i miałem pewność, że znak krzyża, który zrobił, przeznaczony był dla mnie. Kiedy samochód oddalił się, stojący obok Francuzi, a także policjanci poczęli mnie ścisnąć i gratulować wyróżnienia, jakie mnie spotkało.

We wrześniu 1981 roku byłem w Rzymie jako sprawozdawca Radia z Pucharu Świata w lekkiej atletyce. Papież przebywał wtedy w Castel Gandolfo. W niedzielę na kilka godzin przed zawodami pojechałem tam dzięki życzliwości ks. Przydatka, który wtedy opiekował się przybyszami z kraju.

Letnia siedziba Papieża. Raptowny, jednoczesny, wzajemny przypływ zbiorowej przyjaźni i solidarnego wzruszenia międzynarodowego tłumu podczas oczekiwania na pojawienie się w oknie Papieża i potem, kiedy mówił do nas. Miałem wtedy uczucie, że stojąca opodal Japonka pochodzi z Łowicza, tamten Brazylijczyk urodził się w Suwałkach, a grupa rozśpiewanych Włochów jakby przyjechała wprost z Krakowa, jak stojąca obok grupka polskiej młodzieży, która spod Krakowa przybyła tu naprawdę. Szczególnie wzruszony był pewien Turek, którego przed wejściem rewidowano jak wszystkich, nie – może z dodatkową dokładnością. Padł więc na kolana, uniósł ręce i wołał gestykułując: „Tak, rewidujcie mnie dokładnie, bo jestem Turkiem”. Płakał, chciał dalej iść na kolanach.

Abym się nie spóźnił na mecz, ks. Przydatek podstawił mi szybki samochód z kierowcą, a kiedy dziękowałem, uśmiechnął się i powiedział: „Papież lubi sport”.

Zaraz potem wysłałem do Ojca Świętego obrazek Matki Boskiej AK-owskiej jakby w imieniu niezujących Rodziców, bo to Oni wychowali nas, trzech synów, w czci dla Częstochowy, Ostrej Bramy i Rzymu.

Kilka godzin w Castel Gandolfo, a później kilka godzin na stadionie olimpijskim w Rzymie, już przy mikrofonie, podczas zmagani najlepszych lekkoatletów świata. To była jesień 1981. Tak się złożyło, że była to ostatnia moja wyprawa na zagraniczny stadion, by spełnić sprawozdawczą służbę.

W niespełna dwa lata później znalazłem się na innym stadionie, warszawskim, położonym nad Wisłą. Dla tego stadionu dzień 17 czerwca 1983 roku stał się czymś zupełnie niepowtarzalnym. Kto mógł przewidzieć w najskrytszych marzeniach, że gościem praskiego stadionu będzie Papież, nasz Rodak. Nieprzebrany tłum wypełnił nie tylko amfiteatr trybun, nie tylko wszystkie przejścia, koronę, ale i cały obszar boiska, każdy skrawek trawy i bieżni. Nie można było ogarnąć wzrokiem morza głów rozlanych wokół stadionu na Pradze. Nigdy zapewne nie zgromadzi się w tym miejscu tylu ludzi. Nigdy przedtem nie było i nie będzie tam takiego skupienia, wzruszenia i radości, uczucia całkowitej jedności myśli, a jednocześnie takiego porządku i takiej wzajemnej życzliwości ludzi stłoczonych, stojących często na jednej nodze albo siedzących na skrawku jakiegoś stopnia. Stadion – miejsce, gdzie przeżywa się proste emocje – przemienił się jakby w gigantyczny kościół, którego sklepienie stanowiło niebo.

Potem Ojciec Święty pielgrzymował po kraju. Nie byłem w Częstochowie, pojechałem tylko za Nim do Krakowa. Spotkanie w Częstochowie z polską młodzieżą przeżywałem przy radiu. Przeniosłem się tak mocno wyobraźnią tamtego wieczoru słysząc Jego głos, że naprawdę byłem razem wśród młodych, byłem jednym z nich, słuchając ze ściśniętym gardłem tych słów: „Czuwam – to znaczy także: czuję się odpowiedzialny za to wielkie, wspólne dziedzictwo, któremu na imię Polska. To imię nas wszystkich określa. To imię nas wszystkich zobowiązuje. To imię nas wszystkich kosztuje... nasza polska wolność tak dużo kosztuje”.

Znów byłem kropelką gorących wód, które jak rozkołysane morze podływały i ogarniały ze wszystkich stron brzeg, na którym stawał Papież odwiedzający to święte miejsce w ojczyźnie.

Niechaj mi jeszcze wolno będzie przypomnieć spotkanie w kościele Św. Krzyża w Warszawie w czerwcu 1987 roku, gdzie Papież przyjął przedstawicieli świata nauki i kultury. Pod koniec spotkania Papież wolno, krok za krokiem, zatrzymując się co chwila przy ludziach, kierował się w gęstym szpalerze do wyjścia. Jakże pchali się wszyscy do

Niego. Przepychałem się i ja, chcąc po raz pierwszy zobaczyć Go z bliska, by posłyszeć, co mówi ludziom. W pewnym momencie dostrzegłem w tłoku starszą panią o lasce. I ona próbowała docisnąć się do Papieża, daremnie. I raptem jakby ktoś za mnie zaczął mówić do ludzi, serdecznie, ale stanowczo: „Zróbcie miejsce dla tej pani, przepuście ją bliżej!” Rozsunięto się i zaraz tłum się zamknął za panią o lasce, odgradzając mnie od Papieża. Z oddali widziałem tylko wzruszoną twarz tej kobiety, kiedy znalazła się tuż obok Ojca Świętego; chyba zamienił z nią parę słów. Obserwowałem ją później, rozglądała się, może szukała mnie, by podziękować za pomoc. Odszedłem na bok. Za co miała dziękować? To dzięki niej przeżyłem przecież właśnie taką, a nie inną chwilę mojego spotkania z Papieżem. Czy ważne, kto z nas był bliżej, czy dalej? Papież był wtedy w kościele razem z każdym z nas. Jest zawsze z nami bez względu na odległość metrów czy kilometrów.

Potem były już te spotkania za pośrednictwem rozgłośni zagranicznych, które w każdą środę przekazują słowa Ojca Świętego do świata i Polski. Jego słowa dochodzące z radia to już były i pozostaną naszą wspólną tajemnicą, jakby spowiedzią na odległość. Bezpośrednimi spotkaniami przecież były i są Jego rady, jak iść na ostatniej prostej życia, jak podnosić się z upadków i podążać dalej do mety, niczym zmęczony, ale nie tracący wiary maratończyk.

JERZY TUROWICZ, *publicysta, redaktor naczelny*
„Tygodnika Powszechnego”

Moje pierwsze spotkanie z Janem Pawłem II odbyło się na odległość. 16 października 1978 roku, przy zapadającym zmroku, stałem na placu Św. Piotra wśród gęstniejącego tłumu, gdy z kominka nad Kaplicą Sykstyńską wydobył się biały dymek i gdy – nieco później – z loggii Bazyliki kardynał Pericle Felici oznajmił: *Annuntio vobis gaudium magnum. Habemus Papam, Eminentissimum ac Reverendissimum Dominum Carolum, Sanctae Romanae Ecclesiae Cardinalem, Wojtyła*. Ogarnęło mnie Gaudium Magnum! Pojąłem, że stało się coś ogromnego, niebywałego i – mimo wszystko – zupełnie niespodziewanego. Pierwszy Papież nie-Włoch po czterystu kilkudziesięciu latach i to właśnie Polak. Pierwszy na Stolicy Piotrowej Polak w dwutysiącletniej historii Kościoła i w tysiącletniej historii Polski. I to właśnie w obecnym, tak trudnym momencie naszych dziejów. A zarazem człowiek, którego mam szczęście znać dobrze – i więcej niż znać – od lat trzydziestu. Ale także, przyznaję, że pomyślałem – człowiek małej wiary – jakże On sobie poradzi. On, który nie jest Włochem, człowiek z zewnątrz, który chyba nie może znać tych ukształtowanych przez wieki mechanizmów funkcjonowania Kurii Rzymskiej, sposobów sprawowania władzy w Kościele. Cztery dni później, gdy na zalanym słońcem placu Św. Piotra byłem świadkiem inauguracji pontyfikatu, wiedziałem już dobrze, że sobie poradzi i to znakomicie.

Ale Jan Paweł II to także – i nadal – Karol Wojtyła z Wadowic. Moje z nim spotkania – już nie licząc tego, że w latach okupacji w Krakowie widziałem Go, niejedną raz, jako aktora na tajnych spektaklach Teatru Rapsodycznego, w roku 1949 zaś spotkanie pierwsze, gdy 28-letni ksiądz przyniósł do redakcji „Tygodnika Powszechnego” artykuł pod tytułem *Mission de France*, o francuskim eksperymencie księży-robotników, artykuł, który wydrukowaliśmy na pierwszej stronie, a był to pierwszy drukowany tekst podpisany nazwiskiem Karol Wojtyła. A potem – na przestrzeni trzydziestu lat – dziesiątki artykułów oraz

– podpisanych pseudonimem – utworów poetyckich, drukowanych wyłącznie w „Tygodniku Powszechnym” i „Znaku”, oraz już nie dziesiątki, ale setki spotkań z księdzem Wojtyłą, z biskupem Wojtyłą, z arcybiskupem i metropolitą, wreszcie kardynałem Wojtyłą. Spotkań w naszej redakcji przy ul. Wiślniej, w rezydencji arcybiskupów krakowskich przy ul. Franciszkańskiej, w Klubie Inteligencji Katolickiej, na posiedzeniach Komisji Episkopatu ds. Apostolstwa Świeckich, a nieraz i w naszych mieszkaniach. Periodyczne wieczorne spotkania i rozmowy z Metropolitą krakowskim całego zespołu „Tygodnika” i „Znaku”. A także moje z Nim spotkania w Rzymie, w czasie Soboru czy też podczas Synodów Biskupów, nocne spacerunki po tarasie na dachu Kolegium Polskiego na Awentynie. Jakże przekazać treść tych wszystkich rozmów o „Tygodniku Powszechnym”, o Kościele w Polsce i o Kościele w świecie, o trudnych sprawach naszej ojczyzny, nieraz o poezji, a także – czasem – o sprawach osobistych i rodzinnych, na co pozwalała życzliwość i zaufanie, oraz – niech mi wolno to powiedzieć – przyjaźń, ukształtowana w ciągu tylu lat.

A spotkania z Janem Pawłem II – Papieżem? Pierwsze – już nie na odległość – na trzeci dzień po wyborze, w czasie zbiorowej audiencji dla dziennikarzy. Spotkanie dla mnie ogromnie wzruszające, bez słów, bo cóż można powiedzieć w takiej chwili? Gdy Papież wziął mnie w ramiona, co wywołało oklaski setek obecnych dziennikarzy, odszedłem nie mogąc powstrzymać łez. A potem, w ciągu minionych lat, także dziesiątki spotkań. Za każdym moim pobytem w Rzymie, czy to jako sprawozdawcy prasowego, czy też z racji udziału w jakichś międzynarodowych imprezach, możliwość spotkania z Ojcem Świętym, udziału we Mszy św., odprawianej przez Niego w Jego prywatnej kaplicy, czasem wspólne śniadanie lub obiad. Pamiętne spotkanie z Papieżem całej naszej licznej gromady z okazji 40-lecia „Tygodnika Powszechnego”. Inne spotkanie wraz z grupą intelektualistów, m.in. wraz z profesorami Gieysztozem, Geremkiem, Szaniawskim i Tadeuszem Mazowieckim. A także spotkania poza Rzymem: w samolocie lecącym z Rzymu do Brazylii, w Manaus nad Amazonką, w ogrodzie nuncjatury w Waszyngtonie, w pałacu arcybiskupim w Fuldzie i w czasie podróży do Hiszpanii. Oraz w Castel Gandolfo, gdy Jan Paweł II udzielał jedynego w swoim rodzaju wywiadu dla „Tygodnika Powszechnego”. No i – rzecz prosta – spotkania w Polsce w czasie pielgrzymek duszpasterskich Papieża do Jego ojczyzny.

Te wszystkie spotkania, możliwość tych spotkań, odczuwałem zawsze, odczuwam nadal, nie tylko jako wielkie szczęście, jakies niezastuzone uprzywilejowanie, ale nawet jako pewnego rodzaju niesprawiedliwosc. Jak to sie dzieje bowiem, ze mnie – wzglednie latwo – spotyka cos, o czym tylu ludzi godniejszych i wazniejszych ode mnie moze tylko marzyc? Wydawaloby sie, ze wielosc i czestotliwosc tych spotkan moze powodowac jakas rutynę czy banalizacje. Nic podobnego. Za kazdym razem próg Palacu Apostolskiego przekraczam z ogromnym wzruszeniem i zdumieniem zarazem, ze oto raz jeszcze bedzie mi dane spotkac czlowieka, ktorego wolno mi uwazac za przyjaciela, ale ktory jest Nastepca sw. Piotra, glową wspolnoty wyznawców Chrystusa, do ktorej mam szczescie nalezec, czlowieka uznawanego nie tylko przez katolikow i nie tylko przez ludzi wierzacych za najwyzszy autorytet moralny swiata, czlowieka, ktorego uwielbiaja milionowe rzesze (*Juan Pablo Segundo, te ama todo il mundo*, spiewaja Hiszpanie i Latynosi) i ktorego obecność na Stolicy Piotrowej jest znakiem opieki Opatrzności nad naszym narodem.

Lech Wałęsa, prezydent Rzeczypospolitej Polskiej

Ile razy spoglądam za siebie – to wydaje się, że ten czas, który wspólnie przeszliśmy, jest jakimś snem. Szczypię się, aby jeszcze raz sobie powiedzieć: niemożliwe stało się możliwe. Bez strzału, bez wojen, wyniszczania kraju i narodu pokonaliśmy nieludzki system, przełamaliśmy barierę strachu, niemocy. Za nami poszli inni... Jest to historia.

Nie lubię oglądać się za siebie, rozważać, co by było, gdyby – zostawiam to przyszłym badaczom naszych działań. A wiele będą mieli do rozważania. Może się niejednokrotnie okazać, że jakieś nasze decyzje nie były zbyt trafne albo wręcz błędne. My tego teraz nie wiemy, i dobrze. Jest jednak coś, o czym nie można choćby na chwilę zapomnieć: roli Kościoła w naszej rewolucji. Jest to osobny temat. Mam nadzieję, że jeszcze będzie miał swoich wnikliwych badaczy. Dla mnie jednak wielkie znaczenie mają każdorazowe spotkania z Ojcem Świętym.

Było ich już sześć i każde z nich otwierało nowy rozdział w naszej wspólnej sprawie jak i w moim osobistym życiu. Najpierw to pierwsze – jeszcze w styczniu 1981 roku, na początku „Solidarności”, na początku drogi polskiej reformy. Opisywano je już niejednokrotnie. „Ze swej strony mogę do tego jedynie dodać, że w momencie, gdy stanąłem przed Ojcem Świętym i zobaczyłem dziesiątki dziennikarzy, fotoreporterów i kamery wycelowane na mnie, przestraszyłem się, że mogę zawieść gospodarza, że słowa nie oddadzą tego, co chciałbym powiedzieć, tak zwyczajnie. Nabrałem oddechu i jakoś to poszło... Podobno nawet nie najgorzej. Ciepło bijące od Ojca Świętego, jego skupienie, a nawet pochylenie głowy ośmielało, dodawało odwagi. Wszystko było naturalne i czytelne w każdym geście, natomiast dla świata było jakimś zaskoczeniem i olśnieniem. Na czołowych stronach ówczesnych gazet wychodzących na zachód od Łaby ukazało się zdjęcie, jak jestem podnoszony z kłęczek przez Papieża. Symboliczne. I komentarze... Że to

przyklękniecie robotnika przed głową Kościoła powszechnego może mieć znaczenie dla polityki europejskiej, a może nawet światowej... Że oto zamyka się jakiś rozdział w dziejach Kościoła i ruchu robotniczego, obfitujący we wzajemne niezrozumienia, wrogości, napaści... Że w dramatycznej współczesnej historii Polski otwiera się nowy etap i że bez impulsów idących od papieskiego tronu – nasza »Solidarność« nie byłaby tak skuteczna...

Wreszcie słowa, jakie Ojciec Święty skierował do nas zgromadzonych w sali Klementyńskiej. Proste. Niedługo później stanęły one u podstaw jego pierwszej encykliki. Pokazywały nam wówczas drogę, jeszcze dla nas nie do końca jasną, na której mieliśmy zaznaczyć swój własny ślad. Inny od tego, do jakiego świat się przyzwyczaił. Porzucić grupy polityczne, partie podejmujące stale walkę o władzę, uwikłane w doraźne rozgrywki, zabierające nadzieję zastąpienia starych struktur nowymi na miarę prawdziwych potrzeb i wielkości człowieka. I to właśnie dostrzegł Papież, dla którego przemiany dokonujące się wówczas w Polsce były wielkim wysiłkiem skierowanym ku podźwignięciu człowieka, moralności społeczeństwa, ku wspólnemu dobru...

Wieźliśmy Papieżowi »Solidarność«, i to poczucie wzajemnego obdarowywania się w tym spotkaniu jest pięknym, religijnym i ludzkim przeżyciem. Miałem świadomość, co otrzymujemy od Papieża, który publicznie przed całym światem potwierdził nasze ideały. (...) Pierwsza rozmowa z Ojcem Świętym w cztery oczy. Serdeczność, ojcowska czułość. Ale potem trzeba było do tego Ojca zwrócić się publicznie, w oficjalnym, śledzonym przez cały świat przemówieniu. Towarzyszący mi doradcy starali się przygotować mnie do tego momentu, ale postanowiłem odsunąć przygotowane teksty, nawet nie zaglądać do nich. Chciałem lepiej czy gorzej, ale powiedzieć coś od serca, od siebie. (...) Coś przygotowanego wcześniej, napisanego na kartce papieru, wydawało mi się zawsze obce, jakby nie moje, jakbym przygotowując się, przygotowywał pułapkę dla siebie. Mówiłem o tym, że społeczeństwo zrozumiało, iż nie wystarczy jedynie zabiegać o sprawy materialne, ale trzeba starać się zaspokoić potrzeby ducha, wiary, że trzeba zagwarantować prawo człowieka do swobodnego głoszenia swoich poglądów. Te zasady, wyrosłe z tysiącletniej historii Kościoła w Polsce, stają się podwalinami »Solidarności«, która nie będąc grupą polityczną, nie chce być także związkiem wyznaniowym. Dlatego nie będzie się budować w Związku kapliczek, ale jeśli będzie potrzeba, to »Solidar-

ność« pomagać będzie w stawianiu świątyń. Bo wiemy, że kiedykolwiek w historii naszej byliśmy z naszą Królową, wiodło nam się dobrze. Chcemy twoich rad, Ojczy i będziemy zawsze Ci wiernie służyć...” (Droga Nadziei).

Po tym oficjalnym spotkaniu były jeszcze niezapomniane chwile, gdy wraz z Danutą i delegacją zostaliśmy zaproszeni na zakończenie pobytu we Włoszech do prywatnej kaplicy Ojca Świętego. Msza św. i homilia, w której m.in. powiedział do nas: „... staję mi przed oczyma cała Polska. Polska jak gdyby wielki warsztat pracy. Warsztat ludzkiej pracy, warsztat polskiej pracy. Warsztat złożony z wielu warsztatów. Jest to i praca fizyczna, i praca umysłowa, i praca w fabryce, i praca na roli, i praca w zawodzie, i praca w rodzinie, praca ojców, ale i praca matek, praca nad tym tworzywem, które człowiek przekształca, ażeby służyło jego potrzebom, ale też praca nad człowiekiem. (...) Jeżeli na tym ołtarzu złożymy całą polską pracę, to poprzez ofiarę Chrystusa, poprzez Eucharystię wróci do nas i do tych, których reprezentujemy, do wszystkich ludzi pracy na polskiej ziemi. Wróci do nas ta moc, która jest z nieba...”

Dwie rozmowy, jakie miałem wówczas możliwość przeprowadzić z Ojcem Świętym, były ładowaniem moich akumulatorów. A potrzebne one były do walki, jaką przyszło toczyć z władzami komunistycznymi, ich próbą zdławienia naszej „Solidarności” w stanie wojennym. Wreszcie druga pielgrzymka Ojca Świętego. Te wielkie chwile spędzone wspólnie z Ojcem Świętym miały potem starczyć na długo...

Było jasne, że po wielkiej propagandowej kampanii, poprzedzającej II pielgrzymkę do Ojczyzny, jedynie osobista decyzja Ojca Świętego może otworzyć drogę do ponownego spotkania.

Drugiego dnia pielgrzymki wojewódzki komendant Milicji Obywatelskiej przekazał do mojego mieszkania telefoniczną wiadomość, że władze, na prośbę dostojnego gościa, wyraziły zgodę na spotkanie. Organizacją samego spotkania miała się zająć strona kościelna. Jeszcze jednak próbowano je udaremnić i dopiero w szóstym dniu pielgrzymki przybył do Gdańska ks. bp Tadeusz Gocłowski, ówczesny sufragan gdański, który przekazał zaproszenie. Doszło do niego w schronisku w Dolinie Chochołowskiej. Piękno tatrzańskiej przyrody kontrastowało z surrealistyczną atmosferą wytworzoną wokół tego spotkania. Najpierw ściśle „oblężenie” mojego mieszkania, później lot helikopterem z międzylądowaniem w Warszawie, gdzie ze zdumieniem dowiedzieliś-

my się, że nie lecimy do Krakowa, ale do... Zakopanego. Na nic zdały się protesty biskupa Gocłowskiego, który nam towarzyszył. Izolacja i bezceremonialne zachowanie się obstawy. Lądowanie przy samotnej, obszernej willi, przygotowane pokoje, milcząca kelnerka, poruszająca się bez słowa, i krążąca obstawa – areszt domowy, choć luksusowy. Następnego dnia rano wreszcie wszyscy wsiadamy do mikrobusu i zamiast do Krakowa, przewiezieni zostajemy do pustego schroniska w Dolinie Chochołowskiej.

Pytano mnie wielokrotnie o przebieg spotkania z Ojcem Świętym. Jakby miały się wówczas rozgrywać jakieś sprawy, nadające się do zrelacjonowania jak mecz. A to jest raczej moment wewnętrznej prawdy o sobie, swoim życiu, swoich działaniach, swoich słabościach, swoich ciemnych miejscach. Czyż są ludzie ich pozbawieni? Ważny jest bilans, trzeba go dokonać i trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie: czy mam coś do ofiarowania. Coś uczciwego.

W Jego postaci, pochyleniu ciała, geście, wyraża się jakby wielka troska o człowieka. O twoje problemy, o ciebie, o twoje sprawy. Ta troska wytwarza klimat, który zachęca do szczerości i prostoty, to jest propozycja odrzucenia niewygodnej pozycji, którą przyjąłeś walcząc z życiem, tłukąc się z losem. Bo On proponuje ci swoją wielką troskę o ciebie, która ciebie rozumie, która chce cię podnieść, wreszcie i ty sam chcesz siebie podnieść. Wysoko. Tak wysoko, jak tylko potrafisz sięgnąć jako człowiek.

Zauważam jeszcze coś innego. Patrzę na wielkie stopy Papieża. Na Jego krok. Spokojny, odmierzony, człap, człap. Krocząc, wyraża swoje zawierzenie. Jest w tym spokój, pewność, zwartość, nadzieja, poczucie celu. Ja od Jego kroku nabieram sił. Tak zawsze widzę Jego postać – jak zbliża się i ja mam Mu wyjść naprzeciwko i powinienem być na to gotowym. (...)

Spotkaliśmy się w pół drogi, na półpiętrze, w hallu prowadzącym do dużej sali jadalnej, gdzie przeszliśmy za zgodą Ojca Świętego. O czym będziemy rozmawiać? – zapytał uniósłszy przy tym w znamienym geście ręce ku górze i ścianom, jakby chciał powiedzieć, że i one są świadkami naszej rozmowy. Zrozumiałem.

Ojciec Święty przywitał nas bardzo serdecznie. Siedliśmy na wielkiej ławie, tuż przy drewnianych schodach (...). Zaczęła się rozmowa, w której Ojciec Święty cały wsłuchiwał się w to, co mówiłem. Zdałem sobie wówczas sprawę, że powinienem powiedzieć coś o nas – mówiłem

więc o Stoczni, o ludziach, których znam, jak naród żyje, co czuje, jakie ma nadzieje. Stawiałem sobie samemu pytania. Mówiłem to, co czułem. Rozmawiało mi się tak, jak u mnie w domu – spokojnie, bez żadnego napięcia. Nie czułem żadnej tremy (...).

Jesienią 1983 roku pokojowa Nagroda Nobla. Wydarzenie szczególne, podnoszące na duchu, zwłaszcza że oficjalna propaganda dezawuowała wartość tej nagrody. I do tego słowa Ojca Świętego w gratulacyjnym telegramie. Ciepłe, serdeczne, przypominające w jakiś szczególny sposób atmosferę spotkania bardziej w Rzymie niż w Chochołowskiej.

I znowu kolejne miesiące i lata mozolnego odzyskiwania przez społeczeństwo prawa do bycia sobą. Na tej trudnej drodze, pełnej zwątpień – zapowiedź kolejnego umocnienia – trzecia pielgrzymka Ojca Świętego. Tym razem w programie przewidziano etap gdański. Gdańsk czekał i przygotowywał się na tę chwilę od sierpnia 1980 roku.

Spotkanie moje i z całą rodziną: żoną i ośmiorgiem dzieci odbyło się pierwszego dnia pobytu Ojca Świętego na gdańskiej ziemi w rezydencji Biskupa Gdańskiego. Rozmowa była ożywiona. Gesty, mimika, pytania stawiane przez Ojca Świętego, bezpośredni sposób bycia ją ułatwiają. Stale pojawia się pytanie, jak żyje naród w tym trudnym okresie, gdy niełatwo znaleźć drogę wyjścia z beznadziei. Powracam do niejednokrotnie już wypowiedzianego zdania, że istnieje konieczność wyzwolenia wszystkich sił w narodzie dla dobra wspólnego. Że trzeba odłożyć na bok wszelkie animozje i wspólnie szukać dróg wyjścia z kryzysu, w jakim się znalazło państwo, naród, gospodarka. Ojciec Święty z kolei zwraca uwagę na specyficzną drogę przemian w Polsce. Jeśliby chcieć szukać porównań, to może do Indii w czasach Gandhiego.

Polska droga to droga pokojowych przemian, wyrastających z nauki Kościoła, mająca w swym dorobku ideę ruchu powstałego wokół „Solidarności”, dostrzeżonego przez świat jako nadzieja i jako sposób na rozwiązanie napięć. Raz rozpoczętego procesu nie można zwrócić, można jedynie zatrzymać, i to nie na długo. Wprawdzie wielu się zachwiało, odeszło, wyjechało za granicę, ale ci, którzy pozostali, dokonują stale moralnych wyborów, sprawdzają się, określają się swoją postawą. Rodzi to nową świadomość, sprzyja autentyczności, zdejmując onieśmienie, przełamuje strach, pobudza do społecznej aktywności. Polacy jako naród przeżywają czas dojrzewania, oczyszczenia, wyrzucania plew od ziarna. Okres stanu wojennego i jego późniejszą

konsekwencji jest czasem swoistych rekolekcji, skupienia, z których rodzą się wartości mające korzenie w powojennych doświadczeniach, uzewnętrznione w sierpniowym przebudzeniu, jakie ogarnęło cały naród...

Przemiany w życiu społecznym w Polsce w tym czasie zaczęły nabierać przyspieszenia i choć jeszcze władze powstrzymywały się przed decyzjami, to już wyczuwało się, że nadchodzi moment przełomu. Strajki w Stoczni Gdańskiej, w maju i sierpniu 1988 roku, stały się podstawą pierwszych rozmów z władzami, które później przekształciły się w rozmowy „okrągłego stołu”. Stała się sprawa „Solidarności” i zmiany modelu politycznego w Polsce. Wreszcie 17 kwietnia 1989 roku Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność” został zarejestrowany.

W dwa dni później niewielka delegacja „Solidarności” ląduje w Rzymie. W skład jej wchodzi przewodniczący głównych podstolików „okrągłego stołu”: Bronisław Geremek, Tadeusz Mazowiecki i Witold Trzeciakowski oraz bp Tadeusz Gocłowski – ordynariusz gdański, który odegrał ważną rolę w procesie kształtowania ostatecznych wyników „okrągłego stołu”.

Przygotowania do tej wizyty trwały już od dłuższego czasu. Pierwsze sygnały nadeszły ze strony włoskich związkowców, którzy swoje stałe poparcie, jakiego udzielali przez cały okres delegalizacji „Solidarności”, chcieli jeszcze bardziej zaakcentować. Odsuwałem ponawianą propozycję, gdyż wyjazd do Włoch związany będzie przede wszystkim z rozmową z Ojcem Świętym. Miała to być bardzo krótka wizyta, ograniczająca się do audiencji u Papieża. Jednak, w miarę rozwijania się negocjacji przy „okrągłym stole”, najbliżsi doradcy starali się przekonać, że oprócz oczywistego spotkania z Ojcem Świętym, trudno pominąć związki zawodowe, kręgi polityczne, tak wiele dobrego czyniące dla spraw Polski.

Niemal w tej samej chwili, gdy lądowaliśmy w Rzymie, Ojciec Święty na audiencji generalnej wygłaszał wzruszający tekst, nawiązujący do tych jego wypowiedzi, jakie kierował w całym okresie stanu wojennego i później – do Matki Boskiej Częstochowskiej: „Polecam Twojej macierzyńskiej trosce »Solidarność«, która znowu może działać po ponownej legalizacji w dniu 17 kwietnia. Polecam idący w parze z tym wydarzeniem proces, który zmierza do ukształtowania życia narodowego w sposób zgodny z prawami suwerennego społeczeństwa”. W następ-

na środę, już po wyjeździe delegacji, wrócił do tej sprawy i choć nie mówił wprost o „Solidarności”, to nawiązał do sytuacji w Polsce, wskazując potrzebę odpowiedzialności, konsolidacji narodu wokół wartości, które go jednoczą. Była to więc klamra, którą Ojciec Święty spiął przemiany dziejące się w Polsce.

Pierwsze publiczne spotkanie w Rzymie. Nie było wiadomo o czym mówić, czy o tym, że Solidarność jest związkiem ponadkorporacyjnym, czy że bardziej robotniczym. Wybrałem zupełnie inny wariant – powiedziałem. „Przyjechaliśmy tutaj, żeby wam podziękować za uratowanie Solidarności. Tak. To wyście uratowali życie Ojcu Świętemu. Bez niego trudno sobie wyobrazić, by Solidarność mogła zostać uratowana”.

Przyjęte to zostało z niebywałym aplauzem... Wypowiedź ta w jakiś sposób znalazła kontynuację w czasie spotkania z sekretarzem stanu państwa watykańskiego, kardynałem Agostino Casarolim. Rozmowa trwała znacznie dłużej niż to przewiduje protokół dyplomatyczny i jeszcze toczyłaby się dalej, gdyby nie konieczność udania się na spotkanie z Ojcem Świętym.

W pewnym fragmencie rozmowy podjęty został wątek roli Ojca Świętego w stosunku do narodu polskiego. Ważność wypowiedzi obecnego Papieża wyraża się w tym, że stale występuje w obronie zagrożonych wartości, podtrzymuje, zachęca i ożywia poszczególne grupy społeczne. Jest jak słońce, które daje życie, a którego normalnie się nie dostrzega. Dopiero jak zabraknie, przecieramy ze zdumienia oczy.

Z oprawy audiencji zapamiętałem barczystych Szwajcarów w kolorowych strojach, którzy stojąc w szpalerze oddali honory ze swoim charakterystycznym uderzeniem halabardą w podłogę i tupnięciem nogą. Cała audiencja korzystała z bogatego protokołu watykańskiego. Po audiencji Ojciec Święty zaprosił delegację na obiad. Papież chciał bliżej poznać to, co dzieje się w Polsce, klimat, w jakim żyje społeczeństwo. Była to jedyna w swoim rodzaju okazja do swobodnej rozmowy, bez konieczności oglądania się na protokół, czas, telefony... A atmosfera jest taka, że wyzwała w obecnych naturalne zachowania. Można powiedzieć wszystko bez skrępowania. Ojciec Święty pragnie, ażeby każdy wypowiedział swoje sprawy, które leżą mu na sercu... Mogłem powtórzyć: naładowałem swoje akumulatory.

Mała ważka – sportowy samolot z Gdańska do Włoch i nasza sześciuosobowa grupka, towarzysząca mi w drodze na kolejne spotkanie z Ojcem Świętym. Zamknęci w tym malutkim pudełku, unoszą-

cym się w powietrzu – odczuwaliśmy bezwiednie to nasze „zawieszenie” między niebem a ziemią. Oderwanie od ludzkiej codzienności. Wprowadzenie do spotkania z Ojcem Świętym.

Po dniu pobytu w Rimini z młodzieżą chrześcijańską przelot – już krótki – do Rzymu. Wczesnym rankiem pojechaliśmy do letniej rezydencji Papieża w Castel Gandolfo.

Kaplica pusta, jedynie – u stóp ołtarza pochylona biała sylwetka Ojca Świętego na niedużym klęczniku. Cicho, prawie bezszelestnie, ubrani w szaty liturgiczne, wchodzi biskupi: Gołowski, Marian Jaworski i księża uczestniczący w koncelebrze. Dopiero po dłuższej chwili Ojciec Święty przerywa modlitewne skupienie, podnosi się z klęczek i powoli zaczyna zakładać albę i ornat. Nie patrzy na kaplicę, wznosi oczy na obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Cisza.

Odwraca się od ołtarza tradycyjnie ustawionego i wita zgromadzonych. Mówi o tym, że jest to kaplica biskupów rzymskich urządzona przez Piusa XI, który wcześniej jako pierwszy nuncjusz apostolski przebywał w niepodległej Polsce. On był tym, który w decydujących dniach sowieckiej nawały na Polskę w 1920 roku, nie poszedł w ślad za całym korpusem dyplomatycznym i pozostał w Warszawie. Później już jako Papież urządzi kaplicę, która nie może nie zaskakiwać Polaków. Dla mnie było zaskoczeniem, że na jednej ścianie jest malowidło przedstawiające księdza Adama Skorupkę, prowadzącego polskich żołnierzy, obok plany bitwy warszawskiej, a na drugiej – obrona Jasnej Góry, sprzed 300 lat.

Ojciec Święty mówi o swym wzruszeniu, gdy przekracza progi tej kaplicy. „A dziś jestem szczególnie wzruszony, ponieważ jesteśmy tutaj razem z panem Lechem Wałęsą i z przybyszami z Polski, którzy mu towarzyszą (...) w naszym domowym gronie”. Jeszcze intencja mszy: „... będziemy ... rozważać, kontynuować, pogłębiać to, co było treścią modlitwy w dniu wczorajszym, w uroczystości Pani Jasnogórskiej, te same wątki, te same tematy, te sprawy, które są ważne dla naszej współczesności, i które są coraz ważniejsze dla naszej codzienności”. Msza. Komunia. Siostry śpiewają pieśni Maryjne – wzruszenie ogarnia Papieża. Cicha papieska modlitwa.

Salonik i oczekiwanie na przyście Ojca Świętego. Trzymam w ręku zbiór karykatur o sobie: „Przez płot...”. Składałem podpis pod wpisem i otwieram książkę na rysunku przedstawiającym znanych Polaków w typowych dla nich gestach. Na pierwszym planie jest z charakterys-

tycznie uniesionymi ramionami – Ojciec Święty. Jest także prymas Glemp z „zajęczkiem”, jaki zrobił jeszcze w stanie wojennym do mnie w katedrze Mariackiej w Gdańsku, obok Urban, oczywiście Jaruzelski, Rakowski...

Od samego momentu wejścia swobodna rozmowa, jaką inicjuje Ojciec Święty, stwarza pogodną atmosferę. Biorąc ode mnie książkę żartuje z rysunków, komentuje i niesłychanie naturalnie rozmawia. Przywołuje również sprawę wizerunku Matki Boskiej, którą stale noszę w klapie. Powtarzam to, co mówiłem już publicznie, że nosić ją będę tak długo, jak będę udzielać się w polityce, później schowam ją do serca.

Po audiencji prywatnej śniadanie. Rozmowa bardzo osobista. Ważna dla mnie, będąca podobnie jak poprzednie moralnym wypełnieniem tej naszej codziennej działalności politycznej. Nie potrafię o tym pisać, to jest bardziej we mnie, nie lubię też o tym mówić.

No, ale nie uniknie się sakramentalnych pytań dziennikarzy na temat przebiegu samej rozmowy. Powtarzam więc to samo zdanie, które wypowiadałem przy poprzednich pielgrzymkach, że „moje akumulatory zostały naładowane, na długo, i teraz muszą mi one wystarczyć do lepszej pracy”, że zrobiliśmy wielką pracę, że zatrzymaliśmy komunizm, że musimy dokonać kroku w kierunku zagospodarowania, tego nowego etapu, zgodnie z wymogami XXI wieku.

Nasz gdański biskup Tadeusz Gocłowski dodawał zawsze przy tej okazji, że Ojciec Święty bardzo interesuje się sprawami Polski i stale szuka źródeł informacji. „Widać, że kocha Polskę i bardzo się nią przejmuje. Szuka przy tym możliwie wszystkich spojrzeń na Polskę... Zawsze mówi, że chrześcijański rozwój Europy dużo wniósł do cywilizacji. Polska jest krajem, który też zrobił duży wysiłek, który owocuje współcześnie”.

Wielkim, ciepłym dla mnie zaskoczeniem była środowa audiencja Ojca Świętego, który podjął sprawę naszej walki „Solidarności” i mojej w niej roli. Było to bardzo zobowiązujące. Wielki prezent, który wręczył mi Ojciec Święty w przededniu decyzji, jakie musiałem podejmować nie tylko o swojej przyszłości, ale także kierunku naszych reform.

I wreszcie to spotkanie – najważniejsze – szóste: 5 i 6 lutego 1991 roku. Po raz pierwszy przybyłem jako prezydent wybrany w powszechnym głosowaniu w wolnym państwie. Składałem swoją pierwszą oficjalną wizytę państwową właśnie Ojcu Świętemu. Tak jak przed

dziesięciu laty, tak i teraz postanowiłem, że nigdzie wcześniej nie pojedę, dopóki nie podziękuję temu człowiekowi, który zrobił dla nas tak wiele. Ta więc ostatnia wizyta była zwieńczeniem naszej drogi ku wolności, naszej reformy, którą nazwaliśmy „Solidarność”.

Spotykałem się z Ojcem Świętym w momentach dla mnie zawsze przełomowych. W styczniu, dziesięć lat temu zawiozłem do Rzymu „Solidarność”, nasze dziecko „gorącego lata” 1980 roku, aby je „ochrzcić”. W 1983 roku zostałem dowieziony przez esbeków na spotkanie z Papieżem w Dolinie Chochołowskiej. Ojciec Święty odrzucił widzenie mnie w roli szacownego kustosa muzeum o nazwie „Solidarność”. W 1987 roku widziałem się z nim w Gdańsku, dwukrotnie, w sytuacji, gdy nasz ruch przeżywał kryzys, a on publicznie przywołał, wbrew wielu, nawet w kręgach watykańskich „Solidarność”. Mówił o nas i za nas. Dodał nam nowej siły. Dodał nadziei i wiary w słuszność naszej walki. W 1989 roku byłem w Rzymie po zakończeniu obrad „okrągłego stołu”, po zawarciu umowy politycznej pomiędzy elitami solidarnościowymi a władzami komunistycznymi.

Nowy przez nikogo dotąd nierozpoznany teren. Wchodziliśmy na drogę, która już mgliście proadziła nas ku wolności. Wreszcie w sierpniu '90 roku spotkanie w Castel Gandolfo, tuż po święcie Matki Boskiej. Poczucie odpowiedzialności, obowiązek podejmowania nawet najtrudniejszych wyzwań – znalazło umocnienie w spokoju murów papieskiego pałacu. Wracałem z przekonaniem, że nie mogę uchylić się przed nie znanym mi dotąd ciężarem. Ostatecznie zdecydowałem: będę kandydował w wyborach prezydenckich. Publicznie decyzję tę ogłosiłem w trzy tygodnie później.

Spotykałem się z Ojcem Świętym w momentach naprawdę ważnych. Te lutowe 1991 roku spotkania były jednak wyjątkowo ważne. Kończył się okres walki, zaczynał się czas normalnej pracy. Przyjechałem po błogosławieństwo na ten czas. Przyjechałem „ochrzcić” nową Polskę. I wreszcie w imieniu narodu złożyć hołd Ojcu Świętemu za wszystko, co w czasie swego kierowania Stolicą Piotrową zrobił dla Polski, Polaków i dla mnie osobiście. I choć Stolica Apostolska witała mnie jako głowę państwa, polityka, ja przybywałem jako pielgrzym. Pragnąłem tej rozmowy, takiej jak zwykle, bezpośredniej, szczerzej, bez żadnych protokolarnych ograniczeń.

Nigdy nie potrafię po tych rozmowach określić ciekawskim dziennikarzom, jakich rad udzielił mi Ojciec Święty. Bo to nigdy nie były

rozmowy polityków. To były – od pierwszego do ostatniego spotkania – rozmowy ojca i syna. Papież umacniał mojego ducha. To było dla mnie najważniejsze. Nie spotykałem się też po to, żeby pytać się, co i jak zmienić w mojej taktyce, mojej walce, w moim rozpychaniu starych struktur. To sprawy dla polityków. Ojciec Święty jest zawsze ponad tym... On dostrzega wartości tkwiące w człowieku, w dziejach narodów, w naszej pokrzywionej historii. Bo ten symboliczny chrzest przywołuje dzieje naszego narodu do jego początków. W doświadczeniu „Solidarności” jest też wizja chrześcijańska i w jakimś sensie oblicze nowej Europy – jak podkreślił wówczas Papież – wspólnego europejskiego domu, zaczęło się wówczas kształtować w Polsce. I choć znajdujemy się na początku drogi, nękani przeciwnościami, kryzysami moralności, ekonomii i człowieka, to jednak odbudowujemy to, co zostało przysypane. Mamy jednak silny fundament, zdolny do wytrzymania zaskakujących jeszcze niejednokrotnie wstrząsów. Fundament wytrwale wzmacniany przez Ojca Świętego, zwłaszcza podczas jego pielgrzymek do ojczyznoego kraju. Ogromna siła płynąca z wiary i od Papieża skłania do układania życia społecznego zgodnie z wyznawanymi zasadami. A w Polsce są to wartości chrześcijańskie. One to wsparte nauką Jana Pawła II wyznaczyły kierunek naszej walki o demokrację, wolność. Nie jest ona nigdy dana – jest to zadanie, które musi podejmować każde nowe pokolenie. Podjęliśmy to wyzwanie, stanęliśmy na drodze ku wolności. Idziemy ku niej. I z nami na tej drodze stawia swe wielkie kroki Ojciec Święty...

MAREK WEISS-GRZESIŃSKI, *reżyser*

Mówimy o Nim: Ojciec Święty. Dwa wielkie słowa opisujące osobę, której wymiar ludzki i nadludzki splatają się w nierozzerwalną całość. Szczególne Jego ojcostwo zawiera się całkowicie w nauczaniu. Zajmuje się tym, czym każdy ojciec ma obowiązek zająć się po narodzinach dziecka – wychowaniem, wskazywaniem drogi życiowej, tłumaczeniem zagadek świata, opieką nad zbląkanym sercem, daniem poczucia bezpieczeństwa, wyjaśnianiem praw rządzących nami wszystkimi i zmuszaniem do ich respektowania. Jest ojcem nauczycielem. Czego więc uczy? Przede wszystkim rozumienia Ewangelii i wypełniania jej nakazów. Jest najwyższym i nieomylnym autorytetem w prawidłowym odczytywaniu słowa Dobrej Nowiny. Wypełnia zadanie, które wydaje się ponad możliwości człowieka. Oczekujemy przecież od Niego zachowania uniwersalności, powszechności i ponadczasowości tego odczytania, a jednocześnie chcemy je rozumieć tu i teraz i znaleźć dla niego miejsce w naszym jednostkowym życiu powszednim. Kiedy mówi ogólnie o tym, co jest dobrem, a co złem, słuchamy z pokorą i szacunkiem należnym ojcu i nauczycielowi. Kiedy mówi szczegółowo, co wynika z istnienia dobra i zła w życiu każdego z nas, buntujemy się i wytykamy Mu błędy, które według nas popełnia w swoim ludzkim przecież rozumowaniu. Rozliczamy Go wtedy z faktu, że jest głową potężnej i bogatej instytucji, głową państwa, że jest politykiem odpowiedzialnym za każde zdanie mające wpływ na byt wielu milionów ludzi, że jest Polakiem obciążonym obowiązkami wobec swojej ojczyzny, wreszcie, że jest mężczyzną, a więc rozumie tylko połowę kondycji ludzkiej. Jakże często wszystkie te opcje przesłaniają nam prawdziwy wymiar Jego nauki i utrudniają jej przyjęcie. Ojcostwo Jego zostaje uwikłane w naszą zróżnicowaną, pełną komplikacji rzeczywistość i coraz to któreś z dzieci kwestionuje Jego nieomylność. Podnoszą się głosy, że jest papieżem nie dość postępowym, że nie przyznaje pełnego człowieczeństwa kobiecie, że oderwany od społecznej rzeczywistości, nie dostrzega wszystkich groźnych konsekwencji wynikających z Jego

zakazów, że jest stronnicy w podejmowaniu decyzji politycznych i temu podobne niemądre i pochopne interpretacje Jego nauki. A przecież kiedy nawołuje: „Nie miej innych bogów”, „Nie zabijaj” czy „Nie cudzołóż”, nie możemy się spodziewać, że zatrzyma się w pół drogi, że poczyni jakieś wyjątki, zastrzeżenia i ułatwi nam życie. Jakże oczekiwać, by mając przed oczyma nieskończenie odległy cel, jakim jest jedna wielka ludzka rodzina przygotowana do nadejścia Królestwa Niebieskiego tu na ziemi, czując się wyznaczonym do przewodnictwa w tej długiej drodze, którą jeszcze niejedno pokolenie będzie musiało dążyć w ciemnościach i trudzie, zatrzyma się i powie: „Dobrze, dzieci moje, zbyt wiele ponosicie ofiar i wyrzeczeń. Spróbujmy jeszcze raz przeanalizować plan zbawienia i dostosować go do naszych sił i warunków, w jakich przyszło go nam wypełniać”. Nie zrobi tego. Jest ojcem, który widzi dalej i musi wziąć na swoje sumienie wiele ludzkich cierpień wynikających z Jego uporu i mądrości. Zastanawiamy się, do jakiego stopnia ufamy Jego dalekowzroczności i poczuciu odpowiedzialności. Rozważmy, co najbardziej podtrzymuje tę naszą głęboką dziecięcą ufność. Zły to ojciec, który tylko poucza i karci nie dając jednocześnie przykładu własnymi czynami, nie budując autorytetu całym swoim życiem. Wspaniałą to ojciec i nauczyciel, który od pierwszych swoich słów: „Nie lękajcie się...”, skierowanych do nas, świadczy swoją postawą, całym istnieniem, że życie, do jakiego nas namawia, jest prawdziwie możliwe. Kiedy wydaje nam się, że łatwo jest świecić przykładem, będąc otoczonym chwałą i posłuszeństwem, pamiętajmy, że każda władza rodzi także nienawiść, obłudę i strach ludzi uzależnionych. Istnieje wiele pokus, by te złe owoce oddalić od siebie jakimś wypróbowanym sposobem. Majestat papieski niekoniecznie musi ułatwiać wizytę w celi niedoszłego zabójcy, wybaczenie mu zadanych przez niego cierpień i trzymanie go w ramionach jak brata. Tak więc ufność nasza powodowana jest być może przez ów szczególny wymiar człowieka piastującego wysoki urząd. Miłość, która Go otacza, ma swoje źródło w Jego ludzkich cechach i jesteśmy skłonni wierzyć, że to ona jest raczej przyczyną powołania Go na tron papieski, a nie, że powołanie to sprawiło, że jest tak powszechnie kochany.

Nazywam Go więc Ojcem i poprzez tę nazwę staram się zrozumieć to wszystko, o czym mówi do mnie. Nie było mi dane zetknąć się z Nim osobiście. Spotykam Go, tak jak większość ludzi, w Jego pismach i wypowiedziach publicznych. Dziękuję Mu za te lata nauki, które tak

gruntownie odmieniły moje życie. Swojego rodzonego ojca zobaczyłem po raz pierwszy mając lat osiemnaście. Zmarł wkrótce potem, nie nauczywszy mnie niczego. Z moim przybranym ojcem pewnie nigdy nie uda mi się zamienić słowa, a jednak nauczyłem się od Niego rzeczy najważniejszych. Wśród nich również tego, kim naprawdę jestem dla mojego syna. Kiedy dorośnie i sam będzie miał dzieci, życzę mu, żeby przeżył lekturę *Rozważań o ojcostwie* Karola Wojtyły tak, jak ja ją przeżyłem.

To wszystko, co zostało tutaj powiedziane o „ojcu” wymaga koniecznie powiązania ze słowem „święty”. Dopiero w kontekście tego drugiego połowicznego i sentymentalne rozumienie pierwszego nabiera prawdziwego sensu. To drugie słowo przenosi nas w inny wymiar głoszonych przez Papieża prawd, ujawnia ich ponadludzki charakter i źródło. „Święty” – a więc połączony bezpośrednio z *sacrum*, z jego tajemnicą i siłą, z czystością jego celów i jego miłością. To nie tylko ojciec tłumaczący znaki, poprzez które *sacrum* pojawia się w życiu człowieka. To także osoba, której przedziwne ojcostwo uświęcone zostało przez Boga. Słowo Chrystusa nadające jednemu z apostołów imię Kefas uznajemy w naszym Kościele powszechnym za akt uświęcenia przewodnictwa duchowego, jakie sprawuje nad nami każdy z następców Piotra.

To pozwala nam wierzyć, że każde przesłanie Ojca Świętego ma swój sakralny sens nie tylko dlatego, że jest głową Kościoła, ale że została Mu dana łaska pośredniczenia pomiędzy Słowem Boga a naszym rozumieniem tego Słowa. Symboliczne klucze do Królestwa Niebieskiego otwierają przecież nie tyle jakieś wrota wiodące w zaświaty, ile raczej drogę ku niełatwym prawdom, które Jezus pozostawił nam tu na ziemi, drogę ku zbawieniu, które, jak pisze Hölderlin, jest tak bliskie, a przecież tak trudne do uchwycenia. Dlatego Ojciec Święty uczy nas raczej modlitwy niż tego, jakie praktyczne zachowania się są słuszne, a jakie nie. Jest przede wszystkim człowiekiem modlitwy, a dopiero potem całej reszty. Dlatego świętość Jego ujawnia taką skalę wartości, na której to, co niewidzialne, góruje nad tym, co widzialne. Taki jest prawdziwy porządek świata, a On został wybrany na strażnika tego porządku.

W każdym człowieku drzemie potrzeba pozostania dzieckiem. Ojciec Święty jest tą osobą, która daje mi bezpieczne i radosne poczucie bycia synem aż do ostatnich chwil mojego życia.

Prof. EDMUND WNUK-LIPIŃSKI, socjolog

Nie miałem nigdy przywileju widzieć Jana Pawła II z bliska, a jednak jest to człowiek, którego osobowość wywarła duży, by nie powiedzieć – zasadniczy wpływ na moje życie.

O tym najgłębszym wpływie, a więc najistotniejszym, bo najbardziej podstawowym, nie mogę i nie chcę pisać, są to bowiem sprawy zbyt intymne. Ograniczę się zatem do prostego opisu tych kilku ważnych spotkań, które – niby kolejne stopnie schodów – doprowadziły mnie do miejsca, w którym jestem obecnie, i do przeświadczenia, że to nie jest wcale koniec wędrówki, że póki życia – póty wędrowania. Każdy kolejny stopień był coraz wyższy, pokonanie go wymagało coraz większego wysiłku, ale wezwanie okazywało się silniejsze niż ociężałość dawnych nawyków, przyzwyczajajeń i przekonań. Ale po kolei...

Pierwsze spotkanie było najbardziej nieoczekiwane. Późnym popołudniem zadzwonił telefon. Ktoś z przyjaciół podekscytowanym głosem powiedział: „Słyszałeś? Karol Wojtyła został papieżem. Mówili przed chwilą w telewizji”.

Włączyłem radio i przejechałem po skali: we wszystkich językach odmieniano to samo nazwisko. A więc to prawda. Spojrzałem na kalendarz. To był szesnasty dzień października 1978 roku, imieniny Ambrożego i Florentyny. Powiedziałem do najbliższych: „Zapamiętajcie tę datę, będzie ważna nie tylko w historii Polski”. A potem czekałem niecierpliwie na transmisję telewizyjną z placu Św. Piotra. I gdy wreszcie ujrzałem Go na balkonie w Stolicy Piotrowej, jakby zaskoczonego, a może nawet zmieszanego tak nieoczekiwanym obrotem spraw, poczułem, że dzień ten dla wielu Polaków będzie ważny nie tylko ze względów politycznych, ale także duchowych. Ten Papież bowiem będzie do nas mówił w naszym własnym języku i będzie nam w tym języku zadawał pytania, od których zdążyliśmy odwyknąć.

Drugie spotkanie z Janem Pawłem II odbyło się w skwarny czerwcowy dzień 1979 roku na placu Zwycięstwa w Warszawie,

a właściwie wcześniej, gdy – schowany w tłumie na skarpie Trasy Łazienkowskiej – ujrzałem Go po raz pierwszy z odległości kilku metrów. Otaczający mnie tłum był inny niż zwykle; zniknęła gdzieś tak obecna w życiu wielkiego miasta wzajemna nieufność, arogancja, brak kultury i egoizm. Dominowała życzliwość, radość i poczucie wspólnoty. Było to dla mnie doświadczenie nowe i bardzo uderzające; przede wszystkim dlatego, że w skali tak masowej nigdy się z czymś podobnym nie zetknąłem. Oto pod wieloletnimi zwałami powszednich frustracji, zagonienia i niechęci, kiedy drugi człowiek postrzegany był przede wszystkim jako konkurent do skromnej puli dóbr, a nie – po prostu bliźni, przechowały się – niczym rodzinne precjoza – postawy, które spotkać można co najwyżej w kręgu najbliższych. Teraz ludzie otrzepali je z kurzu i zmanifestowali publicznie, jakby na przekór siermiężnej codzienności. Przywdziali je na tę uroczystość jak nie używane, niemodne ubrania i rozglądając się wokół stwierdzali z zaskoczeniem, że inni też noszą ten sam fason. Nagle i zupełnie nieoczekiwanie pojęcie „my”, odnoszone wcześniej najczęściej do rodziny i przyjaciół, rozszerzyło się ogromnie, zaś kategoria „oni” skurczyła się tak znacznie, że naruszone zostały same podstawy poczucia zagrożenia, niekiedy przybierającego postać bardzo konkretną, ale najczęściej – zagrożenia nieokreślonego, a przez to trudniejszego do zwalczenia i bardziej paralizującego.

A potem – to wielkie wołanie na placu Zwycięstwa. „Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej ziemi”. Było to wezwanie skierowane do całego narodu, ale zarazem – do każdego z nas. Do mnie też. Byłem wszak jedną trzydziestopięciomilionową częścią tej ziemi. Po wyjeździe Papieża nastrój powszechnego święta powoli opadał. Pozostały jednak zadane przez Niego pytania i prośby, a nade wszystko – owo wezwanie, które zakotwiczyło się w mej duszy i nie dawało spokoju. Czuję, że nie może już być tak jak przedtem. Za rok dowiedziałem się, że podobnie czuła większość narodu; powstała „Solidarność”, która w pierwszej fazie swojego istnienia stała się przede wszystkim ruchem etycznym. Odbudowany został w życiu publicznym aksjologiczny fundament wspólnoty narodowej. Zyskałyśmy nasze własne symbole i wartości, na których mogliśmy wznosić od początku nasz własny gmach narodowy. Nie trzeba było burzyć starego, narzuconego porządku społecznego; wystarczyło go opuścić. Jan Paweł II pokazał nam alternatywę i w pewnym sensie sam stał się tej alternatywy częścią. Myślę, że to był najgłówniejszy powód, dla którego zmiany

– zapoczątkowane powstaniem „Solidarności” – miały charakter pokojowy, a przemoc została odrzucona, chodziło bowiem nie o burzenie, lecz o budowanie. To budowanie odnosiło się zarówno do sfery życia zbiorowego, ale zarazem także do życia duchowego ludzi; do konstrukcji wewnętrznego ładu moralnego w miejsce codziennych kompromisów, ustępstw i uników.

Trzecie spotkanie z Janem Pawłem II miało najbardziej dramatyczny charakter. Ojciec Święty nawiedził nas w gigantycznym więzieniu, jakim była wówczas PRL. Włał w nasze serca otuchę i uświadomił nam tę prostą prawdę, iż wolność jest stanem duszy. Można być wolnym w więziennej celi, nawet gdyby miała wymiar bunkra głodowego w obozie koncentracyjnym, ale można być niewolnikiem w warunkach pozornej wolności, gdy strażników i nadzorców nie widać, bo siedzą w naszym wnętrzu. „Nie jesteś niewolnikiem!” A jeśli jesteś, to tylko dlatego, że sam przykładasz rękę do własnego spętania. Nie jesteś niewolnikiem, zostałeś bowiem wyposażony w przymioty wolności. Nosisz je w sobie, choć nie zawsze o tym wiesz czy pamiętasz. Masz wolę i masz oparcie w ponadludzkim porządku moralnym.

To było ważne spotkanie. Ogromne tłumy wokół Stadionu Dziesięciolecia, las transparentów i okrzyki, kojarzące mi się z wołaniem tonącego. A potem, ponad rozfalowanym morzem głów, popłynęły słowa Ojca Świętego, trafiające w sedno duszy. Słowa te, wypowiedane później w innych miejscach kraju, zawierały adresowane do każdego posłanie. Każdy zapewne odczytywał je na swój sposób, ale mnie uświadomiło ono, że wolność w wymiarze społecznym czy politycznym może być budowana jedynie na fundamencie wolności wewnętrznej. Tylko ludzie wewnętrznie wolni mogą stworzyć wolny ład społeczny; ludzie o duszach niewolników, wyzwoleni z pęt, nawet jeśli by chcieli zbudować wolność – stworzą jej przeciwieństwo.

Czwarte spotkanie przyniosło nadzieję, ale także przesłanie najbardziej wyrażone na spotkaniu z młodzieżą na Westerplatte. Istnieje granica, poza którą nie wolno człowiekowi wykraczać; istnieje czerwona kreska, której przekroczenie oznacza chorobę moralną. Żadne konstrukcje logiczne nie są w stanie usprawiedliwić przekroczenia tej granicy; ani teoria „mniejszego zła”, ani teoria „ochrony substancji”, ani wallenrodyzm, ani żadna inna teoria. Po przekroczeniu tej granicy, po poddaniu „swojego Westerplatte”, człowiek przestaje być sobą, sprzeniewierza się sobie i staje się kimś innym. Odnosi się to zarówno do

indywidualnych stosunków między ludźmi, jak i do wielkiej polityki, której uprawianie bez owej czerwonej, moralnej kreski staje się szalbierstwem i manipulacją.

Wszystkie dotychczasowe spotkania były brzemienne w treści, ale to przecież nie koniec. Przyszłość przyniesie dalsze spotkania, z bliska lub z oddali, a zawarte w nich wezwania – jak ufam – stanowić będą kolejne stopnie schodów, wprowadzających nas w te wymiary życia, które – przytłoczeni codziennym biegiem zdarzeń – mamy zwyczaj zaniedbywać.

WIKTOR WOROSZYLSKI, *pisarz*

1977–1979

Te następne – wszystkie jakoś odnotowałem, a to pierwsze, w styczniu 1977 roku na Jasnej Górze, kiedy nie był jeszcze Papieżem, lecz Karolem Wojtyłą, arcybiskupem metropolitą krakowskim, może decydujące o wszystkich innych, było zarazem najtrudniejsze do wpisania w rejestr świadomości, bo było to jednocześnie pierwsze moje spotkanie oko w oko z częstochowskim Obrazem i spotkanie z sobą samym, idącym z daleka, i w tym właśnie miejscu i chwili (czego jeszcze nie wiedziałem) mającym zrobić kolejny krok ku sobie innemu i nie tylko przecież ku sobie, lecz ku większej, ważniejszej Rzeczywistości.

Znalazłem się w klasztorze ojców paulinów wespół z gronem pisarzy i kompozytorów, zaproszonych na dwudniową rozmowę o poezji i muzyce, i tu, wchodząc rankiem do kaplicy, ujrzeliśmy samotną, pogrążoną w modlitwie postać, i postać ta, otulona w ciszę i półmrok, cała była modlitwą, z której niebawem, jak ze skupionego w egzystencjalnym wysiłku ziarna, wyrosnąć miała sycąca nas także hieratyczna wspólnota Mszy, wraz z momentem odsłonięcia, objawienia się wzruszonym oczom Obrazu, i wraz z tym głosem, już nie do zapomnienia, z Jego skierowanym do nas, ale jakby nie spoza nas, lecz z nas samych wydobytym, choć nie do końca jeszcze jasnym w swej treści, przemijającym nakazem: bądźcie odważni!

Przy śniadaniu Kardynał minął czekający na Niego fotel u szczytu stołu i zatrzymał się tu, gdzie ksiądz Palusiński, odgadłszy nie wypowie-

dziane życzenie, ustąpił Mu miejsca, pozostając jednak w pobliżu, a On miał teraz po lewej ręce rozpromienioną Annę Kamieńską, po prawej – dławiącego się nieśmiałością mnie, naprzeciwko zaś Marynę i Jerzego Zagórskich, ich przynajmniej wystarczająco obytych i nie zmieszanych. Przedstawiając nas ksiądz Palusiński napomknął, że – tak się składa – wszyscy czworo jesteśmy sygnatariuszami świeżo ogłoszonego apelu o zbadanie i powstrzymanie aktów bezprawia i brutalności w postępowaniu państwowego aparatu przemocy; w ten sposób zdawał się informować Kardynała, że jeśli chodzi o sprawy publiczne, ci poeci wykazują pewną odwagę, bo przecież wiadomo, że ich gest nie spodoba się zainteresowanym. Kardynał skinął głową i przesunął uważnym spojrzeniem po naszych twarzach, jakby badając, do jakiej jeszcze odwagi jesteśmy zdolni, skoro nauczyliśmy się już praktykować taką, której, podobnie jak wskazujący na nią ksiądz, bynajmniej nie lekceważy, ale wie i pragnie, byśmy także to pojmowali, że istnieją wyższe, trudniejsze drogi...

Wtedy to, na Jasnej Górze, podczas Mszy i odsłonięcia Obrazu i podczas oniemiałej mojej współobecności z wzywającym do odwagi przyszłym Papieżem, zaczął wibrować we mnie dźwięk, który po powrocie do domu rozwinął się w pierwszy w moim życiu – bo po raz pierwszy pozwoliłem sobie na to, ośmieliłem się, wyzbyłem się paralizującej wątpliwości, czy mam prawo do tego – wiersz-modlitwę:

*Matko Boska ciemnowolica
przybyła z dalekich stron
spraw by nikt tu nie był obcy
każdy żeby miał tu dom*

Nie będę przytaczał całego wiersza, który od tego czasu doczekał się niejednego przedruku, śpiewano go także na różne melodie, poprzestanę na drugiej zwrotce, zawierając, jak sądzę, wraz z pierwszą, główny motyw modlitwy mojego życia, do której wypowiedzenia poczułem śmiałość wskutek spotkania z częstochowskim Obrazem i z Nim:

*Matko Boska ze szramami
rany ducha zasklep nam
krwawe rowy dzielą ludzi
niech się ściagną na kształt szram*

Nie stałem się odtąd twórcą poezji religijnej, ale wątek modlitewny zaczął się przebijać przez oporną zwyczajność mojego myślenia wier-
szem. Półtora roku później, podczas pierwszej pielgrzymki Jana Pa-
wła II do Polski, nie zdając sobie jeszcze sprawy, jakim katalizatorem
wspólnej odwagi całego narodu, odwagi społecznej, stanie się ten
p o b y t, ale w pojedynczości swojej i odległości od ołtarza coś
przeczuwając, czegoś się spodziewając, nie wstydziłem się już modlić za
samego siebie:

*W tej obecności co jak ciepły płaszcz
dla siebie proszę o najprostsze z łask*

*Niech się otworzę jak na oścież dom
aby przeze mnie wiatr ogromny dął*

*Niech się rozjaśnię jak okno we mgle
Niech się przełamię jak gorący chleb*

*Niech się poruszę jak na fali łódź
Niech się odnajdę jak zgubiony klucz*

1983

...Zapytał mnie ktoś owego czwartkowego poranka, czego się
właściwie spodziewam po Odwiedzinach. Nie zaskoczyło mnie to
pytanie, bo sam już je sobie zdążyłem po wielokroć zadać. Spodziewam
się – odpowiedziałem – załamania schematów. Żyjemy w schematach,
wszystko nas w nie wtlacza i sami się wtlaczamy, na każdym kroku
schematy psychologiczne, organizacyjne, powszednie, odświętne, szty-
wne ramy, żelazne formy, sznurowane gorsety. I na tę wizytę również
przygotowany jest schemat, czyż nie jego znakiem są choćby te bariery
z rur, którymi jak zeszyt pilnego ucznia pokratkowano Warszawę,
mamy się w nich zmieścić z naszymi nadziejami, emocjami, modlitwami
jak z zadaną lekcją, to ma ustatkować nasz żywioł, nasza miłość ma być
odtąd – dotąd, i Ten, którego będziemy witali, ma się zmieścić w jakiejś
centralnej, przeznaczonej dla siebie kratce – otóż nie! Zawsze i wszędzie
przełamywał schematy albo raczej: pomijał je, szedł i prowadził za sobą
innymi ścieżkami, i teraz też tak się stanie, schematy pokruszą się
i opadną z nas jak zeschnięte liście, odetchniemy pełną piersią, pozost-

staniemy sam na sam z Nim i Jego posłaniem, wewnątrz tego posłania, odtwarzający sobą jego treść, wyzwoleni i nowi.

Tak odpowiedziałem, kiedy jednak tego samego dnia po południu w niewielkim, ale już udręczonym tłumku posiadaczy przepustek długo i zmusznie przeciskałem się przez ucho igielne, prowadzące na płytę, i nieco później, po wylądowaniu, kiedy wciąż był daleko, mimo że padły już te wspaniałe słowa do cierpiących, chorych i uwięzionych, by poczuli się blisko (a pamięć o tych właśnie towarzyszyła nam stale, była częścią naszego oczekiwania), i kiedy ustawionych w szyku powitalnym, oddzielonych i odsuniętych, coś jakby krępowало i powściągało, tłumilo śpiewy, ucinało okrzyki, do moich uczuć także domieszała się jakaś czczość i zwątpienie, i taką samą konfuzją jeszcze trochę później, choć wciąż tego samego dnia, podzieliła się ze mną A., która witała była Gościa na trasie przejazdu, mówiła więc o dzieciach w bieli przed kościołem, w ostatniej chwili zasłoniętych zwartym szeregiem barczystych mężczyzn, o niepewności i wyciszeniu szpalerów i pytała, czy tak już będzie do końca.

I tego samego wieczora, podczas Mszy w katedrze i po niej, wszystko się odmieniło.

Kiedy więc nazajutrz ciągnęliśmy ze wszystkimi na stadion, rurociągi żelaznych barier były już tylko szczegółem technicznym i szpetnym rysem krajobrazu, ale nie znakiem. Znakiem był krzyż nad stadionem i my u jego stóp, nasze chorągwie, transparenty i kwiaty, twarze i ramiona, wielkie nasze koło, my – Warszawa, my – Polska, byliśmy znakiem i znaczeniem, ruchem i wzruszeniem, i wtórowaliśmy sobą, pomnażaliśmy znak i znaczenie, uosobione w tej wysokiej białej sylwetce, błogosławiącej nam, wyciągającej nad nami ręce.

To wtedy my, tak znużeni, tak zawstydzeni klęskami, usłyszeliśmy słowa o zwycięstwie. „Pragnienie zwycięstwa [...], zwycięstwa odnoszonego nawet poprzez klęski – należy do chrześcijańskiego programu życia człowieka. Chodzi o zwycięstwo natury moralnej [...], o dojrzały ład życia narodowego i państwowego, w którym będą respektowane podstawowe prawa człowieka. Naród sam musi odnosić to zwycięstwo, które Opatrzność Boża zadaje mu na tym etapie dziejów.”

Trzy dni później zaś, w Katowicach, nam, tylekroć karconym i pouczanym, i wyszydzanym za niedostatki umysłu i charakteru, ten sam głos przypominał, że byliśmy już uczestnikami i współtwórcami

historycznych wydarzeń, w których element zwycięstwa moralnego odgrywał rolę zasadniczą, że byliśmy więc, że umieliśmy być zwycięzcami. „Co w szczególności dawało do myślenia szerokiej opinii publicznej – mówił Gość – to fakt, że w wydarzeniach tych chodziło przede wszystkim o sam moralny ład związany z pracą ludzką, a nie tylko o podwyższenie zapłaty za nią. Uderzała również i ta okoliczność, że wydarzenia te były wolne od gwałtu, że nikt nie poniósł przez nie śmierci ani ran. Wreszcie i to, że [...] nosiły na sobie wyraźne znamię religijne.”

Wiedzieliśmy o tym przecież i pieczołowicie przechowywaliśmy w sobie nasze zwycięstwo, ale – przysypane już gruzem powszedniości, odłamkami jej klęsk, załamania, zakłamania. Jak dobrze, że rozległ się wielki czysty głos, który od nowa wydobył t a m t o spod rumowiska.

Nie było cudu. Była t y l k o obecność – mądra, czuła, krzepiąca. Obecność, czyli wiedza doświadczona całym jestestwem, zrozumienie, solidarność i więcej niż współczucie: współodczuwanie. Obecność Ojca, ta, która tworzy dom i wokół której skupiają się ciasno, ilekolew ich jest, synowie i córki. Wielka praca obecności, wielka myśl obecności, wielkie misterium obecności.

I były w tym wszystkie uczucia, jakimi żyjemy, także smutek i troska, nie był to jednak smutek, który pozostaje niezmiennie smutkiem lub zamienia się w rozpacz, lecz taki, w którym tai się również przeczuć radości, zadatek radości, jak w przewyciężonej klęsce – ziarno zwycięstwa.

A kiedy w kościele OO. Kapucynów przytulił do piersi zbolalą B.S., to przytulił ból wszystkich matek i ojców, ból tej ziemi, n a s z cały ból przytulił i pocieszył, i pobłogosławił.

Może więc i to zaszło w owych dniach Odwiedzin, że zgromadzeni wokół Człowieka, który w jakiś sposób – na swoją, ogromną miarę – stał się nami wszystkimi, że w owych dniach my wszyscy (społeczeństwo? naród?) też stawaliśmy się – każdy na własną miarę albo nawet trochę ponad własną miarę – jak On, na Jego podobieństwo: zdolni do wolności, do miłości, do moralnego zwycięstwa.

1985

...przywitanie z Rzymem, ożywianie wyblakłych fotografii, wizyty powitalne u starych znajomych, na czele z fontanną di Trevi, do której jedenaście lat temu na odjeźdny wrzuciłem grosik, czułe rozpoznawanie postarzałych rysów gmachów i ulic, bo przecież w tej właśnie

dzielnicy, na nieefektywnym zapleczu pysznej via Veneto mieszkaliśmy byli jeszcze dawniej, za pierwszym naszym pobylem...

Nie wszystkich wszakże znajomych zastajemy w domu, wilczyca z podwiniętym ogonem uciekła z Kapitolu, a Marek Aureliusz, porzucając pusty cokół, pocwałował do konserwacji.

My mieszkamy teraz na via Boccaccio, wąskiej uliczce bez chodników, którą w jednym kierunku przeciskają się samochody, a pomiędzy nimi nurkują nieustraszeni przechodnie. Locum jest skromne, posiłki niewystawne i signora denerwuje się, gdy ktoś prosi o ręcznik czy prześcieradło: to pensione dla pielgrzymów, komu niewygodnie, może szukać droższych hoteli... Ale w gruncie rzeczy poczciwa z niej kobiecina, pobożna, w niedzielę rano (ostatni, najważniejszy dzień naszego pobytu) na podwóreczku (białe ściany, drzewko, fontanna obrośnięta zielenią i złotymi rybkami) ustawia z mężem stół, nakrywa haftowanym obrusem, stawia krzyż, kwiaty i zapaloną świecę – i ksiądz Wiesław przy tym ołtarzu odprawi Mszę, i signor z signorą także skłonią z nami kolana.

Msze mamy codziennie, każdą gdzie indziej, i choć zawsze modlimy się o to samo, trochę inaczej zdają się rozbrzmiewać nasze wyznania i prośby w podziemiach Bazyliki Świętego Piotra, w pobliskiej kaplicy, jednej z kaplic różnych narodów, okalających grobowiec ze szczątkami z rzeczywistego grobu Świętego (są i groby niepewne albo rzekome), gdzie tedy dochodzą nas śpiewy z innych kaplic i mieszają się płynące do nieba rozmaite mowy tej samej wiary, inaczej zaś – w spiętrzonej zboczami i kościelnymi murami Asyżu, gdzie Msza w dolnej bazylice Św. Franciszka jest jakby finałem stromego podejścia w górę i schodzenia po schodach, fizycznego wyczerpania sił i duchowego ich nabierania.

Tutaj byliśmy już przed laty, my oboje i Witold z Marylą, spotkaliśmy się byli w Rzymie i razem wyruszyliśmy do Asyżu, gdzie wszystko zdaje się dziś jak wtedy: przed katedrą Św. Rufina ten sam lew zjada poganina zaczynając od głowy, a w małym kościółku Porcjunkuli (ogarniętym przez większy) z resztkami cel franciszkańskich, w korytarzu prowadzącym od tych cel do wonnego rozarium, figura łagodnego Patrona trzyma w ręku gniazdko, gdzie gruchają synogarlice. Tylko w górnej bazylice Św. Franciszka, poprzez freski Giotta, pełne ciepła i ruchu, biegną dwie duże rysy od trzęsienia ziemi, wypełnione cementem.

W Monte Cassino nie byliśmy nigdy, to już sobota, rano przyszła wiadomość, że jutro, jutro... teraz zaś podnieceni jedziemy w słońcu, między winnicami i gajami leszczynowymi, wzgórza porośnięte żarnowcem wyglądają jak zadarte brody kozłów, inne, z piniami na szczycie, na tle nieba sprawiają wrażenie wykończonych koronką, wjeżdżamy coraz wyżej, serpentynami coraz bardziej karkołomnymi, aż strach patrzeć w dół, i w pewnej chwili jesteśmy już nad cmentarzem, nasz autokar jak śmigłowiec szybuje nad nim, zniża się, i już schodzimy cyprysową aleją (czy tujową? przymykam oczy, by ją ujrzeć wyraźniej), i dobiega nas *Jeszcze Polska*, to przy grobie Generała nieznanymi rodacy, wtórujemy im, jak umiemy, potem sami dochodzimy do grobu, składamy kwiaty, modlimy się i wchodzimy dalej między kwatery, i naprzeciw pręży się żołnierska Rzeczpospolita, nazwiska mazowieckie, kresowe, różne, obok grobów katolickich stają do apelu prawosławne i wyznania mojżeszowego...

I tak mija nam tydzień pod opieką Księdza Duszpasterza i młodego cicerona, który z oddaniem i rzetelną wiedzą oprowadza nas po kościołach, muzeach, forach...

We wtorek huczna detonacja i akompaniująca jej strzelanina wstrząsają pobliskim piazza Barberini; to przypomina o sobie (bylibyśmy o nim zapomnieli, zatopieni w kontemplacji pod cudownie malowanym, jakby rzeźbionym, sklepieniem Kaplicy Sykstyńskiej) świat teroru i nienawiści: Jestem – syczy – niech wam się nie zdaje, że schronicie się przede mną w ciszy naw i blasku ołtarzy, dokądkolwiek pójdziecie, dopadnie was moja ciemność, mój gwałt, jęk moich ofiar.

W środę podczas audiencji generalnej na placu Św. Piotra (stajemy na krzesłach tuż przy barierce) Papież w otwartym samochodzie wydaje się za pierwszym przejazdem smutny, z bolesnym wyrazem twarzy i jakby postarzały – czy trapi Go niemożność przepędzenia zła z tego świata, czy przed chwilą znów przyniesiono Mu niedobłą jakąś nowinę? – Ale za drugim jest dawny, wypogodzony, i kamień spada nam z serca.

W niedzielne południe *Aniol Pański* po łacinie i włosku, tłum na dole, Jan Paweł, powitany oklaskami, w oknie pałacu...

I wreszcie wieczorem – tu jednak, w tym miejscu, najwyższy czas, żebym wyznał swój żart i małą swoją (niechże będzie mi odpuszczona) nieprawdę. Otóż: to nie ja byłem teraz w Rzymie, nie ja lądowałem, chodziłem za przewodnikiem, wpatrywałem się w malowane przez Michała Anioła sklepienie; odmówiono mi bowiem paszportu i 23

września mogłem tylko ręką machać odlatującym z Okęcia; a jednak w tej nieprawdzie jest prawda, bo był tam ktoś najbliższy, moje drugie ja, ktoś, z kim przez te lata wspólnego życia tyle współmyślałem, współpragnąłem, współtęskniłem, współwędrowałem, że teraz nietrudno nam się wymienić wzrokiem, słuchem, nadzieją, to wcielenie się w przeżycie drugiej osoby staje się naturalne i oczywiste, wymaga całkiem niewielkiego poruszenia wyobraźni. Tak więc byłem w Rzymie, widziałem, słyszałem, modliłem się – i dopiero w ten ostatni wieczór, w Sali Klementyńskiej, nie mogło mnie być, bo nieobecność moja właśnie była obecna, to ona towarzyszyła mojej J., kiedy stojąc pod ścianą, jeszcze przed wkroczeniem Papieża, ale po wysłuchaniu pouczeń zakonnika w białym habicie, żeby nie zabierać czasu Ojcu Świętemu zbędnym gadulstwem, wyrzucała sobie, że zdanie, które ma przygotowane: „Mąż przesyła wyrazy najgłębszej czci Waszej Świętobliwości” – jest za długie, i usiłowała je jakoś skrócić, co zupełnie nie wychodziło. Ale oto podchodzą do Papieża uczestnicy pielgrzymki i już na nią kolej, ks. Niewęłowski wymienia nazwisko i nim zdąży wykrztusić, Jan Paweł II ubiega ją: „Proszę pozdrowić męża” – mówi zwyczajnie i ona, w oszłomieniu, zaczyna jąkać to swoje zdanie, a Papież, nie czekając końca, dorzuca: „Czytam jego teksty”. Szczęśliwa (jeszcze ona czy to już ja szczęśliwy?), robi krok dalej i przypomina sobie, że nie ucałowała pierścienia, więc zawraca i schyla głowę...

Sobota wieczór, 13 czerwca 1987

Twarz Jana Pawła II z bliska jest pogodna, prosta i dobra; nie widać na niej bruzd, to dobroć właśnie ją wygładziła i natchnęła spokojem.

Inne imię tej dobroci, pierwsze jej imię: miłość.

I teraz tu, w warszawskim kościele Św. Krzyża, kiedy nieśpiesznie przechodzi naszym szpalerem, zatrzymując się często i witając wychylonych ku Niemu (jest sobota, 13 czerwca, wieczór, kiedy to się dzieje, i ten sam wieczór, tylko trochę późniejszy, kiedy próbuję to zapisać, zachować), teraz zatem tu, w kościele Św. Krzyża, kiedy już zatrzymał się także przy nas i przeszedł jedną stroną szpaleru (drugą przejdzie wracając, na pożegnanie), i zajmwszy miejsce na tronie, pozostał na chwilę sam, nie samotny, ale zatopiony w sobie, w swoim jakże wśród tych trudów koniecznym krótkim wytchnieniu nad złożoną Mu przez nas w darze małą częścią dźwiędzności świata, nad cudownie wytrysłą ze skały ludzkich gardeł i instrumentów *Stabat Mater* Szyma-

nowskiego, teraz, tu, miłość, na czas tej muzyki wyzbywając się wszystkich imion, po prostu jest, jest oczywistością, wspólnym naszym istnieniem, trwaniem wokół Postaci i Znak, całością bytu.

Wnet jednak z muzycznego niewysłowienia znów wyłoni się słowo, znajdzie drogę rozproszeniu, zmusi do skupienia, zatrzymania się przy istocie, i nikogo nie zdziwi, przeciwnie, wyda się naturalne i słuszne, że będzie to, w ustach Papieża, z ust Norwida wyjęte, tak dobrze znane, tak proste, a tak odnowione raptem:

Cóż wiesz o pięknem?...

Kształtem jest Miłości

– i prawie natychmiast, jako dalszy ciąg tego pozornie prostego, jako wysnuty zeń wątek – trudniejsze, wymagające, w głąb i wzwyż prowadzące:

Bo piękno na to jest, by zachwycalo

Do pracy; praca – by się zmartwychwstało.

Dwudziestoosmioletni geniusz, ubogi, chory, nie rozumiany, ganiiony za „ciemność”, w paryskim hoteliku nad rękopisem, prekursor – czyli ten, który poprzedza – co poprzedza? O wiek późniejsze myślenie, czucie, kształtowanie się pojęć – twórca *Promethidiona*, pośród nas, także „twórców” (z jakim zawstyżeniem dźwigać trzeba to miano, pamiętając, że tylko z rzadka, z wyjątkowej Łaski, wznieść udaje się do tworzenia), Norwid z roku 1850 wspiera nas i naszego Pasterza dzisiaj właśnie potrzebnym słowem.

I choć niedługo opuścić wypadnie tę przestrzeń wolności, którą wskazał nam Papież (jej zarazem wskazując nas, przychodzących z tak daleka nieraz, i wzywając, by umiała nas przyjąć), i znów znajdziemy się w ciemnym, parnym mieście, tym samym i nie tym samym co zawsze, na ulicy spętanej liną, nastroszonej barykadami, które właśnie jacyś ludzie rozmontowują i zwolnione z żelaznego uścisku rury opadają z donośnym brzękiem, i zaraz za progiem kościoła będziemy mówili o czymś innym, z A. o jego chorej żonie, którą trzeba wysłać na operację, z S. o tym, co spotkało go wczoraj w drodze, z R. z nienacka ujrzanym po kilku latach – jak się ułożyły jego koleje, a wreszcie rozejdziemy się w różne strony, przyśpieszymy kroku, na

przystankach wepchniemy się do zatłoczonych wagonów, choć to wszystko zaraz wciągnie nas, wessie, porwie, to przecież tamto pozostanie z nami, i w bezimienności swej, i we wszystkich nazwach, będzie nam towarzyszyć, przetrwa w nas, a my w tym, bo jednym z imion, które też się rozległo donośnie (imion kultury, a więc pracy – piękna – miłości), jest: trwanie.

Ale jeszcze nie, jeszcze jestem tutaj, jeszcze nie ochłonąłem po tej twarzy z bliska, po zdumiewającej, jakby mimochodem objawionej, gdy zatrzymał się przy nas, pamięci i wiedzy o każdym z osobna – a to był już fragment tego gestu serdecznego, wstęp do gestu, którym niebawem wszystkim nam, grającym, malującym, piszącym, wszystkim wiernym i marnotrawnym, udzielił miejsca w tak wspaniałomyślnie, tak szeroko otwartej przestrzeni – gestu solidarności, tego samego, którym wcześniej ogarnął był rolników i robotników, rodziny zmagające się z dniem powszednim i chorych w ich cierpieniu i cierpliwości, utrudzone kobiety i ufne dzieci – gestu, którym objął nas jeszcze mocniej, łącząc w jednym zdaniu (zawierało ważne słowo „przymierze”) świat kultury ze światem pracy...

Jestem tutaj i myślę o tym z kolei imieniu miłości, które brzmi: solidarność – i oznacza nie tylko współczucie (ależ tak! nieprzebrany ogrom współczucia dla człowieczej nędzy, bólu i poniżenia), nie tylko zrozumienie dla wysiłków, porywów i zmagañ ludzkich, dla słabości naszej i ułomności, z którą się borykamy, dla potrzeb przyziemnych i wzniosłych, dla wartości, jaką ma dla nas kromka chleba, dach nad głową, dotyk dłoni przyjaznej i wyprostowanie ramion w godności, oznacza nie tylko braterstwo, zespolenie, utożsamienie z nami takimi, jacy jesteśmy, umiłowanie takich i wybaczenie. Tak, wszystko to – lecz zarazem coś przeciwnego na pozór, brak przyzwolenia na małoduszność, na łatwość, na bylejąkość – wezwanie do siły, do przekraczania własnych niepewnych granic, do heroizmu. W pięknej mowie symboli, wytyczających drogę solidarności, pojawiły się tedy imiona miejsc – jak w spotkaniu z młodzieżą, Westerplatte – Westerplatte, które każdy ma s w o j e i którego trzeba bronić do końca, i imiona osób – szesnastoletniej Karoliny z wsi pod Tarnowem, biskupa Michała, księdza Jerzego... I ta trudna, może nawet budząca opór przypowieść ewangeliczna o bogatym młodzieńcu, któremu Jezus nakazał oddać wszystko, co posiada, a on odszedł zasmucony, ponieważ „miał majątności wiele”...

Surowe to wymaganie, każdy przecież ma „majątności”, nie chodzi

tylko o dobra materialne, czyż nie tym samym są ambicje, aspiracje, nadzieje, stanowiska, wygody, spokój, sława, aprobata otaczających – wszystko, czego nie chcąc się wyrzec rezygnujemy często z obrony krzywdzonego, z dania świadectwa, z niepokory wobec przemocy...

Jeszcze jestem tutaj, w ten sobotni wieczór, w kościele, w wielkim chórze odmawiających „Ojcze nasz, któryś jest w niebie”, i wydaje mi się w tej chwili, że Ten, do którego się zwracamy, Ten, który do końca nas umiłował, jest taki jak Namiestnik Jego na ziemi: solidarny z ludźmi i wymagający, by chcieli, by spróbowali, by zdobyli się na odwagę... I twarz ma, jak On, pogodną, prostą i dobrą.

Prof. ZBIGNIEW WÓJCIK, historyk

Pierwszego spotkania nie zapomnę nigdy. Spiker telewizji polskiej głosem raczej zupełnie zaskoczonym i zdumionym niż wzruszonym podał wiadomość o wyborze kardynała Wojtyły na papieża. A w parę sekund później zdjęcia filmowe z Watykanu i głos kardynała Felice: *Annuntio vobis gaudium magnum*. W moim domu radość i wzruszenie były podwójne, gdyż po śmierci Jana Pawła I syn twierdził uparcie, że nowym papieżem wybrany zostanie kardynał Wojtyła. Żona i ja nie wierzyliśmy w to zupełnie, stąd całkowite zaskoczenie, a także triumfalna radość syna. Czyż nie mógł o sobie powiedzieć: „Urodzony w niewoli, okuty w powiciu, ja tylko jeden dzień taki miałem w życiu”. Jakże piękny był to dzień!

Ogromnie wzruszające było dla mnie spotkanie z polskim Papieżem w Stanach Zjednoczonych. Miało ono miejsce nie w czasie pierwszej wizyty Ojca Świętego w USA, lecz podczas Jego pierwszej pielgrzymki do ojczyzny. Był czerwiec 1979 roku. Przebywałem wówczas w Nowym Jorku jako stypendysta Columbia University. Zainteresowanie tą pierwszą wizytą Jana Pawła II było w Stanach wprost ogromne. W prasie, w radiu, w telewizji wiadomości z pielgrzymki polskiej zajmowały bezapelacyjnie pierwsze miejsce. Uśmiechnięta twarz Papieża Wojtyły i ogromne zdjęcia witających Go tłumów rzucały się w oczy z czołowych stron wszystkich gazet, z ekranów telewizorów. Mieszkałem w wielkiej kamienicy nowojorskiej, której lokatorami byli Latynosi, Polacy, Rosjanie, Żydzi i przedstawiciele innych jeszcze narodowości. W dniach tych wszyscy chyba mieszkańcy tej kamienicy oglądali w TV wielogodzinne programy relacjonujące przebieg wizyty papieskiej w Polsce (Latynosi we własnym, hiszpańskojęzycznym programie).

Nigdy nie zapomnę dnia, w którym ze wszystkich telewizorów w kamienicy, na tle obrazu Papieża z rękami wyciągniętymi ku wielotysięcznym tłumom, popłynęły na Nowy Jork jakże znane i bliskie mi słowa: Boże, coś Polskę. To było niepowtarzalne przeżycie!

W dwa dni później pojechałem do Cambridge w stanie Massachusetts, w odwiedziny do (zmarłego niedawno) profesora Wiktora Weintrauba. Wizyta papieska była oczywiście tematem nr 1 naszych rozmów. Pamiętam, była sobota rano, godz. 9. Profesor otworzył radio, byśmy mogli wysłuchać najnowszych News. I oto nagle z amerykańskiego radia usłyszeliśmy dobrze znany, silny głos, mówiący po polsku: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” Spojrzeliśmy na siebie z Profesorem. Wrażenie było ogromne, a czy nasze jakoś nie wiadomo dlaczego zasnuły się mgłą. Tych dni z polskim Papieżem w Stanach Zjednoczonych w czerwcu 1979 roku nie zapomnę nigdy.

Szczerzą osobistego kontaktu z Ojcem Świętym doznałem dopiero 13 czerwca 1987 roku na spotkaniu Jego ze środowiskami twórczymi w warszawskim kościele Św. Krzyża. Uderzyły mnie wówczas dwie cechy tego człowieka – rzucający się w oczy już w pierwszej chwili spotkania charyzmat i niezwykle trafny dobór tematu króciutkiej przecież z konieczności rozmowy z aktualnym interlokutorem.

Na początku maja 1988 roku uczestniczyłem w międzynarodowym sympozjum poświęconym 1000-leciu chrztu Rusi Kijowskiej, które odbyło się w Rzymie. 5 maja w godzinach południowych uczestnicy sympozjum zostali przyjęci przez Papieża. Przemówienie Ojca Świętego dotyczące problematyki naszych obrad spotkało się z pełną aprobatą większości uczestników spotkania. Uderzyło nas trafnością nie tylko swoich sformułowań historycznych, lecz również i aktualnych politycznie. Później każdy z nas został przedstawiony Papieżowi. Jakże miło było mi usłyszeć z ust Ojca Świętego, że pamięta mnie z Warszawy i że czytał niektóre z moich prac historycznych.

Jest rzeczą jasną, że dla każdego katolika spotkania z Janem Pawłem II nie mogą się ograniczyć do tego typu kontaktów, o których wspomniałem wyżej. Pozostają przecież Jego myśli, wyrażone w encyklikach, homiliach, wystąpieniach publicznych. Nie sposób laikowi zgłębić tę myśl całą. Nawet gdyby to potrafił, nie mógłby swoich wrażeń i przemyśleń ująć w ramach krótkiej wypowiedzi.

Jako właśnie taki laik stanąłem przed arcytrudnym wyborem – co mnie najbardziej zafascynowało w myśli i wypowiedziach Jana Pawła II, która z Jego wypowiedzi wywarła na mnie największe wrażenie?

Zdaję sobie w pełni sprawę z tego, że wybór mój jest bardzo subiektywny, uproszczony, a ponadto obciążony grzechem niekompetencji. Ale jednego jestem pewien – jest szczerzy, podjęty z najgłębszym

przekonaniem, najlepiej odzwierciedlający moje życiowe problemy, doświadczenia i dramaty.

Papież-Polak mówił do młodzieży na Westerplatte 12 czerwca 1987: „Wasze powołanie i zawody są różne. Musicie dobrze rozważyć, w jakim stosunku – na każdej z tych dróg – pozostaje «bardziej być» do «więcej mieć». Ale nigdy samo «więcej mieć» nie może zwyciężyć. Bo wtedy człowiek może przegrać rzecz najcenniejszą: swoje człowieczeństwo, swoje sumienie, swoją godność [...] Każdy z nas, młodzi przyjaciele, znajduje też w życiu jakieś swoje Westerplatte. Jakiś wymiar zadań, które musi podjąć i wypełnić. Jakaś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć. Jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić. Nie można zdezerterować. Wreszcie – jakiś porządek prawd i wartości, które trzeba utrzymać i obronić, tak jak to Westerplatte, w sobie i wokół siebie. Trzeba obronić – dla siebie i dla innych”.

Słowa były skierowane do młodzieży, ale przecież dotyczą wszystkich, nawet ludzi zaawansowanych wiekiem, wszystkich, którzy wyznają jakieś zasady moralne, jakieś imponderabilia. Dla ludzi tych, bez względu na ich wiek, religię, narodowość, światopogląd, zawsze kiedyś w życiu nadejdzie „moment Westerplatte”. Zawsze staną kiedyś przed problemem: kapitulować czy bronić się dalej? Nierzadko los postawi przed nimi tragiczne pytanie: czy warto stawiać na przegraną sprawę?

Nie tylko warto, lecz trzeba, jedynym kryterium jest słusność bronionej sprawy, nawet jeśli jest to osąd subiektywny. Dla chrześcijanina dylemat ten jest mniej dramatyczny, gdyż chrześcijanin ma zawsze nadzieję, a więc stawiając na słuszną, lecz przegraną sprawę, wierzy lub wie, że *sub specie aeternitatis* jego sprawa przegrana nie będzie, o ile oczywiście jest słusna.

Dla nas Polaków, szczególnie dla mego pokolenia, „moment Westerplatte” ma specjalną, ogromną wagę. Dlatego przemówienie Ojca Świętego na Westerplatte w dniu 12 czerwca 1987 roku tak głęboko odczułem nie tylko umysłem, ale i sercem.

KRZYSZTOF ZANUSSI, *reżyser*

Kiedy sześćdziesiąt osiem lat temu w rodzinie skromnego galicyjskiego urzędnika przyszło na świat niemowlę płci męskiej, ktoś, kto by powiedział, że narodził się przyszły papież, zostałby poczytany za szaleńca.

Gdy w Rzymie trwało ostatnie konklawe, zaproszony przez rząd meksykański uczestniczyłem w przeglądzie moich filmów, a przy okazji zwiedzałem zabytki tego kraju. Któregoś ranka mój przewodnik, mały ugrzeczniiony człowiek o twarzy przypominającej rzeźby Majów, które mi pokazywał, przywitał mnie z promiennym uśmiechem, donosząc o wyborze na papieża człowieka z kraju, z którego pochodzę. Nie dowierzając, zapytałem o to, który z polskich kardynałów miałby zostać papieżem. Mój przewodnik uśmiechnął się zażenowany i odparł, że nazwisko było nie do wymówienia. Chcąc mu pomóc, zapytałem, z jakiego miasta pochodzi nowo wybrany papież. Mój przewodnik stropił się i po chwili odpowiedział – z Ungarii. Zrozumiałem, że wiadomość jest fałszywa, a przewodnik po prostu chce mi zrobić przyjemność. Przyszło mi na myśl, że pewnie biskup jakiegoś mniejszego włoskiego miasta stał się bohaterem kompromisu między różnymi ugrupowaniami stojącymi za kandydatami, którzy uchodzili za „papa-bilę” na konklawe. Może również mniej znany biskup z Umbrii?

Kiedy okazało się, że mój meksykański przewodnik pomylił nazwę miasta, ale nie osobę, ogarnęło mnie uczucie żalu. (Kilka lat później dałem wyraz temu uczuciu pisząc ostatni dialog do mego filmu o Janie Pawle II.) Żal, że nie będzie już więcej okazji porozmawiać z tym człowiekiem, który odejdzie od nas, by służyć całemu światu. Nie myślałem, jak bardzo ten człowiek może być światu potrzebny; uderzyło mnie to, jak bardzo nam, Polakom, będzie Go brakowało. Życie zadało kłam moim myślom podwójnie. Okazało się, że szansa rozmowy istnieje nawet w Watykanie. Okazało się także, że dla nas, Polaków, pozostanie równie bliski w Watykanie, jak był urzędując w Krakowie.

W potoku myśli, które przeleciały mi przez głowę zamroczoną meksykańskim upałem, znalazła się natychmiast refleksja pozytywna, wynikająca ze zdumienia, że okazało się możliwe, by katolicyzm światowy wybrał na swego przywódcę kogoś z nas, kogoś, kto pochodzi z peryferii, a nie z metropolii.

Odczułem w tym ogromne dowartościowanie naszych doświadczeń i naszych przemyśleń. Słowo „dowartościowanie” w tym miejscu ma znaczenie istotne. Dotyka długiej historii mego kraju, w którym często czujemy się niedoceniani. To uczucie (czy może kompleks?) może płynąć z faktu, że z historii ostatnich kilku stuleci Polska nie odnosiła imponujących sukcesów, czyli zwycięstw, nie imponowała też światu wartością swego bogactwa. Przeciwnie; nasze doświadczenie zbiorowe przeniknięte jest głównie cierpieniem, które wedle miary tego świata okazywało się często bezowocne, nie przynosiło nam ani potęgi, ani bogactwa, ani wolności.

Jeśli człowiek wyrosły z takiej zbiorowości zostaje powołany do roli światowego religijnego przywódcy, to bez wątpienia jest w tym wyborze zawarta *implicite* ocena tej zbiorowości, ale jest także ocena jednostki, Jego cech zupełnie indywidualnych, tego wszystkiego, co jest zawarte w Jego osobistej biografii.

Nad nimi chcę się zatrzymać na wstępie.

Wiele elementów wyróżniało Karola Wojtyłę z tła polskiego kleru i polskiego episkopatu. Był kapłanem późnego powołania. Wszedł w życie jako świecki, studiował na uniwersytecie, pracował jako robotnik, w czasie wojny był aktorem i autorem dramatycznym. Wszystkie te elementy czyniły z Niego postać zdecydowanie nie klerykalną, oryginalną na tle polskiego Kościoła.

Myślę, że obiektywnie najważniejszym doświadczeniem biograficznym Karola Wojtyły może się okazać Jego epizod robotniczy. Przypuszczam, że dzięki niemu stała się możliwa taka właśnie wykładnia nauki społecznej Kościoła, jak w encyklice *Laborem exercens*. Wykładnię tę odczuwam jako płynącą niejako od środka, „uczestniczącą” (żeby użyć wyrażenia z dziedziny metody socjologii). Przez wiele lat w różnych krajach miałem okazję spotykać różnych przywódców politycznych i myślicieli zajmujących się problematyką społeczną. Większość z nich, także w przeszłości, to ludzie pochodzący ze środowisk dalekich od robotnika (Marks, Engels i Lenin nie byli tu wyjątkami). Widziałem także Karola Wojtyłę w Jego codziennych kontaktach z ludźmi

pochodzącymi z proletariatu. Wydało mi się uderzającym, że w kontaktach tych było tyle zrozumienia, a towarzyszyła im neutralność, której, w moim odczuciu, często braknie politycznym orędownikom sprawy robotniczej.

Rok po tym, kiedy nakręciłem film biograficzny *Z dalekiego kraju*, przyszło mi kręcić dla RAI dokumentalny film o Watykanie jako jednej ze stolic kulturalnych Europy. Miałem wtedy okazję być obok Papieża w trakcie jednej ze środowych audiencji publicznych na placu Św. Piotra. Mogłem wtedy przyjrzeć się z bliska temu złączeniu jednostki z tłumem i uderzyło mnie, w jakim stopniu Papież stara się widzieć w zbiorowości osobę, jak stara się nawiązać z nią krótki, choćby kilkusekundowy kontakt.

W czasie premiery filmu *Z dalekiego kraju* wyszedłem z sali w trakcie projekcji (autor rzadko może wytrzymać presję wielekroć oglądanych obrazów) i dzięki temu mogłem wdać się w rozmowę z pracownikami ochrony rządu, którzy także chronią Papieża (w premierze filmu uczestniczył nie Papież, ale prezydent Pertini). Pracownicy ochrony rządu narzekali, że Papież Wojtyła jest uciążliwym obiektem ochrony, bo tak często staje i rozmawia z ludźmi. Co więcej: często staje nieruchomo. To wtedy, kiedy słucha. Kapłaństwo ma przede wszystkim funkcję nauczającą i przypuszczam, że to doświadczenie świeckie pomogło Karolowi Wojtyłemu wyrobić tę uwagę słuchania.

W tradycji katolickiej kapłaństwo jest wyborem, nad którym w ziemskim wymiarze ciąży dobrowolna samotność. Wybór taki, dokonany w pełnej dojrzałości, jest tym bardziej świadomy i nietrudno skonstruować hipotezę, że stosunkowo późna decyzja o wyborze stanu kapłańskiego ma wpływ na głębokie przemyślenia Karola Wojtyły dotyczące małżeństwa, miłości i rodziny. Dał im wyraz w swoich tekstach akademickich, a także w twórczości literackiej. Sfilmowany niedawno dramat *Przed sklepem jubilera* był próbą przełożenia teologicznych przemyśleń na język teatru, z którym Karol Wojtyła związał się bardzo głęboko w swych latach przedkapłańskich.

Młody Karol Wojtyła próbował sił jako dramaturg, ale przede wszystkim był aktorem. W potocznym rozumieniu aktorstwo jest sztuką udawania. Jako człowiek z branży rozumiem, że ten pogląd jest z gruntu fałszywy. Przeciwwstawianie aktorstwa – udawania – spontaniczności prawdzie jest wyrazem zupełnej nieznamomości rzeczy. Sądzę, że aktorstwo jest raczej sztuką komunikowania. Proces szkolenia aktora

(niezależnie od szkoły czy metody) to proces uwalniania w nim środków wyrazu, dzięki czemu jego emocje stają się czytelne i zrozumiałe dla widza. Aktor jest człowiekiem dobrze uzewnętrznionym. Doświadczenia aktorskie Karola Wojtyły objawiają się dla mnie w tym, że Jego gesty są adekwatne do uczuć, które wyraża, że Jego oddech trafnie wyraża rytm myśli. Aktorstwo jest poza tym treningiem w sztuce skupienia, która pozwala nie spostrzegać tego, co w danej chwili nieistotne. Wielokrotnie powiedziano, że Jan Paweł II jest pierwszym w historii telewizyjnym papieżem (spozstrzeżenie to często bywa wyrazem krytyki).

Nasza kultura przez ostatnie wieki była kulturą pisanego słowa. Dziś staje się kulturą audiowizualną. Jest to zmiana jakości i nie warto jej oceniać, ponieważ nie istnieje żadna alternatywa. Świat zmierza w tę właśnie stronę. Kiedy widzę, jak Papież Wojtyła umie skupić się mimo otaczającego Go zgiełku (wiem, że kamera demaskuje wszelkie udawania), to podejrzewam, że to także wynik teatralnego doświadczenia. Wydaje mi się, że Jan Paweł II dotarł ze swym przesłaniem do większej liczby serc ludzkich poprzez gest, spojrzenia znad czytanego tekstu, poprzez uśmiech i prywatnie dorzucone słowo, poprzez zamyślenie i to, jak słucha, niż przez słowa, które głosi i pisze.

Kiedy próbuję czynić rozróżnienie między tym, co w sylwetce Karola Wojtyły wydaje mi się Jego bagażem osobistym, a tym, co jest przedłużeniem cech zbiorowości, z której on wyrasta (a z którą ja, jako Polak, muszę się utożsamiać), waham się, do czego zaliczyć sprawność językową Papieża. Nie jest prawdą, jakoby Słowianie byli szczególnie uzdolnieni do języków. To obiegowe przekonanie wynika z wąskich doświadczeń: cudzoziemcy zazwyczaj spotykają tylko tych spośród nas, którzy znają języki obce. Jest osobliwością tego pontyfikatu, że Następca św. Piotra jest pierwszym w historii papieżem poliglotą. Będąc synem kraju, którego język pozostaje powszechnie nieznanym, Jan Paweł II do ogromnej większości wiernych przemawia w ich ojczystym języku. Znajomość ta nie przyszła mu łatwo, nie spędził dzieciństwa w podróżach, nie miał obcojęzycznych guwernantek. Uczył się języków mozolnie, tradycyjną metodą (która skutecznie zniechęca miliony ludzi na świecie). Czy motywacją do tej nauki był fakt, że pochodzi z kraju, który wbrew swym aspiracjom stał się prowincją, odseparowaną na wiele lat od reszty świata tym, co metaforycznie nazwano żelazną kurtyną?

W biografii Karola Wojtyły jest jeszcze jeden element wyróżniający Go spośród polskich duchownych. Przyszły Papież zostawił za sobą

kariere akademicką. Był obiecującym wykładowcą uniwersytetu i jeszcze jako biskup kontynuował pracę naukową, dopełniając tą drogą swej niezwykle wszechstronnej biografii, w której był robotnikiem, artystą, naukowcem i wreszcie kapłanem.

Dowiadując się o wyborze Polaka na Stolicę Piotrową poczułem się dumny osobiście i wiem, że to uczucie dzieliło ze mną wiele milionów Polaków. Przypuszczam, że mogę po prostu napisać, że uczucie to chyba podzielali wszyscy. Pamiętam, że kręcąc film oparty na Jego biografii, wszędzie zastawałem drzwi otwarte. Z entuzjastyczną pomocą spieszyły nie tylko parafie, ale i państwowe urzędy, wojsko, milicja, przedstawiciele rządzącej ateistycznej partii.

Kiedy załatwiałem pozwolenie na realizowanie zdjęć w Polsce (film był produkcją zagraniczną, ale kręcono go w autentycznych miejscach zdarzeń), sekretarz Komitetu Centralnego komunistycznej partii z niezwykłą rozlewnością podkreślał pozytywną osobowość Papieża Wojtyły. Przewrotnie zapytałem go, czy tak samo oceniał Wojtyłę jako kardynała. Sekretarz spoważniał i zaprzeczył. Jego zdaniem, Wojtyła jako kardynał był bardzo ciężkim, przykrym przeciwnikiem i nie zasługiwał na jedno słowo pochwały. Zapytałem naiwnie, czy sekretarz wierzy, że człowiek dojrzały może się tak szybko zmienić na lepsze. Mój rozmówca nie bez poczucia humoru odpowiedział, że jego zdaniem człowiek w walce pozostaje na miarę swego przeciwnika.

Radość i duma z wyboru Polaka na Papieża wynika dla nas wszystkich z poczucia dowartościowania naszych doświadczeń, naszej myśli, naszego widzenia świata. I w tej płaszczyźnie Papież pozostaje ciągle jednym z nas.

To zdanie może mieć wiele znaczeń. Jedno może dotyczyć wspólnoty narodowej i jej zbiorowego doświadczenia. Myślę, że w tym rozumieniu Papież Wojtyła znajduje się często w tym samym konflikcie ze światem zachodniej Europy i Ameryki Północnej, w jakim znajdujemy się my wszyscy, wyjeżdżając w tamte strony świata. Szukając najogólniejszego zrozumienia, gdzie leży istota tego konfliktu (czy rozbieżności doświadczeń), zaryzykuję hipotezę, że jest nią odmienne przeżywanie dramatyizmu naszej egzystencji na tej ziemi. Kraje bogate, w których od kilku pokoleń znikło poczucie osobistego zagrożenia życia, różnią się w swej wrażliwości od tych zbiorowości ludzkich, w których doświadczenie zagrożenia było wspólnym doświadczeniem milionów. Każdy Polak z pokolenia Wojtyły (a także wielu pokoleń wcześniej) ma za sobą

w pamięci moment, kiedy życie wisiało na włosku. Z tej perspektywy inaczej stawia się pytanie o sens naszej egzystencji, a nawet o wolność człowieka. (Dla nas jest ona przede wszystkim wolnością wewnętrzną). Boję się, że tak wielkie uogólnienie zabrzmie naiwnie i nikogo z czytelników nie przekona. Jako człowiek kultury mogę się podeprzeć argumentem, że we współczesnej kulturze konsumującego świata nieobecna jest wszelka perspektywa eschatologiczna, a śmierć jest jednym z niewielu obowiązujących tabu – mówi się o niej tylko w kategoriach, które mają ją oswoić (udomowić jak zwierzę domowe), natomiast jej dramatyzm znikł jakby z pola widzenia.

Życie słów jest śladem ewolucji ducha. Kiedy pracując z zachodnim aktorem używam słowa „dramatycznie”, otrzymuję z reguły reakcje w postaci hysterii. Powołuję się wtedy na to doświadczenie, które w moim kraju zna każdy przechodzień na ulicy: doświadczenie, które mówi, że dramatyczne momenty przeżywa się zwykle bez hysterii. Ich istota polega na uświadomieniu kruchości naszej ziemskiej egzystencji. Mam wrażenie, że Papieżowi z Polski trudno odwoływać się na Zachodzie do zbiorowych doświadczeń w tej dziedzinie.

Zanim wspomnę, na zakończenie, coś o polskim katolicyzmie, zatrzymam się jeszcze przez chwilę na innym drobnym szczególe, który ujawnia różnice naszych doświadczeń zbiorowych. Polacy od wielu pokoleń muszą żyć wśród zagrożeń, walcząc o swój byt narodowy. Walka wyrabia wiele postaw i pozostawia doświadczenie, które społeczeństwu żyjącym spokojnie może wydawać się obce. Takim doświadczeniem, na przykład, jest doświadczenie autorytetu, czyli części wolności, którą w trudnych chwilach cedujemy na tych, do których mamy zaufanie. Doświadczenie autorytetu ma charakter uniwersalny, tak jak uniwersalnym jest odczucie słabości jednostki, tego, że jest zdolna do upadku, podłości i zdrady. Społeczeństwo zachodnie oglądane z naszej perspektywy wydaje się jakby bezgrzeszne (albo, innymi słowy, uniesione pychą, która każe im przeceniać samych siebie). Człowiek nie sprawdzony w rzeczywistej próbie może mieć przesadnie dobre mniemanie o sobie. Przed paru laty wędrowałem po Holandii zaproszony z moimi filmami przez miejscowych katolików. Jako autor filmu o Papieżu zbierałem nie mniejsze wyrazy dezaprobaty niż sam mój bohater w trakcie swojej niedawnej podróży. Jeden z argumentów dotyczył nieprzydatności tego zbiorowego doświadczenia, które Karol Wojtyła wyniósł z Polski, do życia w zamożnej demokracji. Jestem przekonany, że doświadczenie jest

przydatne w wymiarze egzystencjalnym. Według mnie spotkani Holendrzy wiedzieli mało o sobie i o naturze człowieka, czytali życie w perspektywie uboższej niż ta, którą rozwija w człowieku cierpienie. Zbiorowe doświadczenie cierpienia jest tym, co leczy dzisiaj ogromną większość ludzkości. Spokojny zakątek zamożności, jakim jest Zachodnia Europa i kraje anglosaskie, jest wyjątkiem od ogólnej reguły.

Papież, który w osobistym doświadczeniu ma twórczość dramatopisarską i poetycką, musi w oczywisty sposób być człowiekiem wrażliwym na problematykę kultury. Myślę jednak, że większe znaczenie ma tu doświadczenie zbiorowe. W tradycji polskiej kultura stała się ostoją naszej tożsamości narodowej i wyznaniowej w trakcie blisko stu pięćdziesięciu lat niewoli, kiedy nie istniało państwo polskie. Twórczość artystyczna tego czasu łączyła w sobie patriotyzm z religijną wiarą. Doświadczenie tych ciężkich lat, pomnożone poprzez doświadczenie barbarzyństwa zaborców aż po czasy ostatniej wojny, pozwala rozumieć kulturę w szerokim rozumieniu jako wartość naczelną, w której człowiek realizuje swe człowieczeństwo. Konsumpcyjny model zachodniego życia uczynił z kultury (szczególnie artystycznej) rodzaj deseru zacierając najszerszy sens kultury jako sposobu życia. Głos Jana Pawła II podnosi wagę kultury i apeluje o jej chrześcijańską treść w sposób, który w naszej części świata jest może bardziej zrozumiały przez to, że mamy za sobą przeżyte doświadczenia śmiertelnego zagrożenia kultury.

Będąc krajem peryferyjnym, a ostatnio coraz bardziej cywilizacyjnie zacofanym, przeżywamy zawsze zdziwienie, kiedy okazuje się, że Zachód odkrywa coś, co dla nas pozostaje już dawno odkryte. Tak było w końcu lat sześćdziesiątych z marksizmem odkrywaniem na Zachodzie i tak jest po części dzisiaj z ruchem wyzwolenia kobiet. Slogany i myśli, którymi ekscytuje się Zachód, były w naszej części świata głośne w latach czterdziestych tuż po wojnie, kiedy kobiety zajmowały w społeczeństwie miejsca po wymordowanym pokoleniu mężczyzn. W starej polskiej tradycji kobieta miała zresztą rolę dużo bardziej usankcjonowaną niż, na przykład, w społeczeństwie włoskim. Kiedy słyszę zarzuty feministek, że ten Papież ich nie rozumie, myślę, że to nie jest wynik indywidualnego charakteru Karola Wojtyły. Jest to po prostu różnica ukryta w zbiorowym doświadczeniu. A swoją drogą, kiedy słyszę, jak wobec głowy Kościoła używa się beztrąsko pomówienia o modne „machismo”, chcę zapytać, czy autorki tych sformułowań widziały wielu mężczyzn, którzy, podobnie jak Papież, nie krępują się czasem zapłakać publicznie. (Mam tę

łączonej na taśmie na zbliżeniu w trakcie audyencji publicznej i wiem, że to nie jest w niczym materiał wyjątkowy.)

Muszę jeszcze zastanowić się przez chwilę, jakie cechy polskiego Kościoła warunkują na pierwszy rzut oka Papieża, który przybył z tego dalekiego kraju. Rzuca mi się w oczy przede wszystkim większe otwarcie na Wschód, bliskość o miedzę prawosławia z jego tradycją, która głęboko przenika do codziennego myślenia. Myślenie to przebiega łatwiej w języku symboli, a nie abstrakcyjnych pojęć. Symbol (rytuał jako przedłużenie czy rozwinięcie symbolu) lepiej wyraża tajemnicę, która umyka analizie. W wielu polskich domach chleb przed ukrojeniem kreśli się znakiem krzyża, a jeśli kromka upadnie na ziemię, należy ją pocałować w geście przeproszenia. Stoją za tymi gestami słowa z modlitwy *Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj*, a także pamięć głodu, który nie jest czymś abstrakcyjnym. Tak rozumiany chleb łatwiej przemienia się w Eucharystię (łatwiej niż masowy wyrób przemysłu piekarniczego). Kiedy Papież Wojtyła w każdym odwiedzanym kraju całuje ziemię, to gest ten jest dla Polaków łatwo zrozumiały i przywołuje poczucie *sacrum* Ziemi, która jest także matką, żywicielką i doczesną ojczyzną ludzkości. Życie w warunkach demokracji ma swoje widome przewagi, ma też i ograniczenia. Utrzymanie równowagi między wolą większości a przekonaniem jednostki jest zagadnieniem, którego żadne społeczeństwo zachodnie nie rozstrzygnęło w całkiem zadowalający sposób. Kościół polski w swej tradycji miał szczęście od wieków być Kościołem prześladowanym. Co więcej, w odległych latach miał nie znaną w Zachodniej Europie tradycję tolerancji. Polska uniknęła wojen religijnych, i chociaż przejściowo uległa w dużym stopniu Reformacji, nie przyjęła praktyk inkwizycji i religijnych prześladowań. Z drugiej strony jednak Kościół niejednokrotnie z odwagą przeciwstawiał się większości, stając w obronie zasad Ewangelii, które nigdy i nigdzie nie były powszechnie realizowane. Biskup Wojtyła ma za sobą szczególnie dramatyczne doświadczenie, kiedy wraz z kardynałem Wyszyńskim ogłosił w latach sześćdziesiątych list pasterski, głoszący potrzebę przebaczenia i pojednania z Niemcami. Pamięć krzywd wojennych była tak żywa, że władza komunistyczna zmontowała ogromną kampanię antykościelną. Biskupi, broniąc racji moralnej, ostrzegali przed kultywowaniem nienawiści, ale racja ta została zrozumiana dopiero po latach i dziś powszechnie przyznaje się biskupom rację. Wtedy jednak wydawało się, że hierarchia dokonała samobójczego gestu. Doświad-

czenie polityczne demokracji może czasem prowadzić do pomieszania pojęć: przykazania Boże nie mogą podlegać plebiscytom i Kościół ma obowiązek mówienia prawdy wtedy, kiedy jest ona głęboko niepopularna. Myślę, że Papież pamięta to doświadczenie (tak jak w mojej pamięci pozostało uczucie gniewu na biskupów, kiedy mówili mi coś, na co wtedy nie chciałem się zgodzić). Nie chciałbym jednak, żeby to spostrzeżenie zabrzmiało zbyt dydaktycznie. Uzupełnię je innym wspomnieniem z lat niedawnych. Kiedy na początku lat osiemdziesiątych wybuchły dramatyczne strajki w Gdańsku, polska telewizja nadała zreżymowane wybrane fragmenty kazania kardynała Wyszyńskiego. Wynikało z nich, że głowa polskiego Kościoła skłania strajkujących do poddania się w walce. Kazanie to przez wielu zostało przyjęte z uczuciem zawodu, ale nazajutrz w Stoczni tyle samo robotników co zwykle przystąpiło do porannej Komunii. Świadomość tego, gdzie się rozpościera autorytet moralny a gdzie autorytet polityczny, jest chyba w polskim Kościele dość głęboka. I chociaż wedle tradycji dawnej Polski głowa polskiego Kościoła w wypadku śmierci króla staje się interrexem, to jednak nawet Papież jest dla Polaków przede wszystkim duszpasterzem, chociaż Jego autorytet jest dziś nie tylko moralny, ale i polityczny.

Kiedy dziś zbieram myśli i wspominam tamte chwile, gdy dowiedziałem się, że na Stolicy Piotrowej zasiadł Polak, czuję, że rzeczywistość przeszła moje oczekiwania. Nie przypuszczałem, stojąc wtedy w meksykańskim słońcu, że w tylu sprawach i w tylu odczuciach będę się mógł z polskim Papieżem utożsamić. Nie sądziłem, że w takim stopniu mój osobisty stosunek do świata i jego problemów znajdzie wyraziciela w moim rodaku w Watykanie. I dlatego, kiedy obserwuję opór, z jakim nauczanie Jana Pawła II spotyka się w Zachodniej Europie, czuję się z Nim solidarny, ponieważ odnoszę wrażenie, że ten konflikt ze światem Zachodu wyrasta z różnicy doświadczeń zbiorowych. Na tę solidarność narodową nakłada się oczywiście jeszcze motyw zupełnie prywatny. Motyw ten wyłożyłem już przed laty, kiedy w Meksyku na konferencji prasowej zapytano mnie, czy znam nowego Papieża. Odpowiedziałem, że znam tak jak znałem trzech Jego poprzedników: byłem na audiencjach u Jana XXIII i Pawła VI, a Jana Pawła I poznałem, kiedy był patriarchą Wenecji. Ale nie bez znaczenia jest dla mnie jedna różnica. Spośród wymienionych Papieży tylko ten ostatni zna mnie.

POSŁOWIE

Ojciec Święty Jan Paweł II, jak żaden dotychczas papież w historii, stał się „własnością” nie tylko Kościoła, ale całej ziemi. Styl Jego pontyfikatu, „niekonwencjonalny” – jak określił w pierwszych dniach po wyborze na Piotrowy tron ktoś z bliskiego otoczenia Karola Wojtyły – spowodował, że Jego osoba stała się dla milionów ludzi jedną z najbliższych i najważniejszych w życiu.

Setki stacji telewizyjnych i radiowych, filmy i fotografie, publikacje książkowe i prasa ukazują Jego postać, słowa, uśmiech, gesty i starają się odsłonić to wszystko, kim On jest, jeśli to możliwe do przekazania. Za urzędem Najwyższego Kapłana odnajdywany jest wszelkimi sposobami – człowiek. A On, wymykając się ze zdań, opowieści, ocen jak z ciasnego fotela, pozostaje poza określeniami i nadal fascynuje młodych oraz starych, jest znakiem zachwytu i sprzeciwu. Analizowany przez intelektualistów, opisywany przez dziennikarzy, podpatrywany przez mistrzów reklamy jawi się jako osoba znana, a przecież ciągle nowa. „Jest wszystkim naraz... Obala antynomię między umysłem a sercem, kontemplacją a działaniem, modlitwą a heroizmem. Przeniknięty najwyższą powagą, robi sobie żarciki, omal nie psoci. Na każdym zdjęciu inny, zawsze poznawany, ma coś frasobliwego i zwycięskiego, coś chłopskiego i profesorskiego, coś z proboszcza – bo jest proboszczem świata, plebanem globalnym. Emanuje z siebie rycerskość dawnych rycerzy krzyża, dziecięcość wiecznego zachwytu życiem i Bogiem, siłę starego mędrca, jakby miał dwa i pół tysiąca lat” – pisze jeden z wnikliwych respondentów, ukazując dopełniający się obraz przeciwieństw. Ten mąż od Boga posłany na świat pełen zagubienia i niepokoju wykracza poza wszelkie oceny.

Spotkać w życiu Namiestnika Chrystusa to wielka łaska. Za tego pontyfikatu doznało jej wiele milionów ludzi. Ich olśnienie, zachwyt, pamięć trwają w ciągu lat, i nie podlegają zblaknięciu. Często rodzą

życiowe konsekwencje. Wielu opowiada o tym swoim rodzinom, przyjaciółom i znajomym. Doświadczenia te w ogromnej większości pozostają nieznanne, a poprzez formę wypowiedzi – ulotne. Książka niniejsza jest próbą zatrzymania zaledwie kilkudziesięciu spotkań z Papieżem. W nich kryje się jednak wiele wspólnego z tym, co przeżywali inni.

Publikacja pragnie zatrzymać chwilę, słowo, spojrzenie, gest Piotra naszych czasów, a także uczucia i refleksje, jakie On rodzi w bezpośrednim kontakcie. Wypowiedzi pełne dyskretnej szczerości, jak cenne i kunsztowne kamyki, tworzą mozaikę, w której jawi się ogromna postać Jana Pawła II.

Jest to dar, którym autorzy dzielą się odsłaniając osobiste przeżycia, często bardzo intymne. Wynikają one z przeświadczenia, że spotkania z Ojcem Świętym nie są li tylko prywatną własnością i że nie można zachować ich jedynie dla siebie – trzeba dzielić się nimi dla wspólnego wzbogacenia. Żywię także nadzieję, że niniejsza publikacja zrodzi także odpowiedzi w czytelnikach – czym dla nich stały się wielorakie spotkania z Ojcem Świętym oraz jakie mają konsekwencje w ich życiu.

Poprosiłem do niej biskupów i uczonych, polityków i twórców kultury: aktorów, dziennikarzy, malarzy, muzyków, pisarzy. Kilka osób już nie żyje, ich świadectwo stanowi obszar zamknięty. W publikacji biorą udział wierzący, poszukujący i niewierzący. Respondenci odnotowują spotkania indywidualne i zbiorowe. Jedni z nich znają Ojca Świętego Jana Pawła II od wczesnej młodości, inni nigdy nie zetknęli się z Nim osobiście. Jednak spotkania z Papieżem poprzez Jego teksty i wypowiedzi były dla nich równie osobiste i ważne. „Najważniejszymi dla mnie spotkaniami Jana Pawła II są spotkania z Jego słowami, zawartymi w encyklikach, homiliach i licznych wypowiedziach z różnych okazji” – pisze uczony. Bywa, że osobisty kontakt zostaje dopełniony przez lekturę pism Autora. „Spotkania z Janem Pawłem II to także spotkania z Jego nauką zawartą w homiliach i licznych dokumentach apostolskich” – wyjawia znany polityk.

Spotkania z Papieżem odsłaniają Jego bogatą osobowość oraz rodzą w ludziach nowe światy, to „spotkania ucznia z Nauczycielem, syna z Ojcem”.

W historii Kościoła ten Papież spotkał największą liczbę ludzi, przyjmując niezliczone tłumy lub wyruszając naprzeciw nim w licznych pielgrzymkach. Będąc polski, jest powszechny. „To biskup diecezji

Ziemia.” Spotkania z Nim budzą zdumienie, zachwyt, płacz, wzruszenie, przemianę. Ma „niezwykłą moc porozumiewania się” z ludźmi. „Przyciąga uwagę nie tylko katolików.” „W domach niewierzących są fotografie Jana Pawła II, jest papieżem wątpiących.”

Ofiarowując swoją obecność jest przede wszystkim „Nauczycielem” – odnotowuje profesor uniwersytetu, „Ojcem” – dodaje reżyser. Przy czym „zdumiewające, jak ta oszałamiająca wielkość w bezpośrednim kontakcie jest bliska, pełna miłości, prostoty i otwartości dla naszych małych, ale najgłębiej nas dręczących spraw” – pisze filozof. „Widzi każdą osobę oddzielnie” – dopowiada pisarz. Niejednokrotnie powtarza się spostrzeżenie, że Jan Paweł II jest tym, który ma rzadką umiejętność słuchania rozmówcy. Słucha czujnie i uważnie. „Jest rzeczą zdumiewającą, jakie zainteresowanie okazuje Ojciec Święty każdemu swemu rozmówcy, jak uważnie słucha wszystkiego, co do Niego mówi” – powiada światowej sławy chemik. Może w tym tkwi tajemnica Jęgoprzepowiadania? Bowiem „ma wielki, rzadko spotykany dar słowa. Jego tajemnicą jest prostota, z jaką nieomylnie trafia do serca słuchacza”, dzieli się spostrzeżeniem znany badacz.

Jest punktem orientacyjnym w życiowych zagubieniach, „Autorytet dla wielu”. Niekwestionowany świadek poprzez swoje życie i męczeństwo. „Świeci nam z daleka.” Jego postawa i słowa „uczą, jak żyć”, „pomogły mi” – przyznał ze szczerością uczony; „pozwalają uwierzyć w sens pokonywania życiowych przeciwnieństw, ożywić nadzieję” – pisał polityk; „dodają otuchy i mocy”.

Spotkania z Papieżem powodują wewnętrzną przemianę. „Zmieniłem się” – stwierdza z prostotą aktor. „Wyszłam na nową drogę” – oświadcza znana dziennikarka. „Wyzwolił mnie z lęku” – wyznaje wielka aktorka. Jeden z respondentów myśląc o podobnych zdarzeniach powiedział o Papieżu – „supermisjonarz”.

Swoją osobą stwarza element pewności, constans. Wnosi optymizm i siłę wiary. „Rozświecła otoczenie, promieniuje mądrością i dobrocią.” Przy czym poprzez swój autentyzm, jak przyznaje znakomity pisarz, to „najtrudniejszy partner duchowy, wymagający największej wewnętrznej mobilizacji, partner najważniejszy”.

„Wyrobił w sobie «słuch absolutny» na Polskę.” Jest szczególnym zwornikiem wspólnoty, naszej ojczyzny, w której „z daleka współuczestniczy”. „O Polsce myśli podobnie jak my” – konstatuje pisarz emigracyjny. Jego obecność powoduje, że „oddychamy wspólnie, że myślimy

i czujemy podobnie” – zauważa rektor szkoły teatralnej. „Ważność wypowiedzi obecnego Papieża wyraża się w tym, że stale... ukazuje wartości chrześcijańskie, które wyznaczyły kierunek naszej walki o demokrację, o wolność..., występuje w obronie zagrożonych wartości, podtrzymuje, zachęca i ożywia poszczególne grupy społeczne. Jest jak słońce, które daje życie, a którego normalnie się nie dostrzega” – pisze Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej. „Podnosi serca tak, jak od początku podnosił oszołomione dzieciaki.” Jest tym, który ogarnia Polskę w sposób wyjątkowy, widząc jej zalety, słabości i perspektywy – przyznaje poprzedni Prezydent RP, stwierdzając ze szczerością: „umiał On patrzeć dalej, głębiej”.

Czasami ze spotkania pozostaje zaledwie jedno słowo lub jeden gest, w którym ukryty jest cały świat wnętrza i ducha. Znakomita aktorka zapisała o tym wzruszające słowa: kiedy odszedł, „zostało tylko ciepło Jego ręki... Trzymałam w swej dłoni błogosławieństwo. Jak mała dziewczynka podniosłam je do ust i ucałowałam”.

Przychodzi wielki, a przecież tak pokorny. Wśród rozlicznych trudów dotrzymuje obietnic nawet w drobnych sprawach. Wielu uderza w Nim zdolność koncentracji. Jak refren powraca stwierdzenie spotykających Go, że jest człowiekiem modlitwy. Zanurzając się w niej doznaje tajemnego dramatu, ale i mocy. „Wstrząsające wrażenie wywierały na mnie modlitwy Papieża – wyglądał jak inny człowiek, ciężko cierpiący” – postrzega nie bez przejęcia jeden z uczonych.

Mnie osobiście za każdym razem zaskakuje w Ojcu Świętym natychmiastowa możliwość i umiejętność przechodzenia od powitań, przemówień, rozmów, działań do ciszy, skupienia, modlitwy, kontemplacji. Jakby na oczach ludzi skakał w przepaść Pana Boga. Uczestnicząc w Jego modlitwie spotyka się nie tylko Boga, ale odkrywa to, co w Papieżu jest najbardziej osobiste, własne, a czego jednocześnie nie sposób zamknąć w słowa. Podczas Podniesienia we Mszy św. przez Jego cierpienie widoczne na twarzy i w całej postaci stawałem na prawdziwej Golgocie doznając wstrząsu, bowiem męka Jezusa Chrystusa i Jego Wikariusza zlewały się w jedno. To doświadczenie dramatu Boga i człowieka trwa do Komunii Świętej. Potem ogarniają Go moc, światło i radość, jakie za chwilę staną się udziałem wszystkich, którzy Go spotkają.

Ilekcroć otwiera szeroko ręce, tylekcroć ponawia swoje żarliwe wezwanie do świata, wypowiedziane podczas liturgii inauguruje

pontyfikat: „Otwórzcie drzwi Chrystusowi!” To zawołanie trwa w Jego czynach i słowach, w spojrzeniach i gestach. Jego modlitwa jest dla mnie wędrówką do Boga prosto z codzienności, a Jego pielgrzymki pełnymi troski podróżami do człowieka.

* * *

Autorzy tekstów chętnie odpowiedzieli na moje zaproszenie i tą drogą pragnę im serdecznie podziękować za nadesłane wypowiedzi, dzięki nim mogła powstać niniejsza książka.

Ks. WIESŁAW AL. NIEWĘGŁOWSKI

Warszawa, w styczniu 1991 roku